

PROWINCJA
KWARTALNIK
SPOŁECZNO - KULTURALNY
DOLNEGO POWIŚLA I ŻUŁAW

Nr 1 (7)

2012

Redakcja:
Leszek Sarnowski - redaktor naczelny
Wacław Bielecki - sekretarz redakcji
Marek Stokowski
Janusz Ryszkowski
Andrzej Kasperek

Okladka: Mariusz Stawarski

Obrazy na okładce:
Elżbieta Zachorowska- Zimowy świat nad Liwą (str. III), Biały Dwór (str.IV)

Skład i łamanie:
Damian Panter

Druk: Drukarnia W&P
ul. Akacyjowa 29, 82-200 Malbork

Wydawca:
Stowarzyszenie Inicjatyw Obywatelskich „TAKA GMINA” w Sztumie
82-400 Sztum, ul. Królowej Jadwigi 10
tel. 693 527 614 prowincja@onet.pl

Redakcja składa serdeczne podziękowania za wsparcie naszej
inicjatywy wydawniczej:

Andrzejowi Krzysztofiakowi Burmistrzowi Kwidzyna
Jerzemu Godzikowi Staroście kwidzyńskiemu
Andrzejowi Rychłowskiemu Burmistrzowi Malborka
Mirosławowi Czapli Staroście malborskiemu
Leszkowi Taborowi Burmistrzowi Sztumu
Wojciechowi Cymerysowi Staroście sztumskiemu
Bogdanowi Pawłowskiemu Burmistrzowi Prabut

Dziękujemy również za współpracę przy promocji kwartalnika:
Kwidzyńskiemu Centrum Kultury
Sztumskiemu Centrum Kultury
Miejskiemu Domowi Kultury w Malborku
Żuławskiemu Parkowi Historycznemu w Nowym Dworze Gdańskim
Stowarzyszeniu Inicjatywa Aktywny Malbork
Stowarzyszeniu Malborskie Centrum Kwadrat
www.marienburg.pl
www.tvmalbork.pl

Miejsca w których można kupić kwartalnik „Prowincja”:
Kwidzyńskie Centrum Kultury
Sztumskie Centrum Kultury
Miejski Dom Kultury w Malborku
Żuławski Park Historyczny w Nowym Dworze Gdańskim ul. Kopernika 10
Księgarnia „Bestseller” w Sztumie ul. Reja 13
Agencja Reklamowa „Aliem” Sławomira Michalika, Sztum ul. Galla Anonima 8
Sklep papierniczo - biurowy „Kopiał” w Malborku ul. Żeromskiego 5
Księgarnia Idea Jz. w Nowym Dworze Gdańskim Pl. Wolności 11
Redakcja prowadzi również sprzedaż wysyłkową
– zamówienia można składać pocztą elektroniczną na adres wydawcy.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych i niewykorzystanych, zastrzega sobie również
prawo do ich ewentualnego skracania oraz zmiany proponowanych tytułów.
Wszystkim, którzy zechcą wesprzeć finansowo nasz kwartalnik podajemy numer konta wydawcy
– Stowarzyszenia Inicjatyw Obywatelskich „Taka Gmina” w Sztumie:
Bank Spółdzielczy w Sztumie: 42 8309 0000 0002 6741 2000 0010

ISSN 2082-0291

www.prowincja.com.pl

PROWINCJA

Nr 1 (7) 2012

Spis treści

Siódma „Prowincja”	5
---------------------------------	---

Proza

Andrzej Kasperek – Nagły koniec babiego lata	6
Jerzy Kosacz – Micha	13
Ryszard Filbrandt – Ucieczka	16
Janusz Ryszkowski – Częściowo spełniony człowiek	27
Żuławski Parnas. Marek Ofierski – Historyjki	30

Poezja

Sebastian Kubiak	34
Michał Kander	37
Piotr Michna	38

Esej

Karolina Ciechorska-Kulesza – Tak blisko, tak daleko czyli o niejednoznaczności przestrzeni	40
--	----

Wędrowki po prowincji

Tomasz Agejczyk – Opowieści miejskich murów. Malbork	46
Jerzy Kosacz – Opowieści miejskich murów. Kwidzyn	51
Paweł Głogowski – Opowieści miejskich murów. Sztum	53
Jacek Albrecht – Wejście na zamek wysoki. Malborskie rekonstrukcje	57
Adam Langowski – W kulturalnym pegeerze	65
Kordian Kuczma – Donimirscy z Matejką i Żeromskim w tle. Patroni naszych ulic cz. 5	72
Seweryn Pauch – Dołki pokutne w Łasinie	77
Roman Niemczyk – Czernin parafialny	83

Prowincje dalekie i bliskie

Wiesław Olszewski – Z Żuław na Podlasie. Nad Bugiem	89
---	----

Na tropach historii

Janusz Namenanik – Smutne dzieje dzierzgońskiej kolei	98
Andrzej Czapliński – Kościół w Starym Mieście	105
Leszek Sarnowski – Ferdynad Schichau – żelazny wizjoner i filantrop ..	116
Wojciech Zawadzki – Sztumski męczennik o. Gottfried Fuchs	125
Marta Chmieleńska – Walczyli i umierali za wolną Polskę, dziś wciąż nazywa się ich bandytami... ..	134

Wspomnienia, zapiski, dzienniki

Stanisław Widuchowski - Wspomnienia	140
Andrzej Wiłun – Celuloza z pamięci cz. V. O zmorze wynagradzania za pracę	153

Muzyka

Wacław Bielecki - Barokowe i współczesne śpiewanie - Rozmowa z Anną Mikołajczyk-Niewiedział, sopran ..	159
M. Ż. - Old Jazz nad Tugą	162

Plastyka

Barbara Sosnowska – Apetyt na malowanie	164
---	-----

Recenzje

Wacław Bielecki – Krajobraz żuławski	167
Andrzej Lubiński - Trzynastego grudnia... ..	170
Leszek Sarnowski - Wokół elbląskiej „Solidarności”	172
Tomasz Agejczyk - Niewolnik pod żaglami	173
Wacław Bielecki - Mercadante – Doppler – Karłowicz, czyli pierwsza płyta Elbląskiej Orkiestry Kameralnej ...	175

Z przymrużeniem oka

Maciej Kraiński – Szarża Kebaba. Islam idzie!	177
Marek Stokowski – Prowincjonalia	181

Listy do Redakcji	186
--------------------------------	-----

Noty o autorach	188
------------------------------	-----

Siódma „Prowincja“

Rozpoczynamy wspólnie trzeci rok, mamy nadzieję, że już „naszego” kwartalnika „Prowincja”. Może to niewiele, bo licząc kwartalnie to dopiero po ośmiu numerach można by mówić o pełnych dwóch latach, a sześć numerów to zaledwie półtora roku. Niezależnie od tego, czy to dużo, czy mało, możemy powiedzieć, że coś się udało. Udało się skupić środowisko piszących autorów, których z numeru na numer przybywa i udało się, co jest zdecydowanie cenniejsze, skupić wokół piszących (bo ci zawsze pisać będą, choćby do szuflady), środowisko czytających, których też przybywa.

Tekstem Karoliny Ciechorskiej-Kuleszy, młodej socjolożki z Uniwersytetu Gdańskiego - „*Tak blisko, tak daleko, czyli o niejednoznaczności przestrzeni*”, wracamy do naszego głównego tematu, czyli rozważań o tożsamości w miejscowościach naszych Żuław i Powiśla. Jak zwykle przygotowaliśmy dla Państwa sporą dawkę poezji (nasz stały już autor - Sebastian Kubiak z Malborka i dwaj debiutanci - Michał Kander ze Sztumu i Piotr Michna z Kwidzyna) oraz prozy (Andrzej Kasperek z Nowego Dworu Gdańskiego, Jerzy Kosacz z Kwidzyna i Jerzy Filbrandt z Malborka). W naszych wędrówkach po prowincji postanowiliśmy przyjrzeć się, oczami Tomasza Agejczyka, Pawła Głogowskiego i Jerzego Kosacza, pozostałościom dawnych, średnio-wiecznych murów miejskich w Sztumie, Malborku i Kwidzynie. To nie tylko powrót do przeszłości, ale dalszy ciąg debaty o rewitalizacji historycznych centrów naszych miast. Działania ratunkowe najbardziej zaawansowane są w Malborku i Kwidzynie. W Sztumie jest jeszcze wiele do zrobienia.

Wracamy też do klimatów z PRL-em w tle. Adam Langowski próbuje odtworzyć pracę kaowca (dla najmłodszych Czytelników wyjaśnienie, że był to pracownik który zajmował się organizacją działań kulturalno-oświatowych) w dawnym pałacu w Jeziornie. Przed wojną pałac należał do rodu von Flottwell, a po wojnie stał się częścią Państwowego Ośrodka Hodowli Zarodowej w Waplewie. Marta Chmieleńska z kolei wraca do tematu żołnierzy wyklętych, a właściwie do trudnych spraw związanych z przywracaniem im pamięci i niekonsekwencji związanych z obecnymi w dalszym ciągu w publicznej przestrzeni pamiątkami po tzw. „utrwalaczach” władzy ludowej.

Dla miłośników historii spora dawka ciekawostek. Andrzej Czapliński pisze o odnowionym, zabytkowym kościele w Starym Mieście, Janusz Nameńnik o znikającej kolei w Dzierzgoniu, Leszek Sarnowski o karierze Ferdynanda Schichaua, a ksiądz Wojciech Zawadzki, dyrektor Archiwum Diecezjalnego w Elblągu, o ojcu Gotfridzie Fuchsie, werbiście, który zginął śmiercią męczeńską z rąk „wyzwolicielskiej Armii Czerwonej”. To ważne świadectwo także w kontekście filmu Wojciecha Smarzowskiego „Róża”, który opowiada o tragicznych czasach powojennej rzeczywistości na ziemiach odzyskanych.

Najnowsza okładka kwartalnika to oczywiście dzieło Mariusza Stawarskiego. Oprócz tego prezentujemy twórczość Elżbiety Zachorowskiej, malarzki z Kwidzyna. Spora dawka muzycznych recenzji Wacława Bieleckiego, recenzje literackie, garść refleksji z Waplewa Macieja Kraińskiego i kolejne *Prowincjonalia* Marka Stokowskiego.

Zapraszamy do lektury.
Redakcja

Andrzej Kasperek

Nagły koniec babiego lata

Piorun walnął w transformator stojący za wsią. Uderzenie było tak silne, że urządzenie zostało kompletnie zniszczone. Kaputt. Światło zgasło. Nowy miał być za dwa dni. Niestety okazało się, że brakuje tych typu... Co mnie zresztą obchodziło, jakiego typu transformatorów brakowało. Brak przecież było prawie wszystkiego. Byliśmy tydzień bez światła.

Wcale nie było to takie straszne. Dziś pewnie byłoby gorzej, ale wtedy prąd elektryczny to było oświetlenie, telewizor, radio. Do tego pralka „Frania”, która w szopie miała jeszcze zmienniczkę w postaci tary. No i lodówka, ale przecież i tak zbyt wiele produktów w niej nie było a mleko mogło się zsiadać na kwaśne w kamionkowym garnku stojącym w sieni. Wieczory były wciąż długie, ale nie oszukujmy się, to była końcówka sierpnia. W chlewiku pod stropem wciąż wisiała lampa naftowa, nieużyteczna, bo w sklepie GS-u nafty nikt od dawna nie uświadczyl. Dobrze choć, że mieli świece, ale szybko się skończyły.

Doszło do tego, że wyjąłem z szafy gromnicę, która była świadkiem mojego chrztu. Czekałem na to, co zdecyduje mama. Ciąg na mniejsze kawałki czy nie? Ta decyzja dużo ją kosztowała. Co będzie teraz wystawiać w oknie w czasie burzy? Przecież powszechnie wiadomo, że zapalona gromnica na parapecie i modlitwa to najlepsze remedium na grzmoty i błyskawice. Swoją drogą, stąd przecież nazwa, od gromów wzięta.

Mój nawyk wieczornej i nocnej lektury był tak silny, że czytałem przy ogarku. Tego lata miałem ochotę na pisarzy z amerykańskiego Południa. Od lat na wakacje szykowałem sobie walizkę lektur, które coś łączyło. Raz była to cała wydana po polsku twórczość Blaise Cendrarsa, potem wszystkie opowiadania Guy de Maupassanta, innym razem Iwan Bunin na zmianę z Izaakiem Bablem albo cały Raymond Chandler. Tym razem zaczytywałem się w Erskine Caldwellu, Carson McCullers i Flannery O'Connor. Nie mogłem się oderwać od wyszperanego w antykwariacie zniszczonego egzemplarza powieści „Inne głosy, inne ściany” Trumana Capote’a. Zastanawiałem się nad dziwnym podobieństwem amerykańskiego Południa i polskich Kresów. Ten sam klimat rozleniwienia, melancholia, bezruch czasu, konserwatyzm i wygórowane poczucie honoru.

Jakoś tak się złożyło, że w tym roku nic sobie na te wakacje nie załatwiłem. Żadnego wyjazdu, żadnej roboty. Czytałem i rąbałem drewno. Nie mogłem przecież darmo jeść chleba. Na podwórzu leżała ogromna pryzma. Chyba z trzy albo cztery kubiki drewna. Zaczynałem codziennie po śniadaniu i miałem zajęcie aż do obiadu. Lubilem tę robotę, która zajmowała

ręce, ale nie absorbowiała głowy i pozwalała na swobodę myśli. Walczyłem z sękami, czasem trafiał się odłamek. Niebezpieczny ślad wojny. Z tym trzeba było szczególnie uważać przy cięciu na krajzedze. Tarcza mogła pęknąć i nieszczęście gotowe.

Rąbałem i myślałem, ale jednocześnie po kryjomu wyglądałem listonosza. Czekałem na przekaz od Leszka, który solennie obiecywał zwrot pożyczonych kilka miesięcy temu pieniędzy, oraz na zaproszenie na wesele Waldka. Nie doczekałem się ani jednego, ani drugiego. Nikt nic nie pisał, ani listu, ani kartki żadnej. Sam siedziałem nad listem do B. i nic nie przychodziło mi do głowy. O czym pisać? O banalności mijających dni? Jeśli zaś chcę porządniej o sobie donosić, zastanawiam się i myślę, i rozkopuję przywalony w moich piersiach Wezuwiusz. Wtenczas lawa, kamienie, dym, a w końcu Weltschmerz mnie dopada i już nie mogę myśleć o liście.

Czułem żal i opuszczenie przez kolegów. Czułem więcej niż kiedykolwiek moją osierociałość. Pozostawali jeszcze kumple z podstawówki i liceum, ale oni mieli już inne problemy. Pracowali, budowali domy, zakładali rodziny. Głupio przy nich wyglądałem – goły studencik, gwiazda strajku studenckiego, ten, co to musiał się meldować na posterunku MO na początku stanu wojennego. Nie mieliśmy wspólnych tematów, nasze drogi się rozeszły. Rodzice nic nie mówili, ale widziałem ich spojrzenia. Czasem gdy wchodziłem do kuchni ich rozmowy nagle się urywały. Martwili się o mnie. Zadawali sobie pytanie, dokąd mnie zaprowadzą moje studia? Jeśli tak miały wyglądać płody edukacji... Pewnie inaczej sobie to wyobrażali. A u mnie potęgowała się frustracja, nuda, irytacja. Jakiś paskudny spleen mnie dręczył. Wszystko mi kwaśniało. Jedzenie przestawało smakować, lektury nie zajmowały. Siadałem na pieńku i ćmiłem papierosy. Do rozpoczęcia roku akademickiego pozostał jeszcze miesiąc.

Pod koniec sierpnia ojciec dostał zawiadomienie, że termin wyjazdu do sanatorium został przesunięty. Albo pojedzie we wrześniu, albo wcale. Co ci cholerni biurokraci sobie myślą – jak człowiekowi ze wsi można proponować taki termin? Nie słyszeli o wykopkach? Stał z napisaną na maszynie kartką w rękę i patrzył na nas pytająco. Mama rzekła krótko: „Jedź. Damy radę!”

We wrześniu ojciec mój wyjechał do wód i zostawił mnie z matką na pastwę ciepłych i oszołamiających dni jesiennych. Babie lato to ładna nazwa. Nikomu nie przeszkadza, gdy pajęczki rozsnuwają swoje misternie utkane nitki. Srebrzyste i cienkie motają się po ścierniskach i po drzewach. Wystarczy tylko machnąć ręką i zetrzeć je z twarzy. Słońce jeszcze całkiem mocno grzeje. Jakby wiosna i lato przeżywały swe ostatki we wrześniu. Polska złota jesień. Mama uznała, że z wykopkami można jeszcze trochę poczekać; pewnie miała nadzieję, że kartofle nieco podrosną i plon będzie obfitszy.

I to był błąd. Pogoda nagle gwałtownie się zmieniła. Babie lato momentalnie szlag trafił i zaczęła się jesienna plucha, zamglone i deszczowe dni. Lało i padało na przemian. Deszcz, mżawka, kapuśniaczek, ulewa... I tak od początku. Po kilku dniach, które daliśmy sobie na przeczekanie, dotarło do nas, że tak już będzie. Że szybko nie przejdzie. Stałem w pokoju i gapiłem się bezmyślnie za okno. Jesienny deszcz dzwonił o szyby. Jednakowy, miarowy i niezmienny. Było dokładnie tak, jak to opisał poeta: „Dżdzu krople padają i tłuką w me okno...”

Tyle, że nie poezja była mi teraz w głowie ani archaiczna forma dżedż, przez którą poległem na egzaminie z gramatyki historycznej języka polskiego, nie potrafiąc wyprowadzić etymologii popularnej wśród wędkarzy pierścienicy. Gdyby jeszcze człowiek mógłby po prostu tylko siedzieć sobie przy kaflowej kuchni ze szklanką herbaty. Nawet ten najtańszy, najpodlejszy, ale jeszcze dostępny, gatunek Ulung smakował wtedy wybornie. Zwłaszcza, gdy się go uszlachetniło kilkoma kroplami soku z dzikiego bzu ze starych zapasów.

Nic z tego. Kilka arów nie wykopanych kartofli czekało. Już i tak zmitrężyliśmy parę dni wyglądając lepszej pogody. Czasu więcej nie było. Jeszcze tydzień i żmioki pogniją. Okutani w przeciwdeszczowe peleryny i kapoty wyruszyliśmy na kartoflisko. Droga była taka, że jakby chłopci zabrali do miasta mleko, to dowieźliby masło. Koleiny rozmokły i rozjechały się. Nogi w gumowcach ślizgały się niebezpiecznie. Staraliśmy się utrzymać równowagę, ale nie było to łatwe, bo ręce mieliśmy zajęte. Trzeba było przecież zanieść na pole motyki, kosze, wiadra i jutowe worki...

Można było co prawda pójść na skróty przez łąki, ale nie lubiłem tamtędy chodzić. Latem i jesienią stał tam zawsze samochód, na którego przyczepie przymocowano generator prądu podłączany do tak zwanego elektrycznego pastucha, który ułatwiał wypas pegeerowskich krów. Omijałem go daleka, bo ciągle gdzieś w głowie miałem wspomnienie z dzieciństwa. Siedzący przy ciężarówce pasterz powiedział nam, że w tym samochodzie zabijano ludzi, więźniów z KL Stutthof, zanim wybudowano tam komory gazowe. Auto było podobne do tego z krótkiego, przerażającego filmu, który pokazywano czasem w telewizji. Grupka żydowskich dzieci czekała na wejście do takiej komory gazowej na kółkach. Kilka minut grozy. Ani jednego słowa. Pastuch, żeby podkreślić wagę swoich rewelacji dodał, że jak będziemy się tu kręcić i straszyć krowy, to nas w metalowej budzie zamknie i uruchomi motor... Od dawna wiedziałem, że gadał bzdury, ale strach z dzieciństwa, ukryty głęboko, pozostał.

Mama pewnym ruchem wbiła motykę w rozmokniętą skibę. Krzaki uschły i po kilku deszczowych dniach zetlały, nie było za co złapać. Nawet jakby było, to i tak nie dałoby się ich wyciągnąć z ziemi. Wcale jej to nie zraziło. Każdy jej ruch był pewny i przemyślany. Stała okrakiem, zaparta

stopami w miękkiej ziemi, brała zamach i w twardym, cierpliwym mozole dziobała pilnie motyką. Ziemniaczane pole wydawało się bezkresne. „Jezu, kiedy my to wykopimy?” – pomyślałem z rozpaczą. Mama nic nie mówiła. Jej twarz nie wyrażała nic poza determinacją. Wiedziała, że trzeba te cholerne kartofle wyrwać z ziemi i nie było siły, która mogła jej w tym przeszkodzić. Zbierała krągłe bulwy, jak jaja spod kwoki i rzucała je w wiadro. Każdy kartofel był ubłocony, trzeba było go dosłownie wyłuskiwać z błota, w które zmieniły się żuławskie mady. Duże wsypywało się do jednego worka, te małe i nabolałe, czyli poranione motyką, do czego to ja się walenie przyczyniałem, do drugiego. Należało je zużyć najszybciej, były przeznaczone na karmę dla zwierząt. Próbowiałem nieśmiało zasugerować, żeby zbierać tylko największe sztuki, ale jedno spojrzenie mamy wystarczyło, abym przestał forsować ten pomysł.

Deszcz nie przestawał padać. Pośród mgły i szarugi, przemokliśmy do nitki. Peleryny okazały byle jakie. Były podgumowane, ale dawno już nikt ich nie używał, popękały i do niczego się nie nadawały. Czułem jak woda ścieka mi po karku, moczy spodnie, wsiąka do butów. Wszystko stawało się ciężkie i niewygodne. Nawet iść w tych mokrych szmatach byłoby ciężko, a co dopiero pracować. Po kilku godzinach mama wyprzedzała mnie o kilka długości. To znaczy, że za nią stało już kilka worków wypełnionych ziemniakami a za mną zaledwie jeden. Pracowała z chłopską rozważną ekonomią wysiłku. Bez szamotania się, niepotrzebnego prostowania i gapienia w niebo. Patrzyłem, jak się ode mnie oddala i było mi wstyd. Strasznie wstyd. Dorosły, krzepki facet poruszał się po polu jak ślamazara, nogi się mu ślizgały i rozjeżdżały, ręce drętwiały od trzymanej kurczowo motyki. A ta malutka, zasuszona kobieta, która pewnie ważyła mniej od pełnego wora ziemniaków, szła do przodu jak ruski traktor. Nie pominęła żadnego, nawet tyciego kartofelka, natychmiast dokonywała selekcji i do koszyka trafiały najlepsze części bulwy poranionej motyką, nadjezionej lub nadgnitej. Wszystko to robiła szybko, pewnie, z rutyną nabytą przez pół wieku pracy na polu rodziców, na odrobku i wyrobku, na podkieleckich zagonach i niemieckich bauerskich polach.

Zastanawiałem się, skąd ona czerpie siły. Posilała się jak ptaszek: tu dzióbnięta, tam coś spiła... Brak apetytu nikogo nie dziwił, nikt nie podejrzewał, że był sygnałem choroby, bo zawsze jadła niewiele. Ona głodu nie czuła, ale ja tak. I co? Miałem krzyknąć: „Jeść mi się chce! Fajrant! Już południe przychodzi a my wciąż kopimy. Przecież z głodu pomdlejemy!” W ten sposób ośmieszyłbym się jeszcze bardziej. Wystarczyło mi tego, że sromotnie pozostawałem w tyle. Wreszcie litościwie obejrzała się i spytała: „Andrzejek, a która to będzie?” Przy tej pogodzie nie można było rozpoznać godziny po słońcu. Usiedliśmy pod wierzbą nad rowem wypełnionym wodą po brzegi i wyjęliśmy skibki zawinięte w gruby szary papier. Jeszcze haust zimnej kawy

zbożowej z butelki i koniec przerwy. Tak krótko to trwało, że nie zdążyłem odzipnąć. Znowu do roboty. Znosiłem wypchane po wręby worki na początek pola i przykrywałem je plandeką. Stamtąd miał je wieczorem zabrać sąsiad. Krzyż mnie rwał. Nie byłem zwyczajny takiej roboty.

Wstyd się przyznać do tego, że najchętniej rzuciłbym to wszystko w diabły. Poszedłbym do domu, przebrał się i wsiał w pekaes, który zawiózłby mnie do Gdańska. Ale przecież nie mogłem tego zrobić! Sam ten pomysł był okropny, wręcz odrażający... Jednak posuwając się wzdłuż bruzdy, długiej jak kolej transsyberyjska, nie opuszczała mnie myśl, że tak łatwo można by się znaleźć poza tym cholernym kartofliskiem. Wyrwać się z tego błota do innego świata, gdzie jest sucho, ciepło i stale świeci słońce. Nie dawało mi to spokoju. Pokusa wygody, wolności od obowiązków. To była próba. Najwyraźniej kuszono mnie. Byłem już i tak udręczony. Plecy tak mnie bolały od nieustannego schylania, że od godziny posuwałem się na kolanach. Utyłany w bloku, zziębnięty, w przemoczonym ubraniu poruszałem się do przodu. Pomału, ale nie ustawałem, bo wiedziałem, że jak teraz przestanę, to już na zawsze. „I nie wódź nas na pokuszenie. Nie wystawiaj mnie na próbę. Precz Szatanie!” Patrzyłem na pochylone plecy matki. Niestrudzenie rozgarniała grudy i wrzucała do wiaderka kartofle, które głucho grzmiały jak bębny na odmarsz jesieni.

Moja matka. Mama. Byłem wyskrobkiem, ostatnim dzieckiem czterdziestoletnich rodziców. Pojawiłem się pewnie na tym świecie przypadkiem, a może byłem prezentem od losu albo darem Boga. Rodzeństwo dawno już z domu wyfrunęło i tylko ja jeszcze w nim pozostałem. Kochałem ją i wstydziłem się. Czego? Codziennego kupowania tabletek z krzyżykiem. Miały pomagać na ból głowy, ale się od nich uzależniła. Dostyc już miałem wysłuchiwanie marudzenia kioskarki z „Ruchu”: „Matka to by lepiej do ośrodka zdrowia się wybrała, a nie tylko te kogutki co dzień łyka. Jeszcze raka od tego dostanie. One nie takie, jak te sprzed wojny.” I tak dzień w dzień. Babie chodziło o popularny kiedyś specyfik, proszek przeciwbólowy sprzedawany w kopertkach z obrazkiem kogutka. Nota bene wynaleziony niedaleko mamy rodzinnych Skrzelczyc przez chmielnickiego aptekarza Gąseckiego. Wstydziłem się tego, że była niepiśmienna. Tak jakby to była jej wina. Niby kiedy miała chodzić do szkoły, jak od dziecka oddano ją na służbę. Dziewucha z domu, będzie lżej a i parę złotych zarobi. Bawiła dzieci, pasła gęsi, sprzątała, pomagała w polu, obrządzała świnię i krowy. Nikt nie myślał wtedy o krzywdzie tych dziewczyn, które jedna nieprzemyślana decyzja skazywała na bycie kimś gorszym. Wstyd z powodu niegramotności był tak duży, że później nikt nie był w stanie zapędzić tych osób, nawet siłą, na organizowane w ramach walki z analfabetyzmem kursy. Wstydziłem się, że była taka chuda, że nie przypominała krzepkich, zdrowych, piersiastych sąsiadek, których wieniec w krasnych chustkach, w koralowych sznurkach upięk-

szał dożynki i procesje. Jej siwe włosy związane gumką. Prosta sukienka, ani śladu biustu, bo jej pustych piersi nie opinał stanik. Zakładała go tylko w wyjątkowych sytuacjach. Zawsze będę pamiętał powrót z kolonii w Kwidzynie. Nie tylko kupiła mi na powitanie plastikowy żaglowiec, ale jeszcze ubrała się najstaranniej. Biustonosz też włożyła. Pięknie wyglądała; byłem szczęśliwy i dumny. Bo matka ma być dla swego syna pięknością.

Jeśli się czegoś wstydziłem, to tylko dlatego, że to psuło mój wyidealizowany obraz. Jej portret.

Uciec z pola. To by było jak stchórzyć, jak uciec z pola walki. Nic nie przesadzam. Są przecież tak blisko siebie – pola orne i pola bitewne. Czasem są tym samym. Byłbym ostatnim łajdakiem, gdybym to zrobił. Byłbym dezerterem. Nie tak mnie wychowywała. Zaciśnąłem zęby i marzyłem tylko o tym, żeby wreszcie pójść do domu. Ale nie sam. I nie z ostatnim mrokiem. Zmierzchało się, wszystkie kształty zdawały się rozsypywać w proch i nicłość, a nad powierzchnią gruntu rozlewała się szara próżnia, zaglądała w oczy i uciskała serce ... Przypomniałem sobie słowa z Talmudu: „Jesteśmy jako oliwki, dopiero kiedy nas miażdżą, wydajemy z siebie to, co najlepsze.” Czy to był ten moment?

„Wiśta! Hetta! Prrr!” – to sąsiad, Kaźmirz Liter, wjeżdżał na pole. Konie ślizgały się po mokrym gruncie. Trudno było zawrócić furmankę, ale udało się. Ładowaliśmy worki na wóz. „To z dwóch dni ukopane?” „E tam, panie Kaziku, toć to dzisiajse.” „Pierniczysz, przecież ociec wyjechał do Buska. We dwie motyki tyle natargaliście?! Nie może być!” Mama wstawiła za burte wozu jeszcze koszyk pełen ułomków. Uśmiechnęła się i powiedziała: „Andrzejek zaszuwa jak det!” Zacerwieniłem się jak burak, dobrze, że nikt tego nie mógł już dostrzec, bo było prawie ciemno. Nie należało szukać w jej słowach ironii. Słowo det oznaczało sowiecki ciągnik gąsienicowy, mocny i niezniszczalny, który doskonale spisywał się na żuławskich glebach. Użyte w tym kontekście stało się najwyższą pochwałą. Byłem jej synem, który pomagał jej w tej morderczej pracy i tylko to się liczyło. Nie było ważne, że nie nadążam za nią, że spowalniam tempo.

Konie nie mogły wyciągnąć wozu. Trzeba go było popychać. Ani woźnica, ani my nie mogliśmy wsiąść na furę, bo była za ciężka. Jakoś dowlekliśmy się do domu, gdzie czekał nas jeszcze obrządek, karmienie zwierząt. My zjedliśmy na końcu. Wykopki trwały sześć dni. Nie przestało padać ani razu.

„Jeśli zaś chcę porządniej o sobie donosić, zastanawiam się i myślę, i rozkopyje przywalony w piersiach moich Wezuwiusz. Wtenczas lawa, kamienie, dym, a w końcu difficulté d'être [trudność istnienia], i już nie [mogę] myśleć o liście.” - list Adama Mickiewicza do Józefa Jeżowskiego z 1 lutego 1823 r.

„Czułem więcej aniżeli kiedy osierociałość moją” - list Fryderyka Chopina do Jana Matuszyńskiego z 26 grudnia 1830 r.

„We wrześniu ojciec mój wyjechał do wód i zostawił mnie z matką na pastwę ciepłych i oszołamiających dni jesiennych.”

Bruno Schulz, Sierpień

„Nici srebrzyste i cienkie motają się po ścierniskach i po drzewach. [...] Jakby wiosna i lato przeżywały swe ostatki we wrześniu.”

Leopold Staff, Babie lato

„O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny
I pluszcze jednaki, miarowy, niezmienny,
Dżdzu krople padają i tłuką w me okno...”

Leopold Staff, Deszcz jesienny

„[...] chłopci zabrali do miasta mleko, a dowieźli masło.”

Mikołaj Niekrasow, Jesienna nuda, przeł. Natalia Kuczyńska

„[...] A robotnice w twardym, cierpliwym mozoł, Okryte – każda innym – barwistym wełniakiem, Dziobią pilnie motyką ziemniaczane pole, W miękkiej ziemi stopami zaparte okrakiem. Pośród mgły i szarugi, przemokłe do nitki, Grudy grzęd rozgarniają schylone najmitki I spod zeschniętych badyli i płytkich korzeni Zbierają krągłe bulwy, jak jaja spod kwoki, I rzucają je w wiadro lub ceber głęboki, Co głucho grzmią jak bębny na odmarsz jesieni.”

Leopold Staff, Kartoflisko

„[...] z chłopską rozważną ekonomią wysiłku [...] Jest to ta chwila zmierzchu, kiedy wszystkie kształty widoczne zdają się rozsypywać w proch i nicłość, kiedy rozlewa się nad powierzchnią gruntu szara próżnia, zagłada w oczy i uciska serce jakąś nieznaną zgryzotą[...].”

Stefan Żeromski, Zmierzch

„Jesteśmy jako oliwki, dopiero kiedy nas miażdżą, wydajemy z siebie to, co najlepsze.”

Bohumil Hrabal, Zbyt głośna samotność, przeł. Piotr Godlewski

„Już południe przychodzi a my wciąż kopimy. Przecież z głodu pomdlemy [...] nie z ostatnim mrokiem.”

Szymon Szymonowicz, Żeńcy

„Tam się zwija dziewczek wieniec zdrowy/ W kraśnych chustkach, w koralowych sznurkach.”

Jan Kasprowicz, Z chałupy, Sonet I

Jerzy Kosacz

Micha

Wiosenne porządki w ogrodzie i w obejściu to jak rozpoczynanie nowego życia. Wywalamy stare śmieci, wprowadzamy nowości, do których zachęca nas cywilizacja i ogólnie fajnie jest, aż potkniemy się o coś, co zakłóci naszą krzątanie wokół ładu i porządku.

Tej wiosny podczas przydomowych porządków nieoczekiwanie potknąłem się o miskę. Zwyczajna aluminiowa miska, z której kolejno jadły wszystkie moje psiaki. Pierwszy odruch nakazywałby wrzucenie jej do pudła z alupuszkami, które opróżniają wdzięczni „kolekcjonerzy”. W tym momencie jednak coś mię tknęło, pojawiło się pewne wspomnienie przywołujące mi całą historię tej michy.

Muszę się przyznać, że bardzo mierzi mnie cała hagiografia internowanych i kult ich „relikwii”, które widziałem, np. na pewnej jubileuszowej wystawie w Elblągu, gdzie podziwiałem w gablocie koszulę i kalessony internowanego. Ale ta aluminiowa miseczka budzi moje szczególnie pamiętne i wzruszające wspomnienie, jedno z tych, które nie chcą zniknąć z moich snów.

W 1982, gdy mnie już puszczano luzem z internowania za solidarnościowe zasługi z więzienia w Łławie, to łasy na pamiątki, skorumpowałem więziennego magazyniera, który jak pamiętam za cztery dziekanki Sportów odhaczył mi, żem „miskę zdał” i kazał ją głęboko skitrac przy wyjściu.

Nie tylko takie pamiątki traktowałem lekceważąco, ale ten przedmiot uchował się z powodu swej użyteczności.

Gdy w 1986 wracałem z kolejnego już pobytu w więzieniu do swoich podkwidzyńskich Białek, z których mnie zabrano poprzedniego roku do pudła w Elblągu, to wziąłem sobie za współtowarzysza do tamtej wiejskiej samotni wesołego i okazałego swymi gabarytami kundla Miśka, a na wyposażenie jego jadłodajni przekazałem mu swoją osobistą michę wyniesioną z Łławy. Misiek chęptał z niej swój przydział za pilnowanie stolarni oraz za dzielną i zacieklą obronę rozdzielni „bibuły”, czyli wolnościowych gazetek i ulotek, która mieściła się w jego okazałej budzie. Tej budy nigdy nie udało się sformować esbekom, którzy nałogowo nachodzili moją hacjendę w Białkach. Ani razu tam nie zajrzeli, a mój Misiek wybraniał mnie tym sposobem z kolejnych odsiadek, które raczej mi już zbrzydły.

A siedem lat później, już za demokracji, wyruszyliśmy kawalkadą przyczep traktorowych z całym dobytkiem, wraz z tą szczególnie podziwianą, gdyśmy przejeżdżali przez Kwidzyn, na której była m.in. psia buda, a na okazałej kanapie ja z Miśkiem udający się na odludzie pod Elblągiem z zamiarem ostatecznego osiedlenia się tam. W zabytkowym podmiejskim uroczy-

sku byłej pruskiej posiadłości mieliśmy osiąść z dala od ledwie minionych i oczekiwanych przyszłych perturbacji dziejowych in saecula saeculorum. W przypadku mego Miśka to się spełniło, natomiast mnie przyszło po dwudziestu latach odbyć drogę powrotną tym samym szlakiem i z takim samym postanowieniem, przy którym trwam.

W podelbłaskim Zajeździe mój ukochany Misiek dokonał swego żywota i tam pochowałem go pod wiekowym dębem, przyznam, że w miejscu uprzednio upatrzonym sobie samemu. Na tym dębie było gniazdo jastrzębi, wedle relacji tubylców funkcjonowało ono tam od niepamiętnych lat. Były takie sezony, że musiałem „matkować” wypadłym z gniazda jastrzębim maleństwu wielkości indyka. Trzymałem je na swym strychu i karmiłem świeżymi przysmakami codziennie dowożonymi z miasta. Gdy już ptaszęta mężniały na tyle, że podołały by sobie z moimi licznymi czworonogami strzegącymi parku, to następował ich debiutancki lot. Ówczesnych moich wrażeń doznają tylko sokolnicy.

Potem było kolejno kilku następców Miśka. Arbuz – nierasowy alzatczyk wyzwolony za „bełta” z niewoli jakiegoś łobuza, a potem Bambi, towarzysz zabaw mych wnucząt, który kilkanaście miotów wstecz był owczarzem podhalańskim.

W obecne miejsce pobytu przywiozłem Azę, która stanowiła genetyczną mieszaninę dużego sznaucera, pieprzu, soli i jeszcze jakiegoś większego kundla. To ta psica odziedziczyła i jako ostatnia używała po swych poprzednikach moją michę z więzienia w ławie.

Aza była piękna. Z pewną zazdrością podziwiałem zwłaszcza szlachetny profil, którego bardzo jej zazdrościłem.

Towarzysząc jej zasłużonemu emeryckiemu schyłkowi żywota rozważyłem ewentualność przeszczepu sobie jej głowy, na którą zamieniłbym się bez wahania, ale nie zdążyłem. Aza, mimo wspaniałe przeprowadzonej onkologicznej operacji chirurgicznej ubiegłej jesieni, jednak zdechła tej wiosny. W skrytości zakopałem ją w tajemnym miejscu pod wysokimi drzewami i teraz oto potknąłem się na podwórku o naszą wspólną miskę, z której jedliśmy, choć każde z nas w swoim czasie.

Ten przedmiot, ta miska kojarzy mi się jednak głównie z kudłatym Miśkiem z Białek, który w moim głębokim przekonaniu za swoje prawdziwe kombatanckie zasługi w pełni zasłużył na jakieś szczególne wyróżnienie za swój osobiste psi i bohaterski wkład w obecną naszą publiczną rzeczywistość.

Czytam, oglądam i słucham, co się da, i widzę, że obecny Pan Prezydent nie ma już medali dla oszołomstwa, w którym uczestniczyliśmy z Miśkiem. Nie zapomnę wielkiego zaangażowania Miśka w obronie swej budy, gdy chcieli się do niej dobrać kwidzyńscy funkcjonariusze Służby Bezpieczeń-

stwa, którzy regularnie przybywali do moich Białek w ślad za Edkiem K. - późniejszym posłem. Kolportaż przebiegał jak po sznurku, tylko ten mój Misiek jakoś zakłócał ten sekwens.

W 2006 roku zostałem uroczyście odznaczony za swe minione kombatanctwo Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Odbyło się to w Stoczni Gdańskiej, w której przed 44 laty byłem robotnikiem na Wydziale K-3. Dopiero rok po mnie przybył tam Lech Wałęsa, a ja „wybyłem”.

Wracając do mojego odznaczenia, to zniósłem to godnie, jak tylko umiałem. Te same odznaczenia tej rangi uprzednio otrzymali zomowcy, którzy celnie strzelali do górników w Kopalni „Wujek”. W archiwum Kancelarii Prezydenta RP „leżą” z tymi odznaczonymi zomowcami w jednej szufladzie.

Patrząc na walającą się po moim podwórku aluminiową więzienną michę i wspominając przy tej okazji nieodżałowanego swego Miśka, zastanawiam się, czy mi tego odznaczenia nie dano poniekąd „psim swędem”.

Ryszard Filbrandt

UCIECZKA

Otworzyłem oczy. Zewsząd ogarniała mnie ciemność. Czarna, nieprzenikniona przestrzeń, wypełniona dodatkowo w ponurą ciszę. I ten dokuczliwy chłód! Gdzie ja jestem?!

Gdy mój wzrok zdążył się już przyzwyczaić do panujących warunków, z trudem uniosłem się ze swojego posłania i pozostałem, na razie, na tym etapie, czyli pozycji siedzącej. Zawrót głowy sprawił, że musiałem natychmiast przytrzymać się rękami krawędzi legowiska, bo w innym wypadku ponownie ległbym na plecy, a tego akurat nie chciałem. Bo chociaż w dalszym ciągu nie wiedziałem gdzie jestem, i w ogóle w jaki sposób, i dlaczego znalazłem się w tym miejscu, to instynktownie czułem, że nic dobrego tutaj mnie nie czeka. Dlatego, już teraz myślałem o natychmiastowej ucieczce.

W miarę upływu czasu, zacząłem wreszcie rozpoznawać ogólne zarysy mojego tymczasowego - taką przynajmniej miałem nadzieję - miejsca pobytu. Prawdopodobnie była to piwnica. Wskazywał na to niski strop, cementowa posadzka, specyficzny zaduch i - jak już wspomniałem - przenikliwe zimno.

Panujący w pomieszczeniu mrok zmusił mnie do podjęcia jedynej i uzasadnionej na samym początku egzystowania w tych warunkach decyzji, a mianowicie poszukania na ścianie wyłącznika światła. Aby zmierzyć się z tym zadaniem, najpierw wolno, ostrożnie wstałem z posłania i z pewnym trudem przybrałem pionową postawę. Udało się. Jednak, na wszelki wypadek, na razie nie ruszałem się z miejsca. Gdy upewniłem się, że nie odczuwałem już zawrotów głowy, czy innych dolegliwości, ostrożnie uczyniłem krok do przodu. Bez zmian. Za drugim, a nawet i trzecim przesunięciem nogi, też nic się nie działo. W tych okolicznościach nabrałem większej pewności siebie i wolno, wolniutko skierowałem się w stronę ściany z zamiarem poszukania kontaktu. Kiedy wreszcie do niej dotarłem, ostrożnie zacząłem przesuwając rękami po ceglanej powierzchni. Bez rezultatu. Uczyniłem więc dwa kroki w lewą stronę i dopiero wtedy znalazłem ledwie wyczuwalne wybrzuszenie. Przycisnąłem je mocniej palcami. W tej samej chwili przymocowana do sufitu lampa rozbłysła jasnym światłem. Zmrużyłem oczy. Dopiero, kiedy je otworzyłem - przykładając do czoła otwartą dłoń - okazało się, że pomieszczenie faktycznie było piwnicą, ale nie taką zwykłą graciarnią, jak to zazwyczaj bywa w takich wypadkach, tylko całkiem przyzwoitym, schludnym miejscem. Ściany, owszem, były z cegły, jednak wszystkie starannie wyczyszczone i na dodatek pomalowane czerwoną farbą, fugi zaś białą. Regał z licznymi półkami zapchany był głównie kasetami, książkami i czymś jesz-

cze. Do tego dochodziły różne części sprzętu elektronicznego. Na wprost mnie stało obszerne biurko z dostawionym do niego fotelem obracającym. Wysokiej klasy komputer, wraz z oprzyrządowaniem dopełniał resztę. A do tego wszystkiego kanapa, z której to zaledwie kilka minut temu wstałem.

Po tym wstępnym zapoznaniu się z moją tymczasową, zapewne, siedzibą, zacząłem ponownie zastanawiać się nie tylko jak tu trafiłem, ale przede wszystkim w jaki sposób stąd się wydostać. To drugie było dla mnie teraz najważniejsze. Drzwi. Gdzie, u diabła, są drzwi!? Niemożliwe, żeby ich nie było!

Sparaliżowany sytuacją w jakiej się znalazłem, z rezygnacją do wszelkich działań zwałem się na fotel. I niemalże w tej samej chwili, z zewnątrz dobiegły do moich uszu czyjeś kroki. W pierwszym momencie zaniepokoiłem się, ale szybko uprzytomniłem sobie, że przecież jest to dla mnie nadzieja na uwolnienie z tego miejsca. Z bijącym coraz mocniej sercem, zacząłem wsłuchiwać się w każdy szelest dochodzący zza ściany. Tupot nóg ustał. Czyjeś rozmowy. Głos męski i żeński. Zatem ... co najmniej dwie osoby. Wreszcie ... z cichym poszumem rozsunęła się część ściany i do środka weszła młoda kobieta o ciemnych włosach i nad wyraz subtelnej twarzy. Towarzyszył jej równie młody, szczupły mężczyzna. Oboje ubrani w coś podobnego do kombinezonów: ona w biały, on w szary.

- Ooo ...! - zawołała Ona, wpatrując się we mnie zdziwionymi, szeroko otwartymi oczami, rozwierając przy w podobny sposób usta.

- No proszę, a jednak pan żyje. Cieszę się bardzo. Dzień dobry. Jak się pan czuje? - uzupełnij reakcję na mój widok On.

- Szczerze mówiąc, nie za bardzo. Ale znów nie na tyle, żeby zacząć szykować się na tamten świat - odparłem. Po chwili, niby od niechcenia dodałem: - Przepraszam, czy mogliby państwo powiedzieć mi, gdzie jestem i w ogóle w jaki sposób znalazłem się w tym pomieszczeniu?

- Nic pan nie pamięta? - spytała Ona.

- Kompletnie nic. Tabula rasa. Przynajmniej na razie - odpowiedziałem zgodnie z prawdą.

- Kilka dni temu przywieźliśmy pana ze szpitala miejskiego...

- Ze szpitala? Dziwne ... A jak tam trafiłem?

- Lekarze mówili, że załapał pan na ulicy. Ktoś zadzwonił po pogotowie...

- Coś mi świta w głowie. Rzeczywiście, tak mogło być. Długo leżałem w tym szpitalu? - spytałem.

- Koło tygodnia - odpowiedział On.

- O, to aż tak źle ze mną było? Którego to dzisiaj mamy? - zadałem sam sobie to pytanie, zerkając jednocześnie na ustawione na biurku kalendarz, na którym widniała data: 16 lipca 2041. - Jednym słowem, miałem szczęście, że ktoś w ogóle zlitował się nade mną i powiadomił pogotowie.

- Można tak powiedzieć- przytaknęła Ona.

- Wygląda więc na to, że wróciłem do świata żywych. To tak, jakbym narodził się na nowo - wypowiedziałem te słowa z głębokim namaszczeniem, skierowane były bardziej do siebie, aniżeli do kogoś z zewnątrz.

- No, ale siły, sądząc po załączonym obrazku, wróciły - powiedział z nutką optymizmu On.

- Owszem, nie powiem. Chociaż do pełnej formy trochę jeszcze brakuje.

- To zrozumiałe. Ale chyba dałby pan radę, przy naszej pomocy rzecz jasna, wspiąć się po kilku schodach na parter? - spytała Ona. - Jak na złość winda się zepsuła - dodała.

- Myślę, że tak. Spróbować zawsze przecież można - bez namysłu przystałem na jej propozycję.

- Świetnie. Zmiana lokalu dobrze panu wpłynie na samopoczucie. To co, możemy ...?

- Oczywiście.

Uniosłem się wolno z miejsca i ostrożnie przybrałem postawę pionową. Na razie żadnych negatywnych skutków przy zmianie pozycji mój organizm nie doznał. Młodzi ludzie podeszli do mnie i delikatnie podpierając po ramiona asekurowali do wyjścia z piwnicznego pomieszczenia, a potem przy pokonywaniu stopni schodów. Ciężka, wręcz ciernista była to dla mnie droga. Dwa razy musiałem przystanąć, żeby odpocząć. Na szczęście, udało mi się wreszcie dotrzeć do celu, czyli najpierw przedpokoju, a stamtąd do obszernego pomieszczenia, pełniącego zapewne funkcję pracowni, albo biura. Świadczyły o tym stojące na biurkach najnowszej generacji komputery z całym wręcz oprzyrządowaniem, regały pełne książek, segregatorów i różnej wielkości kaset, zawierające zapewne dokumentacje w formie elektronicznej. Panował tu nieład, takie pomieszanie z poplątaniem, ale w dobrym tego słowa znaczeniu. Każda wolna przestrzeń zagospodarowana była do granic możliwości. Przestronne okna wpuszczały do środka sporą dawkę światła, dlatego przez pierwszych kilka minut musiałem mrużyć oczy.

- I jak samopoczucie? Mocno się pan zmęczył? - spytała troskliwie Ona, usadowiwszy mnie na krześle.

- Trochę. Myślałem, że będzie gorzej - przyznałem.

- Może podać coś do picia?

- Jeśli można, to poproszę wodę.

Zanim zdążyłem rozejrzeć się dokładnie po pokoju, młoda kobieta wręczyła mi szklankę z wodą i kostką lodu. Opróżniłem ją jednym duszkiem.

- A może jest pan głodny?

- Na razie nie, dziękuję.

Zapadła cisza. Młodzi ludzie uśmiechnęli się do mnie i przepraszając w milczeniu gestem ręki, przystąpili do swoich zajęć. W pierwszej kolejności włączyli komputery. Każde z nich usiadło przy swoim stanowisku i wpatrując się w ekran monitora, z niezwykłą wprawą zaczęli przebierać palcami po

klawiaturze. Z początku przyglądałem się im z zainteresowaniem, jednak wraz z upływem czasu zaczęły ciążyć mi powieki, dlatego tylko dla ulgi postanowiłem je tylko na chwilę opuścić.

Ocknąłem się dopiero w momencie, gdy poczułem dotknięcie ramienia. Przede mną stał On.

- Wszystko w porządku? - spytał troskliwie.

- Tak, dziękuję. Długo spałem?

- Jakąś godzinę. Napije się pan kawy?

- Bardzo chętnie. A gdyby jeszcze do tego znalazło się jakieś ciasteczko, byłbym naprawdę szczęśliwy.

- Zobaczymy, może coś się znajdzie.

- Dziękuję - odpowiedziałem krótko.

Aromat zaparzonej kawy pozytywnie, jak zwykle, nastawił mnie do rzeczywistości. A pyszne, czekoladowe ciastko jeszcze bardziej utwierdzało mnie w tym przekonaniu. Delektując się tymi smakołykami, z uwagą i coraz bardziej narastającym zaciekawieniem przyglądałem się pracującej parze moich wybawców. Co jakiś czas - raz Ona, raz On - wychodzili do sąsiedniego pomieszczenia i wracali po kilku, albo kilkunastu minutach. Kiedy owe wycieczki trwały zbyt długo, zacząłem zastanawiać się, czym oni tak naprawdę się zajmowali. Kiedy moja ciekawość sięgnęła zenitu, niby od niechcenia spytałem:

- Przepraszam, czy mogę o coś spytać?

- Proszę bardzo - odezwała się Ona, nie przerywając swoich zajęć.

- Nad czy państwo tak intensywnie pracują? Oczywiście, jeśli to nie jest tajemnicą.

- Nie, to żadna tajemnica. Pracujemy nad nową książką - odpowiedział On.

- Ooo...! Zatem, mam przyjemność z pisarzami. To dla wielki zaszczyt.

- Bez przesady, drogi panie. Jesteśmy, jakby to powiedzieć, twórcami w tej branży, ale i zarazem wydawcami - uzupełnił swoją wypowiedź młodzieniec.

- Aha, takie „dwa w jednym”. Świetnie. Wygodne, bardzo praktyczne przedsięwzięcie - pochwaliłem ich za ten pomysł. Po krótkim namyśle spytałem: - Przepraszam za moją śmiałość, ale czy mógłbym bliżej przyjrzeć się waszej pracy? Bardzo mnie to interesuje.

- Proszę bardzo.

Dopiłem kawę, a potem, przebierając nogami po podłodze, razem z fo-telem podjechałem do młodzieńca. Ten, wpatrując się w ekran monitora - na którym oprócz samego tekstu pojawiały się jakieś niezrozumiałe dla mnie znaczki - uporczywie stukał palcami w klawiaturę. Coś wstawiał, coś usuwał.

- Za pana czasów - odezwał się, przerywając na chwilę swoją pracę - przepraszam pana za to wyrażenie, każdy pisarz, czy też poeta, najpierw wymyślał swój utwór, pisząc go jednocześnie na komputerze, a potem wysyłał pocztą elektroniczną do wydawcy, prawda?

- Tak jest, zgadza się. Niektórzy, między innymi ja, najpierw zapisywali pomysł ręcznie, czyli robili tak zwany szkic, a dopiero później przenosili go na komputer, po uprzedniej korekcie, rzecz jasna. Ojciec mi opowiadał, że jeszcze wcześniej stukotało się tekst na zwykłej maszynie do pisania. Podobno hałasu było przy tym co nie miara. Wkładało się między specjalne wałki papier ...

- A tak, coś obito mi się na ten temat. Ciernista była kiedyś droga do sfinalizowania książki.

- Trafne określenie. Rzeczywiście tak było. Ale dawało się jakoś radę - powiedziałem.

- Dzisiaj, proszę pana, proces powstawania książki, zarówno tej tradycyjnej, papierowej, jak i elektronicznej jest zupełnie inny. Przede wszystkim mamy to udogodnienie, że nie ma już setek, czy nawet tysięcy literatów - odezwała się Ona.

- Jak to?! - zdziwiłem się: - To kto pisze?

- Specjalnie przystosowane do tego celu komputery. My zaś, a jest nas zaledwie kilku przeszkolonych w tym kierunku informatyków, do każdej nowej publikacji, wprowadzamy odpowiedni program. Także, książka pisze się później praktycznie sama. Natomiast sam druk podobny jest, chociaż w nieco zmodyfikowanej formie, do dawnego procesu.

- Aha, rozumiem. Z tego wynika, że państwo - tu wskazałem ręką na ich oboje - są, by tak rzec, współczesnymi twórcami literatury, czyli pisarzami.

- No ... wie pan, przy odrobinie fantazji, rzeczywiście można tak powiedzieć - niemal jednocześnie przytaknęli młodzi ludzie.

- To się porobiło! - westchnąłem. - A jaki nakład puszczacie na rynek?

- Niski, wręcz śladowy. Dzisiaj ludzie bardzo rzadko sięgają po tradycyjną książkę. Młodzież praktycznie wcale. Dlatego bazujemy głównie na publikacjach w wersji elektronicznej - wyjaśnił On.

- Nawet utwory czysto literackie, na przykład wiersze, publikujecie w Internecie?

- Tak.

- Czyli, jak rozumiem, państwo tylko wprowadzacie do gotowego już programu komputerowego pewne zmiany, na przykład innych bohaterów, miejsce akcji i coś tam jeszcze, a maszyny już same robią za was resztę- podsumowałem krótko otrzymane od moich wybawców wiedzę.

- Zgadza się - przytaknęła Ona.

W tym miejscu nasza rozmowa urwała się. Ale to już wystarczyło, żeby tylko na jej podstawie dowiedzieć się, że dawnego twórcę literatury, pisarza, poetę, dramaturga, czy eseistę zastąpił teraz zwykły rzemieślnik. Ba, żeby

tylko! Tę rolę przejął pospolity operator komputerowy. Magia twórczej pracy, specyficzny i niepowtarzalny świat artysty, czy wreszcie subtelności samego tworzywa, zostały bezpowrotnie zaprzepaszczone przez współczesną cywilizację techniczną, przez jej zimne, wielkie i bezduszne łapy. Straszne! Uzmysławiając sobie tragizm tej sytuacji, zadałem sobie proste pytanie: Co tu ja w ogóle robię?

- Przepraszam, chciałbym wyjść na świeże powietrze. Czy jest to możliwe? - z trudem wycodziłem z siebie tę prośbę.

Przedłużające się milczenie zaniepokoiło mnie. A do tego jeszcze te ich uważne spojrzenie na siebie. Dopiero po dłuższej chwili młody mężczyzna odpowiedział mi nieco zmienionym głosem:

- Bardzo nam przykro, ale, niestety, nie może pan z tego miejsca w ogóle się ruszyć.

- A niby to dlaczego?! - spytałem z trudem opanowującym gniew.

- Jest pan nam potrzebny.

- Ja jestem wam potrzebny?! - zdziwiłem się. - Do czego?

- Nie domyśla się pan? - spytała Ona, wpatrując się we mnie z figlarnym uśmiechem.

- Nie. Chociaż ... Zaraz, zaraz ... Czyżby zabrakło już wam pomysłów do swoich książek, a raczej czegoś do nich podobnego? I zapewne chcecie, żebym wam pomógł w tym temacie?

- Coś w tym rodzaju - wyszeptwała dziewczyna.

- A to ci dopiero! A co z tego będę miał?

- Dużo. Powiem więcej: bardzo dużo. Właśnie w tej chwili ważą się losy pańskiego życia - odpowiedział z naciskiem On.

- Jak to mam rozumieć?

- Niech pan nie udaje głupiego, dobrze?! Sprawa jest prosta. Jeśli chce pan żyć, jak normalny, wolny człowiek, musi pan z nami współpracować.

- A jeśli odmówię?

- Zamkniemy pana w piwnicy. Ale nie tej, w której pan już był, tylko znacznie gorszej.

- Tego się po państwu nie spodziewałem. Pozory jednak mylą, stara to prawda.

- Takie jest życie - z ironią odezwał się On.

- Dobrze. Idźmy więc dalej - nie dawałem za wygrane. - A jeśli się uprę na całego i nadal nie przystanę na waszą propozycję? - spytałem.

- Przystanie pan, przystanie. Oto jesteśmy spokojni. Nam się aż tak nie spieszy. Poczekamy. Prędej, czy później i tak pan pęknie - powiedział w tym samym tonie młody człowiek. - Więc jak będzie?

- Wobec takiej alternatywy, będę musiał się jeszcze trochę zastanowić - odpowiedziałem, szykując potajemnie plan awaryjny.

- Już panu mówiłem, że nam się nie spieszy.

Uznając naszą rozmowę za zakończoną, Ona i On zajęli się swoimi sprawami, co mi akurat było na rękę. Zastanawiałem się bowiem już na poważnie, jak tu ich przechytryć i uciec z tego miejsca. Na razie miałem w głowie permanentny chaos. Wiedziałem jednak, że na razie muszę grać na zwłokę i nie dać po sobie znać, że knuję jakiś podstęp.

- Zdaje się, że zostałem postawiony pod murem - odpowiedziałem, nadając tym słowom ton rezygnacji i pokory.

- Raczej tak - przytaknęła Ona triumfalnie.

- Jeżeli państwo nie mają nic przeciwko temu, to chciałbym najpierw zapoznać się w miarę dokładnie z pełnym procesem realizacji programów artystycznych, a w szczególności z książką.

- Oczywiście, to zrozumiałe. Zapewne chciałby pan też zajrzeć do drugiego pomieszczenia? - spytał On.

- Tak. I to bardzo.

- Zatem ... zapraszam.

Takiej ilości ekranów, monitorów, komputerów i różnego rodzaju sprzętu elektronicznego w jednym miejscu jeszcze nie widziałem. Wokół mnie, dosłownie wszędzie gdzie spojrzałem rozgrywały się sceny rodem z filmów sensacyjnych, kryminalnych, ale i też programów naukowych, przyrodniczych, kulturalnych, publicystycznych, i innych. Obrazy migały mi przed oczami z szybko zmieniającą się intensywnością barw, tempem akcji i głośnością. Młody mężczyzna bez słowa pogrążył się w pracy. Sprawiał wrażenie, jakby rzeczywiście zapomniał o mojej tutaj obecności. Dotykając dłońmi dużych, panoramicznych ekranów, przenosił całe ich zawartości, albo fragmenty na inne. Mieszał sceny, poprawiał je pod względem technicznym i artystycznym. Coś do siebie mówił, kręcił z niezadowolenia głową, albo przytakiwał z uśmiechem. Nie przeszkadzałem mu w tym akcie twórczym absolutnie. Nie miałem nawet śmiałości o nic pytać. Od razu domyśliłem się, że ta para młodych ni to biznesmenów, ni to animatorów sztuki, oprócz tradycyjnych książek, zajmowali się także – a tak naprawdę, to przede wszystkim – produkcją wszelkiego rodzaju filmów. I na pewno nie były to arcydzieła.

Nigdy nie znosiłem tandety nawet w życiu codziennym, a co dopiero w sztuce wszelakiej. Dlatego owe zdające się nie mieć końca strzelaniny, walki na pięści, pogonie samochodami ulicami miast ... znużyły mnie potwornie. A jako, że tak zwane życie nie znosi próżni, zaświtała mi w głowie myśl wdrożenia mojego planu. Szansa jego powodzenia wzrosła w momencie, kiedy do pokoju weszła Ona i od razu podeszła do stanowiska pracy swojego kolegi. Korzystając więc z nadarzającej się okazji, powoli, na palcach, krok za krokiem zacząłem ostrożnie wycofywać się z tego pomieszczenia. Gdy znalazłem się w pierwszym pokoju, już bez ceregieli dopadłem drzwi i wybiegłem na korytarz. Z ciężkim oddechem i mocno bijącym sercem zacząłem rozglądać się za wyjściem na zewnątrz tego domu. Piwnica? Nie,

odpada zdecydowanie. Z miejsca, w którym stałem, odniosłem wrażenie, że część korytarz po lewej stronie jakby się rozwidła. Nie zastanawiając się już dłużej, czy tak faktycznie jest, ruszyłem w tamtym kierunku i ... stanąłem. Przede mną drzwi z jednej strony i z drugiej. Pobiegłem w prawo i z niecierpliwością nacisnąłem klamkę. Zamknięte na elektroniczny zamek. Odwróciłem się więc i rzuciłem w przeciwną stronę. A tam, o dziwo, tylko dwa zwykłe zamki i ręczna blokada. Na dodatek ... w drzwiach tkwił klucz. Hura! Po kilku ruchach ręką byłem już na zewnątrz.

Niechybnie teren na tyłach ogrodu był kiedyś ogrodem. Teraz na jego miejscu gościło mocno zachwaszczone poletko. W tej chwili nie miało to dla mnie najmniejszego znaczenia. Musiałem się przecież spieszyć. Nie zważając więc na nic, szybkimi krokami zacząłem przedzierać się przez wysokie trawy, pokrzywy, osty i inne zielsko. W ten sposób udało mi się dotrzeć do ogrodzenia z siatki drucianej, po czym rozpocząłem intensywne poszukiwania jakiejś furtki, czy też bramki. Gdy wreszcie udało mi się na nią trafić, okazało się, że była zamknięta. W tej sytuacji nie pozostało mi nic innego, jak tylko wspiąć się na nią i po prostu zeskoczyć już na drugą stronę. I tak też uczyniłem.

Biegłem. Zatrzymałem się dopiero wtedy, kiedy zabrakło mi tchu w płucach i sił w nogach. Z trudem wciągając w siebie powietrze, odwróciłem się i spojrzałem na miejsce, z którego uciekłem. Nie mogłem jednak je dostrzec, albowiem przeszkadzały mi w tym pobliskie zabudowania. Już z tego samego faktu wynikało, że byłem oddalony od niego na bezpieczną odległość. Poczułem niebywałą radość i powiew wolności.

Teraz wyrósł przede mną drugi etap ucieczki. Musiałem zdecydować, co dalej ze sobą począć. Na dodatek nie widziałem gdzie tak naprawdę jestem. Sądząc po znikomym ruchu na ulicach, mogłem się tylko domyślać, że trafiłem na jedną z peryferyjnych dzielnic miasta. Nigdy tutaj nie byłem. Nie wiedziałem nawet, w którą iść stronę, albo dojechać do centrum. Dopiero, kiedy odwróciłem się i ujrzałem majaczące w dali wieżowce, odetchnąłem z ulgą i od razu ruszyłem w tamtym kierunku.

Szedłem przed siebie pewnym, chociaż niespiesznym krokiem. Z każdą upływającą chwilą spływał ze mnie paraliżujący jeszcze lęk. Perspektywa przyszłości z wolna nabierała jaśniejszych kolorów. Było ciepło. W beztroskich promieniach słońca, łagodne powiewy wiatru omiały mi twarz. Rozmieszczone po obu stronach wille, cieszyły oczy niebanalną architekturą, bogactwem barw i kunsztem ich wykonania. Z drugiej jednak strony, wzbudzały niepokój i zdziwienie wysokością okalających je murów, najeżonych dodatkowo kolczastym drutem, albo zakończonymi na ostro prętami. I jakby tego było za mało, na niektórych posesjach stały jeszcze budki strażnicze. Z łatwością też można było dostrzec zamontowane na każdym dachu, a nawet słupie kamery, śledzące każdy ruch przechodniów.

Ostatkiem sił dotarłem wreszcie do centrum miasta. Po krótkim odpoczynku z kieszeni spodni wyjąłem kilka drobniaków i w pobliskim markecie kupiłem dwie bułki, kawałek sera, i mleko. Wybrałem ławkę zacienioną koroną drzewa i niemal w błyskawicznym tempie zaspokoilem pierwszy głód. Poczułem się lepiej, a po kilku minutach wrócił mi nawet humor. Z przyjemnością wyciągnąłem nogi przed siebie, zaś ręce rozłożyłem wzdłuż oparcia. Wzbogacony dodatkowo w niewielką porcję komfortu psychicznego, zacząłem przyglądać się temu wszystkiemu, co działo się wokół mnie. A było co podziwiać! Wszyscy niemal przechodnie poruszali się z krótkimi, wystającymi nad głowami antenami. Dodatkowymi elementami wyposażenia były miniaturowe mikrofony i słuchawki w uszach. Nic zatem nie było dziwnego w tym, że prawie bez przerwy poruszali ustami. Przedstawiciele młodszego pokolenia trzymali przed sobą małe telewizory, albo bezprzewodowe komputery. Odnośnie sprzętu elektronicznego tego typu, to wszelkiej maści ekrany, telebimy, monitory zainstalowane były w sklepach, dachach i ścianach domów, czy też przeznaczonych do tego słupach. Wszędzie, dosłownie na każdej wolnej przestrzeni było ich pełno. Zewsząd dolatywała muzyka, odgłosy reklam i filmów. Hałas, hałas i hałas! Do tej specyficznej orkiestry dołączył jeszcze szum przejeżdżających samochodów.

Ciągły ruch wszelkiego rodzaju maszyn, jak i samych ludzi, zaczynał już mnie nużyć, a potem nawet dręczyć. Właśnie zamierzałem przenieść się w inne, bardziej zaciszne miejsce, kiedy przysiadł się do mnie starszy mężczyzna. Był nieogolony, ubrany raczej skromnie, ale w miarę schludnie. Najpierw przyjrzał mi się uważnie, po czym rzekł:

- Cześć, Tomek. Dawno cię wypuścili?

Teraz dopiero przypominałem sobie, że faktycznie mam na imię Tomasz. Zacząłem zastanawiać się, skąd ten nieznajomy gość może wiedzieć o mnie więcej, aniżeli ja sam? A do tego jeszcze, kto i skąd miałby mnie wypuszczać?

Zaraz, zaraz... Z odmętów świadomości, z wolna zaczęły wyłaniać się, skrywane dotąd gęstą mgłą tajemnicy, skrawki mojej tożsamości. Wyteżyłem siły, aby z nich jak najwięcej odczytać. Pomieszczenie przypominające swoją surowością celę więzienną. Prycza. Dwie osoby w białych fartuchach zbliżyły się do mnie. Jedna trzymała w ręku strzykawkę. Ukłucie. Ból. I ... to wszystko.

- Wyszedłem dzisiaj - odezwałem się, wpatrując się z uwagą w twarz siedzącego obok mnie człowieka. Mimo starań, jakie czynilem w tym kierunku, nie mogłem sobie przypomnieć, czy był on moim znajomym, kolegą, czy być może przyjacielem. Luka w pamięci.

- Widzę, drogi kolego, że mnie nie poznajesz - rzekł obcy mi dotąd mężczyzna.

- Przepraszam, ale jakoś nie mogę sobie przypomnieć ...

- Piotr. Mieszkaliśmy przecież przez kilka lat w jednym pokoju.
- Gdzie? - spytałem.
- W Przechowalni.
- W jakiej „Przechowalni”?
- Nie wiesz? Naprawdę, czy tylko się zgrywasz?
- Nie wiem. Naprawdę nic nie pamiętam. Serio.
- W Ośrodku Opiekuńczym - wyjaśnił Piotr, wpatrując się we mnie z uwagą.

- W Ośrodku Opiekuńczym - bezwiednie powtórzyłem za nim, zagłębiając się jednocześnie w zakamarki pamięci. - A tak ... rzeczywiście. Zaczynam sobie coś przypominać - zajaśniał, a raczej ledwie błysnął bladym światłem fragment obrazu z przeszłości.

- Na pewno?
- Tak, tak ... Na pewno - przytaknąłem nieśmiało.
- Słuchaj, Tomek. Byłem w szpitalu, ale ciebie ...
- Jacyś młodzi ludzie zabrali mnie stamtąd do swojego domu, albo pracowni. Dziwne miejsce.

- I co?
- Udało mi się stamtąd uciec.
- Tak źle ciebie traktowali?- spytał Piotr.
- To znaczy ... nie podobało mi się, że chcieli wykorzystać mnie do swoich celów. Wyobraź sobie ...

- Chcieli, żebyś pisał dla nich tematy do ich książek, a raczej czegoś do nich podobnego - dokończył za mnie mój sąsiad z ławki.

- Zgadza się. A skąd ty to wiesz?! - zdziwiłem się.
- Nie domyślasz się?
- Nie. Zaraz, zaraz...- poprawiłem się. - Czyżby ciebie też złapali?
- Zgadza się.
- I co?

- Trzymali mnie tydzień, albo i dłużej w tej ich pracowni. Tylko, że ja im się nie dałem. Wziąłem ich na sposób, chłopie. Od samego początku udawałem, że mam kompletną pustkę w głowie. Z początku mnie nie wierzyli, zapewne przeczuwali, że biorę ich pod włos. Ale ja, bracie, byłem uparty, jak osioł. Dali mi więc po pewnym czasie spokój i wypuścili - odpowiedział z dumą Piotr.

- No, no ... spryciarz z ciebie. Przebiegły lis, rzekłbym nawet. A możesz mi powiedzieć - tu spojrzałem na niego podejrzliwie - co ty teraz tu robisz?

- Aaa... o to ci chodzi? Możesz być spokojny, nie jestem kapusiem. Dostałem przepustkę. Aż takiego reżimu w Przechowalni nie ma - odparł mój kolega. Po chwili zniżonym głosem dodał: - Tomek, chyba będziemy musieli stąd wiać.

- A niby to dlaczego?

- Zdaje się, że nas namierz yli. Chodu!

Na ten manewr było jednak już za późno. Zanim zdążyliśmy unieść się z ławki, a już przed nami wyrosli dwaj rośli mężczyźni w mundurach. Po krótkim przedstawieniu się, starszy rangą poprosił nas o dokumenty. Piotr wyciągnął w jego stronę rękę z odsłoniętym nadgarstkiem, na którym widniał żółty pasek. Dowódca patrolu przyłożył w to miejsce czytnik, a potem długo patrzył w niego z uwagą. Wymieniwszy jakieś uwagi ze swoim podwładnym uśmiechnął się z grzecznością do Piotra, po czym spojrzał badawczo na mnie.

- A pan? - spytał krótko.

Odruchowo poszedłem w ślady mojego towarzysza. Jakież było moje zdziwienie, kiedy na nadgarstku ujrzałem taki sam pasek! Dlaczego wcześniej nie zwróciłem na niego uwagę? Doprawdy nie wiem. Zresztą, w tej chwili nie miało to żadnego znaczenia. Istotne było to, że funkcjonariusz porządku publicznego powtórzył dokładnie te same czynności, jakie uczynił wcześniej. Z tą jednak różnicą, że po dokonaniu odczytu i wymianie zdań ze swoim kolegą, zwrócił się do mnie służbowym tonem:

- Pójdzie pan z nami.

- Dlaczego? Co ja takiego zrobiłem? - spytałem podirytowany takim obrotem sprawy.

- Tomek, daj spokój. Nie stawiaj się. To tylko pogorszy sytuację. Zaraz podjadę do Przechowalni i powiem dyrektorowi o tobie. Na pewno przyjdziemy po ciebie - spokojnym, zrównoważonym głosem odezwał się Piotr.

- Dobra - odparłem krótko, unosząc się leniwie z ławki.

W komisariacie stróżów prawa najpierw sporządzono odpowiednią notatkę służbową, potem zostałem odprowadzony do celi. Długo w niej jednak nie siedziałem. Gdzieś po godzinie zjawiała się przedstawicielka „Przechowalni”. Za jej poręczeniem zostałem zwolniony z aresztu i przewieziony samochodem służbowym do „domu”, czyli Ośrodka Opiekuńczego dla Odrzuconych.

W pokoju czekał już na mnie Piotr. Długo ścisnął mi rękę, po czym ze łzami w oczach rzekł:

- Nie wiesz, Piotr, jak się cieszę. Dobrze znów być razem.

W odpowiedzi przytaknąłem mu tylko głową i zwałem się na łóżko. Zamknąłem oczy i bez oporu poddałem się atakującej mnie senności.

(2011 r.)

Janusz Ryszkowski

Częściowo spełniony człowiek

*Nieautoryzowana rozmowa z
Filipem Rejnem, bohaterem powieści
Ryszarda Filbrandta „W objęciach
świadomości”*

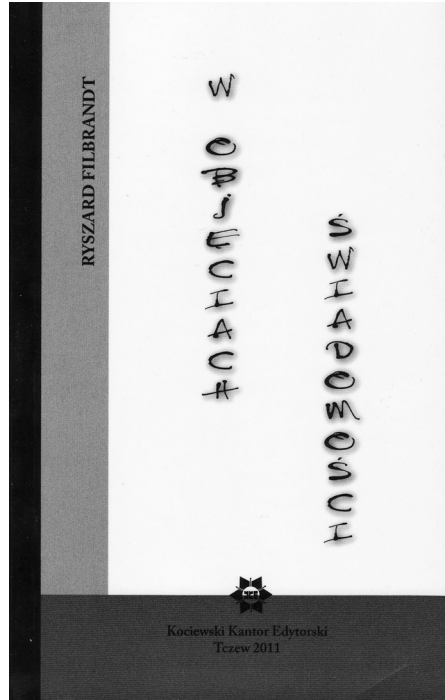
- Prawie codziennie zapisuje Pan na kartkach po kilka zdań. Kartki te nie mogą być w linie, czy pokratkowane, one muszą być zupełnie czyste...

-**Dlaczego to robię?** Trudno mi tak od razu odpowiedzieć na tak postawione pytanie, jednak... spróbuję. Uprawiam tego rodzaju sztukę może dlatego, że są właśnie czyste, pełnie tajemniczego powabu kartki, że od wieków są różnego rodzaju przyrządy do pisania, a nade wszystko dlatego, że jest... literatura. Proste, prawda? Od wczesnych lat młodzieńczych ciągnęło mnie do tego rzemiosła ar-

tystycznego. Oczywiście, doskonale sobie zdaje sprawę z tego, iż ta amatorka twórczość stała się moją obsesją, a nawet pewnego rodzaju narkotykiem. Dlatego, mimo usilnych starań, nie mogę się jej przeciwstawić; jej czar po prostu mnie obezwładnia. Sam akt zmagania się z tworzywem literackim sprawia mi niebywałą radość. Niezależnie od tego, czuję się chociaż częściowo spełnionym człowiekiem, pozbawionym skrupułów, że do cna zmarnowałem swój czas, który został mi przecież podarowany. Poza tym, przez cały okres trwania pracy twórczej, czuję się wolnym, niezależnym od nikogo i niczego człowiekiem.

- **Jak Pan sytuuje siebie w środowisku ludzi pióra i w życiu ogóle?**

- Nigdy nie marzyłem o czymś wielkim: o sławie, karierze, czy trywialnych pieniądzach. Chciałem tylko doczekać się wreszcie spokoju wewnętrznego, własnego kąta (choćby skromnego) i publikacji w formie książek (bez rozgłosu!) moich skromnych utworów literackich. Tylko tyle. I, o dziwo, ku mojemu zaskoczeniu, sztuka ta udała mi się. Oczywiście mogło być lepiej,



ale... dobre i to. Dla mnie to wielki sukces. Wyznaje zasadę, że lepiej jest zostać przy małym. Ma się wtedy pewien komfort psychiczny, mniejszy bagaż stresów, a przede wszystkim poczucie spełnienia.

Z drugiej jednak strony, doskonale sobie zdaję sprawę z tego, iż w oczach przygniatające większości ludzi nie osiągnąłem kompletnie nic, jestem więc przysłowiowym zerem.

Zapytam zaraz - dlaczego?

- Odpowiedź jest banalnie prosta. Jestem „nikim”, albowiem nie mam praktycznie żadnego majątku, chociażby tylko samochodu dobrej marki. Mało tego. Jestem „nikim”, bo nie mam formalnego wykształcenia uniwersyteckiego, nie jestem tzw. biznesmenem, a nawet (o zgrozo) nie piastuję odpowiednio wysokiej funkcji w firmie prywatnej czy nawet urzędzie. Zatem, jak widać, jestem na ostatnim, a w najlepszym wypadku, przedostatnim szczeblu drabiny społecznej.

Porzućmy ten sarkastyczny ton...

Przemyślałem temat dogłębnie i - wbrew mojej naturze - mogę stwierdzić z całą świadomością, że nie jestem byle kim. Spokojnie, spokojnie! Jak już wiele razy udowodniłem, nie jestem pyszałkiem, nie rozpiera mnie duma, nie poprzewracało mi się w głowie. Nic z tych rzeczy. (...) Jestem stworzeniem kosmicznym, stworzeniem zbudowanym ze wszystkich pierwiastków, z których składa się Wszechświat. Znakiem tego, w naturalny sposób jestem, można by rzec, pewnego rodzaju potomkiem Wielkiego Wybuchu.

Powróćmy do pisarstwa. O czym traktuje pana ostatnia powieść?

- Raczej „antypowieść”. Utwór wielowątkowy, rozgrywający się na różnych poziomach czasoprzestrzeni. Jedynym spoiwem łączącym go w całość jest główny bohater, który jest jednocześnie, co zrozumiale narratorem. Zresztą, co tu dużo gadać, takim szufladkowaniem niech się ewentualnie zajmą tak zwani krytycy. A tak naprawdę, wątpię w to, żeby którykolwiek z nich chciałby się pochylić nad nią.

-Ale widzę, że fakt wydania książki sprawił radość...

Tyle tylko, że ani jeden jej egzemplarz nie trafi na Półki księgarskie, nie tylko z uwagi na bardzo niski nakład. Nie znaczy to, że części kilku czy nawet kilkunastu książek nie sprzedam. Co prawda, przeznaczone są głównie dla rodziny, przyjaciół i znajomych, ale jak ktoś rzuci groszem, nie schowam ręki. Żaden to wstyd, tym bardziej, że cały nakład sam sfinansowałem.

Wszystkie odpowiedzi w całości pochodzą z książki Ryszarda Filbrandta „W objęciach świadomości”, Kociewski Kantor Edytorski, Tczew 2011

Nota

Miała być w tym miejscu recenzja z najnowszej książki Ryszarda Filbrandta. Jest – wyimaginowany wywiad i to nie z nim. Choć - jakby z nim.

Kiedy czytałem pierwsze utwory pana Ryszarda (pracował jako technolog w Gdańskich Fabrykach Mebli w Sztumie) wróżyłem mu twórcze spełnienie w małych formach literackich. Ukazały się one w 1990 r. w tomiku „Klocki dla dorosłych”. Pisarz jednak poszedł w inną stronę. Wydawał potem opowiadania i powieści. Ale zawsze ujawniała się predylekcja do małych form.

Pisarz - tu warto przytoczyć trafną diagnozę dra Ryszarda Tomczyka - „jest, a przynajmniej usiłuje być reprezentantem, wyrazicielem zawiedzionych, krzywdzonych, poniżanych, oszukiwanych, i degradowanych przez nowe struktury współczesnego, czytaj – współczesnego kołtuna”.

Podobnie pisarz Filip Rejn, bohater najnowszej powieści „W objęciach świadomości”. Odnajduje w sobie siłę, by dzięki sile wyobraźni (i twórczości) przeciwstawić się pewnej wszechwładnej Korporacji.

Coda

Przerwałem na chwilę lekturę skromnej objętościowo książki, którą napisał mój kolega „po piórze”. Wydanie autorskie, w niskim nakładzie, przeznaczone tylko dla wybranych. Zdecydowanie popieram takie inicjatywy. Świadczą one o dojrzałości intelektualnej autora. Nie od dziś wiadomo, że tego rodzaju utwory nie wzbudzają większego zainteresowania wśród rzeszy czytelników, których i tak z dnia na dzień ubywa. Wiem coś na ten temat, po przecież sam uprawiam podobną twórczość i od czasu do czasu coś publikuję. („W objęciach świadomości”)

Żuławski Parnas

Od września 2011 roku w Żuławskim Ośrodku Kultury prowadzę zajęcia nazwane warsztatami literackimi. Przychodzą na nie osoby, które piszą i mają odwagę zaprezentować swą twórczość publicznie. Omawiamy teksty, czytamy wiersze i prozę, zastanawiamy się nad korektą, dyskutujemy. Bawimy się słowem. W „Prowincji” chciałbym zaprezentować najlepsze z tekstów, które zakwalifikowałem do rubryki żartobliwie nazwanej „Żuławski Parnas”. Parnas to greckie pasmo górskie. Według mitologii siedziba Muz. Czy ktoś wątpi, że na naszej nizinie Muzy nie mieszkają? Chętnych zapraszam na zajęcia. Informacja o spotkaniach jest na stronie internetowej ŻOK-u. Na początek Marek Ofierski ze swoimi Historyjkami. Marek Ofierski - rocznik 1983, jest z zamiłowania amatorem uśmiechu i smacznego jedzenia. Ponadto lubi zdrowy tryb życia. Jest też wielkim miłośnikiem kobiecych krągłości. Więcej jego tekstów znajdziecie w internecie, gdzie prowadzi blog: Nie koloruj cienia oraz Znaczny tekst [Ofierski.pl]

Andrzej Kasperek

Marek Ofierski

Historyjki

Nowa joga

Do mistrza beczynu, który od dzieciństwa był izolowany od świata, a który sam wychował wielu, przyszedł były adept. Po przyjacielskich uściskach, mistrz zadał pytanie dotyczące ćwiczeń w krajach z których wrócił jego przyjaciel.

- Tak, tamci ludzie robią to całymi dniami - powiedział przyjaciel.
- Ocho! - zdziwił się mistrz.
- Ćwicząc mogą rozmawiać, jeść, tańczyć, kochać się, cokolwiek.
- Ocho... - ponownie zadziwił się mistrz, nie dowierzając, że ludzie, o których kiedyś słyszał, że żyją w ciągłej gonitwie za namiętnościami, że są targani pragnieniami, teraz tak mocno trwali w zaawansowanych technikach, o których nawet nie marzył.
- Mówię prawdę, ćwiczą ciągle, niemalże bez ustanku.
- No dobrze, dobrze, a jak się nazywa ta dyscyplina o której mówisz?
- Mówią na to – joga telewizji.

Efekt uboczny

W klasztorze obok zamiatającego podłogę adepta przechodził mistrz. Adept nie mogąc się powstrzymać natychmiast zadał mu pytanie. „Mistrzu – powiedz - dlaczego nie mam traktować oświecenia jako głównego celu?” „Bowiem - odparł tamten - kiedy będzie po wszystkim, to i tak trzeba zamieść podłogę”.

Wieczna młodość

Spytano się kiedyś piękną kobietę, dlaczego od dwudziestu lat unika patrzenia w lustro. „Bo - padła odpowiedź - pamiętam swoją twarz, kiedy byłam młodą dziewczyną, a dzięki temu tak samo się teraz czuję”.

Brudne rękawy

„Dlaczego podczas pracy ty nigdy nie podciągasz rękawów, toć możesz się pobrudzić” - dziwiła się pewna kobieta swojej przyjaciółce. „Bo nie przedkładałam kawałka szmaty nad piękno ciała” -odparła tamta.

Nie rezygnuj

„Póki ćwiczysz, to nigdy nie rezygnuj z treningów”- powiedział trener do swojego ucznia. „Ale dlaczego - zdziwił się tamten - toć potrafię już dobrze pływać”. „Ja potrafię chodzić od małego - odparł trener - ale i tak czasami się potykam.

Myślowe ograniczenia

Dwóch sympatycznych przyjaciół opowiadało sobie wesołe historie. „Ostatnio przeczytałem - zaczął jeden - że pewien mężczyzna zabawiał się z kobietami sto jeden razy pod rząd”. „A to ciekawe - odparł drugi - a ja w myślach ograniczałem się tylko do czterdziestu”.

Iluzja przebrania

Pewien człowiek miał swoisty sposób na polepszanie sobie humoru. Chodził przebrany w kolorowe łachy po mieście i wygadywał najróżniejsze nonsensy, a raczej wyrzucał z siebie bełkot, którego sam nie rozumiał. Na pytania, dlaczego do tego potrzebuje przebrania, odpowiadał:

- Bo kiedy jestem ubrany jak błazen i tak samo się zachowuję, to wszystko jest w normie.

- A kiedy nie jesteś przebrany? - ktoś spytał.

- To wtedy zaczynają się kłopoty.

Weselsze serca

Młody kawaler postanowił obdarzyć pewną nieznajomą różą, którą ot tak zerwał sobie z miejskiego trawnika, na którym widniała tabliczka „szanuj zieleni”. Starsza kobieta, która zobaczyła ów występek postanowiła zwrócić kawalerowi uwagę i natychmiast się odezwała: „Wandal! W taki sposób nigdy nie będziemy mieli ładnych trawników!”. Na te słowa młodzieniec odpowiedział: „Ale za to będzie więcej weselszych serc”...

Cieężkość wiedzy

Siedzący na chodniku jogin, nie może się nadziwić patrząc na człowieka obładowanego książkami. W końcu nie mógł już znieść tego widoku i odezwał się:

- Niech pan wyrzuci te śmieci w cholerę, bo dostanie pan przepukliny.
- Jeszcze nikt od wiedzy nie dostał przepukliny - odparł tamten.
- No może przepukliny nie, ale z tego, co widzę, to od samego jej noszenia rośnie panu garb.

Będę szczęśliwy

Pewnej nocy do ogrodu zoologicznego zakradł się magik i zahipnotyzował wszystkie papugi. Za każdym razem, kiedy słyszały „będę szczęśliwy”, miały krakać „idiota”. Niestety, po kilku dniach władze ogrodu kazały uśpić wszystkie ptaki.

Pisanie bajką

Spytano się kiedyś pewnego filozofa:

- Dlaczego pan przestał pisać traktaty i zaczął pan pisać bajki?
- Bo kiedy piszę bajką, to dociera to do człowieka, a wtedy ten może odrobinę zmądrzeje.
- A traktatem?
- Wtedy tylko dociera.

Psi charakter

Idący z psem mężczyzna, został zaczepiony przez nieznajomą.

- Jaki łady piesek - rozjaśniła się nieznajoma - ciekawe jaki ma charakter?
- Absolutnie nie mam pojęcia - odrzekł właściciel - ale dam sobie uciąć rękę, że w odróżnieniu od ludzi, prawdziwy...

Polowanie

Przed polowaniem słyhać było drwiący śmiech. Bowiem wśród zapalonych myśliwych z rasowymi chartami, znalazł się jeden, który przyprowadził ze sobą jamnika i parę kundli.

- Niebo mi świadkiem, tłumaczył się wyśmiewany, nie odpowiadam za te bestie i ustrzelę wszystko, czego dopadną na swej drodze.

Zanim słońce osiągnęło szczyt, właściciel kundli wracał do domu z głowami myśliwych.

Święty i duch

Pewien człowiek, który służył z bardzo surowego życia, po swojej śmierci został okrzyknięty jako święty. Jakie było jego rozczarowanie, kiedy trafił do piekła. Jednak po jakimś czasie pojawił się duch, aby go stamtąd wyciągnąć.

- Już czas - powiedział duch
- Ale czy w niebie będę mógł robić to samo, co tutaj? - spytał asceta.
- Czyli co?
- Głodować, biczować się i spać na gwoździach?
- Ależ oczywiście, wystarczy że zamkniesz przy mnie oczy, a kiedy je otworzysz będziemy na miejscu.

Święty zrobił tak, jak powiedział mu duch.

- Ale dalej tutaj jesteśmy, zdziwił się asceta
- No tak, bo to twoje niebo.

Kaznodzieja i szaman

Przypadkiem kaznodzieja spotyka Indianina. Po chwili padają słowa:

- Słuchaj Pana człowieku. On zaprowadzi ciebie na właściwą ścieżkę.
- Ja słucham Wiatru - odpowiada Indianin, bo ten wypłukuje mi z głowy każdego pana.

Codzienne rozmowy

W nowo powstałym parku, słysząc rozmowy pierwszych gości.

- Nie mogę się tylko nadziwić, dlaczego te ławki nie stoją po zachodniej stronie?

I drugich:

- Osobiście postawiłbym te ławki bardziej do środka.
- Ja do zewnątrz..

I trzecich:

- Szkoda, że te ławki nie stoją po wschodniej stronie.

I kolejnych...

Względna filozofia

Spotyka się dwóch znajomych...

- „Mógłbyś skosić ten trawnik - powiedział pierwszy - istny syf. Nie wiem, jak możesz siedzieć między tymi chwastami?”

- „To nie chwasty - odparł drugi - to Natura...”

Sytuacja się zmienia, spotykają się u pierwszego.

- „Nie wiem, jak możesz siedzieć w tym hałasie i smrodzie papierosów - powiedział drugi - istny syf...”

- „To nie syf - odparł pierwszy - to technologia...”

Sebastian Kubiak

„do teorii chaosu”
gdybymż wiedział
co mnie czeka
wyrwałbym skrzydełka
cholernemu motylowi

* * *

pod żabą
w ciszy i spokoju
liść się unosi

* * *

o emocji dreszcz
przyprawia mnie
zupełnie
fantastyczne stworzenie

kobieta

* * *

oto faluje
wysokie niebo
w wodzie odbite

* * *

tu i teraz... jestem
pustka?... nirwana?...
nie – to deszczu kropelka
po szybie spływa...

* * *

oglądam spektakl
najlepszy na świecie
codzienny zachód słońca

„wirydarz”
pomału leniwie
krążą myśli
wokół malutkiego raj

„o zachodzie”
tkwią we mnie
krajobrazy wyobraźni
chmurą malowane

* * *

piękny jest
cał twego ciała każdy
szczegół we mnie tkwi

* * *

ileż smutku opisać
mogą mchem
dachówki okryte

* * *

powoli siwieje
jak ja
lipa samotna

„cmentarz”
prześcigają się
w posiadaniu
zawistni czciciele
pomników rozkładu

„sikorka”
ileż w tobie życia
żółto brzuchy zwiastunie
zimnej bieli

* * *

pierwszy śnieg tej zimy
w innym oknie
wieczór spędzony przypomina

* * *

zdarza się czasami
w czasoprzestrzeni punkcie jakimś
że zaczynam myśleć obrazami
tęskniąc w głębi za kimś

„weed”
zapętle trybiki
zieloność zeschnięta
na twarzy uśmiech zastyga

„kąpiel”
leżę
siedzę
pływam?
w ciepłej wypierany
zaczynam pojmować
kafle na ścianach
i emalię na burtach
jak Archimedesowa eureka
wyskakuję
objijając się o rzeczywistość
ślizgany na kafelkach piekielnych
w bólu zapominam
co też zacząłem pojmować
gdy ręcznik ociera wodę
słonawą z twarzy

* * *

mróz ciemność
oddech do stóp upada
ach te gwiazdy nade mną!

* * *

księżyc świeci
śnieg tajemnice skrywa

wpadłem do rowu

Michał Kander**PORANNIE**

myję szczoteczką zęby
usuwając kamień
wymuszonych uśmiechów

płuczę gardło
zaczerwienione od zapewnień

golę się
bo zarastam pozorami

i jeszcze tylko śniadanko
kromeczka razowych myśli
z cieniutkim plasterkiem nadziei

ŻYCIE

boję się pływać
dotykać nieporadnymi dłońmi
wodnej tafl
szukać gruntu
gdy zazwyczaj go nie ma
przecierać oczy
nerwowo nabierać
zbyt mało powietrza
po omacku bez planu
machać kończynami
imitując ruchy zwinnych kolegów
boję się pływać
nie boję się utonąć

POETA

marzyło mu się być
masażystą myśli
serc opiekunem
z planów nie wyszło nic
stoi w kacie
i przeciąga strunę

PIOTR MICHNA

24 GRUDNIA, POŁUDNIE

Panu Ryszardowi Skowrońskiemu po lekturze wielu jego wierszy

Biel zimowego nieba, nieruchoma, tak oślepiająca.
Głębokie puszyste śniegi w jaskrawiejąco srebrnych
Prześwitach słońca, rozmigotane, na ogromnych
Falistych polach. Znajoma ścieżka wzdłuż lasu,
Gdzie znowu w tych samych miejscach szklą się
Zastygłe mlecznobrązowe bajorka. Żadnych o d głosów.
Cisza niczym anielska, nadzwyczaj spokojna.
I chyba oczekiwanie (szczęście że który już raz,
Nie pamiętasz). Więc zdawać by się mogło nadzieja,
Którą, to, dziwne, nawet jeszcze po latach
Jednak jak gdyby się miewa.

SPACER

Tak, pomyślałem, niechaj i takie chwile zdarzą się w wieczności.
Jak choćby teraz, gdy po południu, w czystym zimowym świetle
Spaceruję z psem. I czuję gdzieś w głębi radość.
Ot taką sobie, żadną nadzwyczajną; po prostu ludzką,
Że jestem nie gdzieś tam indziej, ale tu, gdzie jestem.

To małe spokojne miasteczko na obrzeżach kraju
(Choć wiemy o nim może jedynie my, mieszkańcy,
Te skryte w iskrzących się śniegach parki, place zabaw,
Podwórka ledwie widoczne ścieżki nad torami
Ślepe uliczki, zaułki, którymi idąc wspominam
I jakby słyszę, widzę niegdysiejsze czasy,
Nasze beztroskie wrzaski, gdy graliśmy w klasy,
Także prędkie gonitwy, na przekór dorosłym,
Przez świeżo wysiane trawniki pod kasztanowcami,
Śmieszne niegroźne bójki, zabawy w „chowane”,
Albo w „gąski, gąski do domu” (oj, trochę szkoda,
Dziś już zapomniane); i te rozkołysane dzwony
U Świętej Trójcy tuż przed mszą o czwartej,
Huczące dzisiaj tak śpiewnie jak i wtedy latem,
Gdy z śliczną córką sąsiadki między wzgórzami

Na niezbyt ludnych przedmieściach kąpałem się w rzece;
I tamtą skrzypiącą furtkę, tamten cichy ogródek,
Gdzie się z nią poznałem, i piaskownicę pod wierzbą,
I huśtawkę obok, i mego ukochanego jamnika,
Co tak rozkosznie właśnie zanurkował w zaspie,
Niechaj nawet kiedy stąd zniknę, podobnie, podobnie zobaczę.

JESTEŚ

Ty, który jesteś
odkładany przez nas na górną półkę,
chowany na dno szuflady,
staromodny, inaczej – nieprzystosowany;
traktowany niejednokroć tak, jakby ten świat
już nie do ciebie należał
(a jednak czasem jeszcze potrzebny,
gdy udręka lub śmierć do serca zastuka);
mijany coraz bardziej z daleka
przez nawet najmniejsze nawiasy zdań;
niekiedy całkiem zapomniany.

Stale przychodzisz i zebrzesz
o choćby skromny okruch codziennego chleba.

Karolina Ciechorska-Kulesza

Tak blisko, tak daleko, czyli o niejednoznaczności przestrzeni

Jak to możliwe, że do Stegny z Gdańska jest tak daleko, a z Elbląga tak blisko, choć mierząc w kilometrach, odległość jest prawie taka sama? Jak to jest, że dla gdańszczan (i ogólnie dla tych mieszkających na zachód od Wisły) Mierzeja Wiślana jest najczęściej dalekim, nieznanym światem, a dla elblązan to „prawie jak w domu”? Pytań tego typu pojawiało się wiele, szczególnie w trakcie moich badań dotyczących przemian tożsamościowych w byłym województwie elbląskim, a także studenckich praktyk socjologicznych w Stegnie. Pytania pojawiały się najczęściej w samochodzie na trasie Gdańsk – Elbląg, Elbląg – Gdańsk, Gdańsk – Mierzeja, Elbląg – Mierzeja i tak dalej... Co ciekawe, okazało się, że kierunek ma w tych rozważaniach wielkie znaczenie. A pytania o przestrzeń w kontekście społecznym zaprowadziły mnie do osobistego doświadczenia miejsc i procesu ich stawania się.

Przestrzeń fizyczna w refleksji socjologów i ich kolegów z pokrewnych dyscyplin najczęściej obecna jest w kontekście przestrzeni społecznej, której definicje, ujęcia, znaczenia są stale rozwijane i dyskutowane. Najogólniej przestrzeń społeczna to nie tylko metaforyczne ujmowanie pewnego fragmentu rzeczywistości społecznej, jak na przykład przestrzeń kultury, subkultury, czy przestrzeń konfliktu, ale przede wszystkim odniesienie do miejsca, obszaru, terytorium uwarunkowanego społecznie, zamieszkwanego przez zbiorowości o pewnych cechach, wytworzonego poprzez nadanie jej znaczenia i funkcji (por. np. Jałowiecki 2000). Przestrzeń społeczna jest, a właściwie ciągle się staje, dzięki zwykłym mieszkańcom, którzy ją określają i identyfikują głównie poprzez mobilność, czyli praktyki poruszania się w przestrzeni, ale także poprzez swoje wyobrażenie przestrzeni, jej cech, granic, centrum, peryferii. W tym drugim zadaniu znaczący wydają się przywódcy, nie tylko ci formalni związani z władzą, ale regionalni i lokalni liderzy opinii, którzy kształtują dyskurs myślenia, definiowania, oceniania przestrzeni społecznych (na przykład w kwartalniku „Prowincja”).

Na moje zainteresowanie byłym województwem elbląskim w kontekście przestrzeni społecznej składa się oczywiście także fakt włączenia tych ziem po II wojnie światowej do Polski i związane z tym masowe migracje. To zagadnienie świetnie wpisuje się w ciągle żywą refleksję badaczy społecznych w odniesieniu do tzw. Ziem Zachodnich i Północnych, czy do społeczności postmigracyjnych, którzy w minimalnym do tej pory stopniu zainteresowali się omawianym terenem. Ponadto, co bardzo ważne, liczne powojenne

reformy administracyjne, a szczególnie ta z 1999 roku, każą spojrzeć na tę, do tej pory „nieuchwytną przestrzeń” (za Michaeliem Keatingiem), jak na „przestrzeń zadaną”, której zbiorowości, wspólnoty, a także liderzy zmuszeni są do wypełniania jej „społeczną treścią”. W owych procesach najbardziej interesuje mnie nie płaszczyzna, którą nazwać można organizacyjną bądź funkcjonalną, ale ta mniej widoczna gołym okiem, związana z kulturą, symboliką i semantyką. Owe wypełnianie przestrzeni przejawia się głównie w formułowaniu i przeformułowaniu relacji między poszczególnymi zbiorowościami, zakreślaniu granic, prowadzeniu dyskursu wokół pamięci zbiorowej, a także, a może przede wszystkim, w kształtowaniu (konstruowaniu, rekonstruowaniu, wzmacnianiu) tożsamości zbiorowych.

Seria badań, głównie pogłębianych wywiadów swobodnych z liderami społecznymi w byłym województwie elbląskim, analiz treści prasowych, a także wywiadów z mieszkańcami Stegny i okolic, utwierdziła mnie w przekonaniu, że temat jest niezmiernie ważny i warty kontynuowania, być może z różnych punktów widzenia (wybranych miejscowości, kategorii społeczno-demograficznych) i różnych kierunków (np. w kontekście określanych centrów i peryferii). Niniejszy tekst nie ma charakteru raportu z badań, jest raczej zbiorem refleksji na marginesie dotychczasowych, jeszcze dosyć skromnych przedsięwzięć badawczych i obserwacji owych badań (zarówno samego procesu badawczego i jego efektów, jak i od strony badanych, a nawet samych realizatorów).

Filozof i jeden z pierwszych niemieckich socjologów Georg Simmel twierdził, że jedną z właściwości przestrzeni, ważną ze względu na oddziaływanie społeczne, jest jej podzielność. Wskazywał przy tym na wzajemne relacje zbiorowości z przestrzenią. „Przestrzeń w jakimś sensie zajęta przez jedną grupę społeczną – pisze w >Socjologii przestrzeni< – pojmujemy zawsze jako jedność, która stanowi podłoże i wyraz jedności grupy, i odwrotnie – jedność grupy jest podłożem jedności przestrzennej” (Simmel 2008,

s. 370). Relacje granic ze zbiorowościami społecznymi porównuje do relacji ramy z obrazem. Rama obrazu „wyodrębnia dzieło z otaczającego je świata i nadaje mu wewnętrzną zwartość”. Podobnie jest z granicami w przestrzeni, które, im bardziej wyraziste, tym mocniej jednoczą zbiorowości. Jest i odwrotna zależność: „zewnątrzny związek wzajemnych oddziaływań, funkcjonalne relacje między wszystkimi elementami, znajdują przestrzenny wyraz w obwodzie granic” (Simmel 2008, s. 371).

Myśląc o granicach w przestrzeni, najczęściej jako pierwsze wymieniamy granice administracyjne. Narzucone z góry, często nazywane niesprawiedliwymi, nieprzystającymi, kontrowersyjnymi, są przedmiotem dyskusji, sporów, a nawet konfliktów. Reforma administracyjna sprzed trzynastu lat do tej pory jest przedmiotem żywych dyskusji i polemik. Byłe województwo elbląskie w niektórych miejscowościach właściwie uległo zapomnieniu, a

w pozostałych ciągle żyje we wspomnieniach, choćby lat świetności Elbląga, zlikwidowaniu województwa i niesprawiedliwego podziału tych ziem. Większość liderów, z którymi przeprowadzałam wywiady, niezależnie od miejsca zamieszkania, miała większe czy mniejsze wątpliwości dotyczące kształtu granic narzuconych przez władzę centralną. Dobrym odzwierciedleniem zebranych opinii jest wypowiedź urzędnika z Elbląga:

Podział jest fatalny, bo mimo wszystko to było 25 lat i te 25 lat pewne skutki przyniosło. Jeżeli nie takie prospołeczne, to różnego rodzaju nawet komunikacyjne. (...) Drugi, że rozdzielono dwa ważne takie, można powiedzieć subregiony, które nie wynikają z administracji, a wynikają z pewnych cech fizycznych. Żuławy Wiślane nagle stały się częścią dwóch województw i jeden region, bardzo specyficzny, jedyny taki w skali kraju, i o bardzo dużych takich cechach, które wymagają jednego zarządu. Mówię o melioracji, o zabezpieczeniu przeciwpowodziowym (...) I drugi, to jest Zalew Wiślany, z którym różne kłopoty mamy w tej chwili, dlatego, że brzegi Zalewu należą do różnych województw, z różnymi interesami, a granica biegnie przez środek akwenu i trudno w takich regionach, które są na pograniczu, robić coś wspólnie. (14 M E)

Nie wszystkie opinie na temat nowego podziału administracyjnego są tak krytyczne, ale we wszystkich podkreślane jest znaczenie granic z przeszłości (bliższej lub dalszej) oraz tych o cechach fizyczno-geograficznych.

Żuławy mają ten pech, że nie są w jednym organizmie administracyjnym. I tak jest od lat. Praktycznie chyba od czasów krzyżackich, w ramach państwa krzyżackiego to był jeden organizm gospodarczy, w miarę spójny. Ale był ten podział również... zwłaszcza po wojnie. Zawsze te Żuławy były podzielone. I teraz ten podział pomiędzy województwo elbląskie, te dawne, i województwo gdańskie, ten który był na Wiśle, do tej pory jest utrwalony. To jest pewien problem. Dlatego granica regionu... No, cały region określony jest przez... niektórzy określają granicę Żuław za pomocą poziomów geograficznych po prostu. Fizycznie, jako teren położony poniżej pewnej wysokości nad poziomem morza. (3 M NDG)

Z drugiej strony przez Żuławy Wiślane przechodzi inna, ważna zarówno o charakterze fizycznym, jak i symbolicznym granica, wskazywana przez wszystkich liderów, a także przez większość respondentów w badaniach kwestionariuszowych przeprowadzonych w Stegnie. Chodzi oczywiście o Wisłę. To co na wschód od Wisły jest inne, niż to co na zachodzie. To taka magiczna granica, a to co po jest prawej stronie jest nieznane tym z lewej strony, niedostatecznie docenione, jest „za”, co wskazuje na centralność miejscowości położonych na zachód. „Zawiśle” to określenie, którego nie darzą sympatią, co zrozumiałe, zarówno mieszkańcy, jak i sami liderzy powiatów województwa pomorskiego położonych po gorszej stronie Wisły. O centralności obszarów po zachodniej stronie rzeki świadczą odniesienia

do Pomorza, pomorskości, Trójmiasta, Gdańska, nie tylko ze względów administracyjnych, gospodarczych, ale i historycznych, kulturowych, symbolicznych. Okazuje się, że rzeka w tym przypadku dzieląc łączy. Fizycznym łącznikiem jest most, który „symbolizuje rozszerzenie naszej woli na przestrzeń. (...) Wartości estetycznej most nabiera wówczas, gdy nie tylko w rzeczywistości i dla celów praktycznych łączy to, co rozdzielone, ale w dodatku to połączenie bezpośrednio unaocznia. (...) Jest podporą dla spojrzenia scallającego krajobraz dwóch brzegów” (Simmel 2006, s. 250).

Związki opisywanych miejscowości z pomorskością, czy wężiej, z Gdańskiem są nazywane naturalnymi, a uzasadniane są po pierwsze w kategoriach historycznych, z których wynika to drugie, czyli gospodarka i polityka. W określaniu bliskości i związków z większym ośrodkiem ścierają się dwa ważne i konkurujące ze sobą wymiary: odległość fizyczna i „symboliczna”, związana z wielkością promieniowana miast, które pełnią funkcję centrum.

No tak, bliżej do Elbląga, 20 km. Znaczący, Nowy Dwór zawsze był bardziej bliżej, był bardziej związany z Gdańskiem. Na pewno. Nawet nazwa – Nowy Dwór Gdański. Ale w pewnym momencie, kiedy województwo elbląskie zostało utworzone, z naturalnych względów wielu ludzi zaczęło jeździć do Elbląga. No i ten ośrodek był jednak 20 km bliżej. Łatwiejsza komunikacja była zdecydowanie. (3 M NDG)

Skomplikowane, ale bezsprzecznie ciągle istniejące i ważne związki (po)nowoczesnego człowieka z przestrzenią unaoczniane są w procesach konstrukcji, dekonstrukcji, rekonstrukcji tożsamości, zarówno indywidualnych, jak i zbiorowych. Na tożsamość przestrzenną (czy inaczej terytorialną), a dokładniej jej znaczące rodzaje, czyli tożsamość regionalną i lokalną, składa się postrzeganie (wyobrażenie) przestrzeni, poczucie więzi z daną przestrzenią i działaniu w danej przestrzeni. O wadze autoidentyfikacji niech świadczą nie tylko wywody naukowców, w których „tożsamość” od wielu lat znajduje się w podstawowej terminologii naukowej. „Tożsamość” przeniknęła do dyskursu publicznego na dobre, o jej aspektach subiektywnych, jak i obiektywnych mówili nierzadko w wywiadach moi respondenci, podkreślając zarówno odrębność i specyficzne cechy kultury czy zbiorowości omawianego obszaru, jak i ich wspólne poczucie bycia swoimi.

Być może to jest kwestia, że się jedzie do Gdańska, i w tamtą stronę, że to tak jakby zwyczajowo, nie, że, większość ludzi jednak tutaj, jak sobie gdzieś emigruje, to emigruje na północ, nigdzie, nigdy praktycznie nie jadą na ten kierunek południowy, jakby tak w głowie gdzieś pewnie zakorzeniona taka tożsamość jest. (25 K M)

O tym, jak różne są tożsamości regionalne i lokalne moich rozmówców, a także, tożsamości obecne w dyskursach publicznych (do czego w dużej części przyczyniają się oni sami), mogą świadczyć często bardzo odmienne

wizje regionów, a tym samym definicje i zakresy „naszych” i „obcych”. Płynność i niedookreśloność granic i cech charakterystycznych poszczególnych terytoriów widoczna jest w wielu miejscach, w tym na Ziemiach Zachodnich i Północnych. Wizja podziału, nazwania i zdefiniowania najbliższego świata, tak oczywista i naturalna, odporna na większe zmiany w wielu przypadkach jest sprzeczna z wizją artykułowaną przez liderów, którzy współkształtują opinię publiczną kilkadziesiąt, a nawet kilkanaście kilometrów dalej. Najbardziej problematyczne, co podkreślali sami respondenci, okazało się Powiśle, czasem nazywane Dolnym Powiślem. Niemniej, ze względu na częstość odnoszenia się do takiej całości, nie można było nie uwzględnić w analizach owego procesu kształtowania (się) regionu. Wątpliwości, czasem kontrowersje i silne emocje wzbudzała kwestia granic Powiśla.

Dla rozmówcy ze Sztumu Powiśle to jest jednak powiat sztumski i powiat kwidzyński. Malbork częściowo, bo w zasadzie to już się traktuje jako teren żuławski (5 M SZ). Drugi biegun stanowią twierdzenia pasłęczan, że Pasłęk to coś między Warmią a Powiślem, ale chyba bliżej Powiśla, albo bardziej jednoznacznie: <Słownik Historii Polski> zanotował, że Pasłęk należy do Powiśla. Z punktu widzenia historycznego jest to Powiśle, ale z punktu widzenia geograficznego, to jest zachodnia część Niziny Warmińskiej. Bo sama Warmia, to tak powiedzmy obrazowo, zaczyna się od Braniewa od północy, Lidzbark Warmiński, Olsztyn, no i jest to taki jezior na mapie, to jest Warmia. A tu my się zaliczamy do Powiśla. Może to wydawać się dziwne (6 M P). W Kwidzynie i Sztumie zaś Elbląg i Pasłęk to wiadomo – Warmia, to nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości. To tylko kilka, najbardziej charakterystycznych z wielu przykładów różnorodnego zarysowywania granic.

Linia przerywana, czyli niejednoznaczność granicy, oddzielenia od swoich i obcych pojawiała się dość często w przypadku omawiania swojego miejsca zamieszkania. Dowiedziałam się, że Elbląg jest marginesem, Pasłęk jest taki... odrębny, Kwidzyn to już absolutnie ani Żuławy, ani Warmia, ani do niczego tam przypiąć się nie da za bardzo, Malbork to tak między Żuławami a Powiślem. Ponadto często określano terytoria jako pogranicza, przygranicza, na granicy, margines, coś pomiędzy.

Bycie na skraju, pomiędzy, na granicy to chyba to, co najczęściej i najbardziej łączy zarysowane terytoria w omawianych wypowiedziach. Pod względem administracyjnym, politycznym i gospodarczym cecha pograniczności zamieniała się w niedogodną peryferyjność. W sferze kultury i jej dziedzictwa najczęściej widziano w niej, jeśli nie same atuty, to przynajmniej niewykorzystany potencjał. Wielokulturowość, migracje i związana z nimi bogata i różnorodna historia stają się, o ile już się nie stały, głównymi elementami regionalnej czy lokalnej tożsamości zbiorowej. Wydaje się, że to właśnie w ciągle konstruowanej i żywo dyskutowanej pamięci społecznej zarysowuje się kształt przestrzeni. A przestrzeń ujmowana w perspekty-

wie temporalnej wzbogaca nie tylko analizy badań, ale przede wszystkim wachlarz elementów składających się na tożsamości zbiorowe oparte na lokalności, czy inaczej – pomaga szukać i odnajdywać genius loci.

Cytowane źródła:

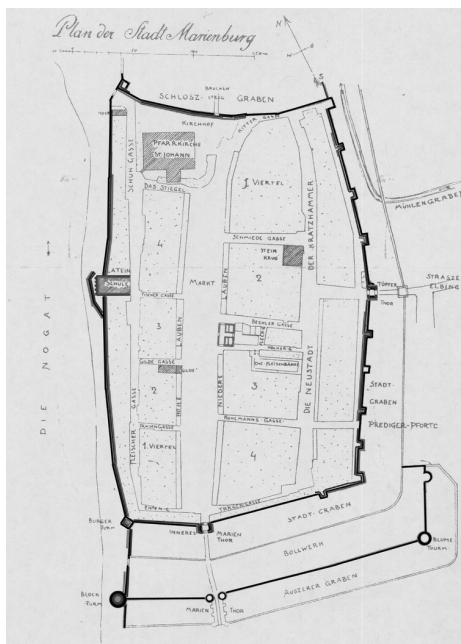
Jałowiecki Bohdan, Przestrzeń społeczna, w: Encyklopedia Socjologii tom 3. Warszawa 2000, Oficyna Naukowa, s. 241-244.
Simmel Georg, Most i drzwi. Wybór esejów. Warszawa 2006, Oficyna Naukowa.
Simmel Georg, Pisma socjologiczne. Warszawa 2008, Oficyna Naukowa.



Pamiątka po dawnych województwach -
gdańskim i elbląskim,
fot. Tomasz Klarkowski (IV ESF)

Tomasz Agejczyk

Mury Malborka



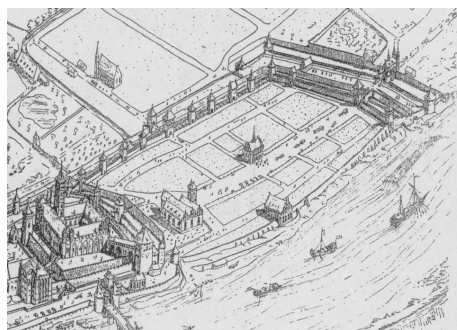
Rekonstrukcja średniowiecznego Malborka według B. Schmid z 1910 roku z wyraźnym zaznaczeniem umocnień fortyfikacyjnych

miasta. Pozostałe części obwodu warownego podwyższono wraz z znajdującymi się w narożach basztami. W ten sposób mur otaczał obszar około 7,5 ha.

Na początku XV wieku wraz z powstawaniem nowych przedmieść nastąpiła rozbudowa umocnień od południa. Wtedy wzniesiono drugi mur obronny i przedbramie z kaplicą w osi Rynku i Bramy Mariackiej oraz bez kaplicy przed Bramą Garncarską. Oblężenie i zdobycie miasta przez Szwedów w 1629 roku przyniosło nowe prace przy fortyfikacjach, wznoszono je po wschodniej i południowej stronie miasta. Były to wały ziemne i bastiony typu holenderskiego, które wzmocniono dodatkowo 14 wysokimi szancami ziemnymi. Ufortyfikowano również Szpital Jerozolimski. W sześć lat później, czyli w 1635 roku fortyfikacje te w znacznym stopniu rozebrano, by w okresie „potopu szwedzkiego” wzniesć nowe umocnienia ziemne typu holenderskiego. Pod koniec XVIII wieku w miejscu dotychczasowego między-murza wschodniego utworzono nowy ciąg komunikacyjny – Nową Drogę, w tym celu zburzono mur w północno-wschodnim narożniku miasta.

System obronny miasta Malborka powstał wraz z systemem zamkowym około 1280 roku i nie miał zbyt imponujących rozmiarów, były to umocnienia drewniano-ziemne. Otaczały miasto od wschodu, południa i zachodu, natomiast od północy, gdzie znajdował się zamek, zgodnie z decyzją Zakonu, muru nie wzniesiono. W latach 1320-1330 przekształcono dotychczasowe umocnienia zamykając miasto ceglany murem z trzema bramami. W 1365 roku po raz pierwszy połączono mury obronne miasta i zamku w jeden system fortyfikacyjny. Około 1380 roku wraz z rozszerzaniem terenu miasta na tereny wschodnie, nazywanego od teraz Nowym Miastem, mur wschodni rozebrano i wzniesiono nowy z siedmioma basztami trójbocznymi, otwartymi od strony

W 1807 roku Francuzi podczas okupacji Malborka rozebrali jako zupełnie niepotrzebne dawne fortyfikacje z czasów szwedzkich oraz część średniowiecznych murów zewnętrznych drugiej linii. Do dalszych zniwelowań doszło w latach 1878-1883 – zasypano fosę wschodnią tworząc łagodny stok łączący Stare Miasto z dawnym przedmieściem św. Ducha. Wytyczono tam nową ulicę Szkolną (obecnie 17-go Marca) a w miejscu

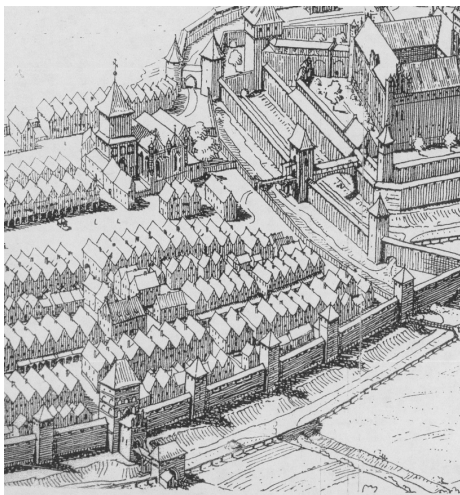


Rekonstrukcja średniowiecznego miasta i zamku według K. Steinbrechta, 1902 rok

częściowo rozebranego muru ulicę Gimnazjalną (obecnie Witosa). Niwelacja murów i fosy od strony południowej stworzyła warunki do zorganizowania parku z pomnikiem Blumego w miejscu dawnej baszty. System fortyfikacji zniszczony został częściowo podczas walk w 1945 roku. Bezpowrotnie zniknęła zabudowa oparta o mur oporowy od strony zachodniej, zniszczone zostały fragmenty murów od strony wschodniej i południowej, częściowo wplecione w XIX-wieczną zabudowę mieszkalną.

System murów zachowany jest obecnie tylko częściowo. Zbudowany był z surowej cegły. Oprócz murów kurtynowych znajdowały się w nim bramy i baszty. W największej swej długości od strony zachodniej, tworzył mur oporowy dla skarpy nadnogackiej Starego Miasta. W ramach tego ciągu znajdują się, m.in. ruiny Szkoły Łacińskiej. Na murach oporowych przed zniszczeniem w 1945 roku oparte były budynki mieszkalne i spichrzowe. Kolejny odcinek zachował się od strony wschodniej. Tu znajdują się poza fragmentami ceglanego muru w okolicy obecnego Sądu (dawna szkoła zawodowa) – mur z głębokimi wnękami od zachodu, również dwie otwarte od strony miasta baszty, obecnie zniekształcone: południowa silnie rekonstruowana z nowym licem, nie zachowana do dawnej wysokości oraz północna z dobudowanym do jej ścian budynkiem mieszkalnym z końca XIX wieku, wzniesionym od strony wschodniej z wykorzystaniem muru jako ścian zewnętrznych. Osobny fragment muru stanowi fragment od strony północnej, oporowy z szeregiem potężnych przypór, zagłębiony w fosie dzielącej Stare Miasto od terenów zamkowych. W ramach zachowanych reliktów systemu znajdują się:

- Brama Garncarska zwana również św. Ducha czy też Elbląską, powstała w II połowie XIV wieku za czasów wielkiego mistrza Winricha von Kniprode jako element systemu pozwalającego na komunikację z miastem od strony wschodniej. Przed nią znajdowała się fosa, a w późniejszych latach wzniesiono przedbramie. Sama brama jako obiekt pięciokondygnacyjny, nakryty czterospadowym dachem, krytym ceramiczną dachówką prze-



Rysunek z 1924 roku W. Dobischa prezentujący wizję autora na widok umocnień wschodnich z dobrze widoczną Bramą Garncarską z przedbramiem oraz Bramą Szewską na zachodzie

trwał bez zmian niwelację w latach 70-tych XIX wieku. Obudowano ją jednak budynkami o charakterze mieszkalnym i gospodarczym. W 1884 roku przeprowadzono pierwsze prace konserwatorskie, a w 1927 roku dokonano gruntownej konserwacji bramy i przyległych murów obronnych. W latach 30-tych XX wieku utworzono w jej wnętrzach schronisko młodzieżowe. Podczas walk w 1945 roku została częściowo uszkodzona, remont nastąpił dopiero w 1955 roku. W latach 60-tych rozebrano przyległe budynki i poprowadzono ulicę od strony południowej. Wewnątrz znalazł się zakład fotograficzny, a następnie krawiecki. W latach 2006-2007 prywatna firma

przeprowadziła generalny remont całej bramy z ulokowaniem w przyziemiu zakładu jubilerskiego. Dzięki tym pracom elewacje odzyskały dawny blask: trójosiowa zachodnia z trzema ostrołukowymi arkadami w przyziemiu, z jednym małym otworem okiennym na I piętrze, trzema ostrołukowymi, wysokimi blendami z otworami strzelniczymi w partii II piętra oraz trzema blendami z okienkami strzelniczymi i dwoma oknami w najwyższych kondygnacjach; wschodnia z dominantą szerokiej, wysokiej na dwie piętra ostrołukową wnęką – arkadą przejazdu. W partii piętra zamurowane otwory okienne. Skrajne osie założone jak w elewacji zachodniej, z blendami i okienkami strzelniczymi, między oknami ostatniej kondygnacji tynkowane tarcze herbowe z rytymi krzyżami zakonnymi. W 2010 roku przeprowadzono wymianę poszycia dachu.

- Brama Mariacka, zwana również Sztumską i Przewozową, powstała w II połowie XIV wieku. Pozwalała na komunikację z miastem od strony południowej. Przed bramą znajdowała się fosa oraz przedbramie z drugą linią murów. W 1807 roku Francuzi przystąpili do rozebrania średniowiecznego systemu z ruinami zewnętrznej Bramy Mariackiej, w której znajdowała się niegdyś kaplica z cudownym obrazem Matki Bożej Malborskiej. 7 lutego 1838 roku pożar zniszczył dach bramy, nie zrekonstruowano go w dawnej formie, a zwieńczeniem stała się mała, fachwerkowa nadbudówka na rzucie kwadratu, pokryta czterospadowym daszkiem. W latach 1936-1937 powstał nowy czterospadowy dach kryty ceramiczną dachówką, zaprojektowany przez mistrza budowlanego Paula Domberta. Brama została czę-

ściowo uszkodzona podczas walk w 1945 roku, spalony został dach. W 1951 roku przeprowadzono remont bez odbudowy dawnego dachu. Pełna konserwacja nastąpiła zaś w 1964 roku, a adaptacja na kawiarnię w latach 1974-1975. Obecnie znajduje się w rękach prywatnych i mieści pub. Od wielu lat nie przeprowadzono prac konserwatorskich, co skutkuje dalszym niszczeniem murów. Elewacja południowa trójosiowa, zbliżona stylistycznie do elewacji wschodniej Bramy Garncarskiej. Na środku znajduje się szeroka, wysoka do III piętra ostrołuczna wnęka z arkadą przejazdu. Po prawej węższy, ostrołuczny otwór przejścia. W górnej wnęcie, tynkowanej, otwory strzelnicze. W



Brama Mariacka obecnie

partii III piętra na skrajach dwie ostrołukowe, tynkowane blendy. Ostatnia kondygnacja z trzema oknami, a między nimi pochylone, tynkowane tarcze herbowe z krzyżami zakonnymi. Od krenelaża oddziela ścianę ceramiczny fryz rozetowy. Elewacja tylna z dwukondygnacyjną wnęką na osi, gdzie na środku znajduje się ostrołukowa arkada przejazdu. Nad arkadą trzy ostrołukowe blendy, tynkowane, z okienkami strzelniczymi.

- Brama Szewska zachowana jest częściowo. Od powstania należała do miasta, lecz przez usytuowanie przy głównym przejściu z miasta do przedzamcza, prawo do jej otwierania i zamykania należało do Zakonu. Bramę flankowała zamkowa Baszta Sperlinek.

- Baszta Wojownik zwana też Schropeturm, została wybudowana w XV wieku jako cylindryczna wieża wraz z drugą bliźniaczą (obecnie nie istnieje). Usytuowane zostały na końcach środkowego ciągu umocnień południowej pierzei obronnej miasta. Obecnie jako niski fragment znajduje się przy Urzędzie Miejskim.

- Mury obwodowe dawnej Szkoły Łacińskiej wzniesione na skarpie nadnogackiej w II połowie XIV wieku. Budowla była pierwotnie związana z rozbudową murów obronnych miasta, przypuszcza się, że miała trzy kondygnacje i wysoki dach dwuspadowy. Nie jest pewne pierwotne przeznaczenie obiektu, być może miała to być siedziba Bractwa św. Jerzego. Wiadomo, że od II połowy XVI wieku funkcjonowała tu szkoła, od 1603 roku zwana Szkołą Łacińską. W 1758 roku budynek rozbudowano w kierunku wschodnim, nakrywając nowym dachem. W 1899 roku podczas pożaru miasta spaliły



Mur otaczający ruiny Szkoły Łacińskiej od Nogatu, dobrze widoczne zniszczenia

została zastąpiona terenami zielonymi, co spowodowało przenikanie zwiększonych ilości wód opadowych bezpośrednio do gruntu, w następstwie czego naruszona została konstrukcja muru oporowego od strony Nogatu z rozwarstwieniem warstw ceglanych. Stanowi to wciąż duże zagrożenie dla mieszkańców i turystów. W roku 2010 Urząd Miejski dzięki dofinansowaniu z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego (program „Dziedzictwo Kulturowe”), przystąpił do prac konserwatorskich na odcinku 70 m nadnogackiego muru oporowego. Konieczne są dalsze prace konserwatorskie na wszystkich fragmentach historycznego systemu obronnego Starego Miasta.

się górne kondygnacje budynku, a do naszych czasów dotrwały tylko mury obwodowe dolnej kondygnacji. Obecnie trwają prace konserwatorskie.

Powojenna, niezgodna z historyczną odbudowa obszaru Starego Miasta spowodowała zmiany w sposobie jego użytkowania. Przedwojenna, zwarta zabudowa z dużą ilością utwardzonych nawierzchni

Jerzy Kosacz

Kwidzyńskie mury

Niewiele jest miast, które mogą się szczycić zachowanymi murami obronnymi z basztami i bramami miejskimi, jak to ma miejsce w pomorskim Chełmnie. Pas murów miał tam 27 baszt i 7 bram, z czego do dziś zachowały się mury miejskie prawie w całym swym obwodzie z 23 basztami (6 fragmentarycznie) oraz z jedną Bramą Grudziądzką. Średniowieczne budowle ochraniające niegdyś to miasto stanowią obecnie niewątpliwą lokalną atrakcję turystyczną.



Fragmment murów miejskich w Kwidzynie,
fot. J. Kosacz

Kwidzyn miał w tym względzie mniej szczęścia, ponieważ do dzisiejszych czasów dotrwały tu jedynie fragmenty murów miejskich. Pierwsze założenie miejskie bronione było wałem ziemnym z ostrokołem, czego szczątki odkryto w czasie badań archeologicznych w latach 90-tych ubiegłego wieku pod kierunkiem dr Antoniego Pawłowskiego. Stwierdzono wówczas, że budowa murowanych umocnień miejskich została wykorzystana do powiększenia arealu miasta. Wznoszenie kamienno-ceglanych murów obronnych rozpoczęto w końcu XIII wieku. Gdy w 1336 roku biskup Berthold wydawał miastu przywilej lokacyjny, to mur ten otaczał już około 10 hektarów nieforemnego pięcioboku, na którym znajdowała się regularna siatka ulic z drewnianą zabudową mieszkalną i gospodarczą, rynek z ratuszem i budami przy nim, ceglany kościół z cmentarzem, zamek kapituły pomezańskiej oraz przedzamcze.

Mury otaczające średniowieczny Kwidzyn miały jedenaście baszt oraz trzy bramy miejskie. Dziś nie ma po nich już żadnego śladu, nawet nie znamy ich wyglądu poza symbolicznymi przedstawieniami na ówczesnych rycinach.

Brama Malborska usytuowana na dzisiejszym skrzyżowaniu ul. Targowej i Braterstwa Narodów była najbardziej okazała, jako największe założenie obronno-komunikacyjne Kwidzyna. Znany rysunek, a raczej ideogram tej bramy przedstawiony przez XIX-wiecznego rekonstruktora w niczym nie odpowiada jej opisowi z epoki, który mówił o bramie „flankowanej przez dwie potężne wieże, tej po północno-zachodniej stronie zwanej Kaldenstein oraz po południowo-wschodniej o nazwie Blasii Mader”.

Dojazd do bramy prowadził przez most zwodzony, zamykający przejazd po podniesieniu go. Mieścił się tu odwach straży miejskiej, jak i loch służący za więzienie.



Zachowane mury miejskie w Kwidzynie,
fot. J. Kosacz

W kierunku południowym od Bramy Malborskiej, wzdłuż obecnej ul. Targowej ciągnęła się na zewnątrz muru miejskiego fosa stanowiąca zarazem ściek nieczystości komunalnych, aż do Bramy Grudziądzkiej. Dzisiaj są to okolice ronda ulicznego na styku ulic: Targowej, Górnej i Batalionów Chłopskich.

Bramę Grudziądzką (zwaną także Wysoką, Górną lub Chełmińską) rozebrano już w 1571 roku w związku z rozbudową Przedmieścia Grudziądzkiego. Ówczesny opis mówi o znajdującym się tam po południowej stronie Bramy Grudziądzkiej Targu Końskim, oraz o kamiennym krzyżu, który dziś stałby na rondzie przed kościołem Św. Trójcy.

Trzecia z bram miejskich nazywana Nizinną lub Wodną albo Gniewską wychodziła z miasta ul. Podjazdową na Nizinę Kwidzyńską poprzez najstarsze przedmieście wymieniane w dokumentach już od 1336 roku jako Podolice. Było to pasmo ziemi pomiędzy murem miejskim a Liwą, od zamku kapituły i Gdaniska na południe, aż po rów graniczny za zamkiem biskupim do obecnej ul. Ogrodowej.

Kwidzyńskie bramy miejskie, poza pełnieniem swych funkcji kontrolnych, strażniczych i obronnych były także komunalnym zasobem lokali wynajmowanych rzemieślnikom, bądź funkcjonariuszom miejskim. W tym charakterze funkcjonowała zwłaszcza Brama Nizinna. Także w całym ciągu murów miejskich przeróżne zabudowane wnęki i wykusze były odpłatnie udostępniane podmiejskim partaczom awansującym do miejskiego cechu rzemieślników.

Współczesny Kwidzyn prezentuje jedynie pozostałości po swym średniowiecznym systemie obronnym. Jest to kilka odcinków murów miejskich, na których możemy rozpoznać pozostałości oryginalnej średniowiecznej struktury w kamiennych podwalinach cyklopowego muru i w podmurówkach z gotyckiej ręcznie formowanej cegły zwanej palcówką, obok rekonstrukcji budowlanych z późniejszych wieków, aż po staranne umocnienia muru z mechanicznie obrabianej kostki kamiennej oraz cegły klinkierowej sprzed lat kilkunastu. Polecam uwagę zamurowane wnęki okienne i wykusze widocznych ze skarpy od ul. Gdańskiej, które kryją pomieszczenia jeszcze nie eksplorowane, a zamurowane w pośpiechu prac zabezpieczających.

Wypada zachęcić odwiedzających miasto turystów, jak i tubylców, do spaceru wzdłuż zachowanych murów miejskich.

Źródła

Ustalenia historyczne oraz ryciny zaczerpnąłem z monografii „KWIDZYN. Dzieje miasta. 2004.” W galerii swojego blogu prezentuję fotograficzną dokumentację zachowanych murów w Kwidzynie.

Paweł Głogowski

Pozostałości murów miejskich w Sztumie

Wielu mieszkańców Sztumu patrząc na znaną rycinę Abrahama Boota z 1628 roku, przedstawiającą miasto widziane z oddali, z niedowierzaniem kręci głową. Jakże obraz ten różni się od tego, do którego już tak bardzo się przyzwyczailiśmy. I od razu pojawia się też żal, że to wszystko, albo chociaż połowa, nie zachowało się do naszych czasów – mielibyśmy wówczas prawdziwe, polskie Carcassonne! To dopiero byłaby atrakcja turystyczna.



Widok Sztumu z 1628 r.

Rzeczywiście, na rysunku widać ciąg imponujących murów z blankami, bramę wjazdową oraz mnóstwo baszt i wież. Tak właśnie wyglądało miasto i przyległy zamek jeszcze w XVII, czy XVIII wieku. Niestety, upływający czas i wojny przyczyniły się do nieodwracalnych zmian. Reszty dopełniły zmieniające się koncepcje urbanistyczne i modernizacja miasta. Zgodnie z decyzją lokalnych władz w XIX wieku rozebrano bramy miejskie: Kwidzyńską i Malborską (około 1840 roku) wraz z większością murów, co radykalnie wpłynęło na charakter przestrzeni. Pozostaje nam jedynie cieszyć się, że po 600 latach zachowały się mimo wszystko jakieś ślady miejskich fortyfikacji, fragmenty murów oraz sam zamek - i tym bardziej trzeba o nie dbać.

Położenie grodu pruskiego, następnie zamku krzyżackiego, a wreszcie samego miasta nie było przypadkowe. Wykorzystano naturalne walory obronne wyspy (z czasem przesmyku) położonej na jeziorze Białym (dziś jeziora: Barlewickie i Sztumskie). Przy lokacji miasta w 1416 wykorzystano istniejące już umocnienia i fortyfikacje przedzamcza. Jak podaje Adam Chęć, był to ewenement w państwie zakonnym, zazwyczaj bowiem mury miejskie powstawały dopiero po lokacji miasta! W przywileju lokacyjnym określono zresztą obowiązki mieszczan w zakresie obronności miasta. Należało do nich m.in. dbanie o most od strony Malborka oraz obrona i zamykanie na noc Bramy Malborskiej.

Mury miejskie Sztumu miały kształt czworokąta o bokach mniej więcej 200-220 m, całość liczyła więc ok. 840 m. Tym samym powierzchnia miasta w obrębie murów wynosiła około 4 hektarów.



Pozostałości murów miejskich w Sztumie,
fot. P. Głogowski



Zniszczone mury w Sztumie,
fot. P. Głogowski

Wygląd muru miejskiego był podobny do murów obwodowych zamku, które możemy podziwiać do dzisiaj. Dolna partia zbudowana była z dużych głazów narzutowych, górna z mniejszych kamieni oraz cegieł. Podobnym materiałem uzupełniano także ubytki w czasach późniejszych. Mury miejskie pełniły również funkcję muru oporowego, chroniąc brzeg przed wodami jeziora, a grunt przed osuwaniem. W wielu miejscach konstrukcję wzmocniono przyporami, których szczątki możemy dziś oglądać, m.in. przy dawnym młynie (obecnie sklep Netto). W linii fortyfikacji miejskich stało też kilkanaście baszt. Rozmieszczone były mniej więcej co 50 m, a ich układ jest doskonale widoczny na rysunku Botta. Fundamenty jednej z baszt przy ulicy Młyńskiej odsłonięto kilkanaście lat temu podczas prac ziemnych przy dawnym warsztacie stolarskim p. Schonecka.

Do miasta prowadziły dwie bramy. Brama Malborska według zachowanej ikonografii miała formę przejazdu bramnego, nad którym znajdowała się przybudówka z mechanizmem mostu zwodzonego, łączącego miasto ze stałym, drewnianym mostem, prowadzącym w stronę Malborka. Brama Kwidzińska (znajdująca się w okolicy dzisiejszego sklepu Domena) miała formę wieży, z przejazdem w przyziemiu. Oprócz tych dwóch bram w murze miejskim znajdowała się także furta prowadząca na zamek (również po zwodzonym moście).

Utrzymanie murów w należytym stanie wiązało się ze znacznym wysiłkiem finansowym mieszkańców niedużego przecież miasta. Nic więc dziwnego, że z czasem zaczęły one popadać w stopniową ruinę. Wojny szwedzkie w XVII wieku, z pewnością nie poprawiły ich stanu. Na rycinach z 1749 i 1750 roku widać już wyraźnie coraz większą degradację stanu fortyfikacji Sztumu – ubytki w ciągu murów, brak zadaszenia nad bramą, czy niektórymi basztami. Ponadto wraz z utratą funkcji obronnej możemy zaobserwować proces wzrastającej zabudowy murów, znany nam także z innych ówczesnych

miast. Linia muru miejskiego wykorzystywana jest po prostu jako już istniejąca ściana dostawianych do niej coraz gęściej domów mieszkalnych.

Całkowitą niemal zagładę sztumskim murom miejskim przynosi w końcu XIX wiek. Utrata funkcji militarnych, a przede wszystkim nieprzystosowanie do nowoczesnej komunikacji – w przejeździe Bramy Kwidzyńskiej nie mieściła się, np. fura wyładowana sianem, przesądzała o ich losie. Modernizacja wymagała radykalnych zmian. Zlikwidowano mosty, usypano stałe groble, rozebrano bramy i nieprzydatne już odcinki murów. Materiał pozyskany z rozbiórki został następnie wykorzystany, jako tani budulec, m.in. przez mieszkańców pobliskiego Czernina.

Do dnia dzisiejszego zachowały się tylko nieliczne fragmenty muru miejskiego, głównie tam, gdzie pełnił on funkcje muru oporowego i zapobiegał osuwaniu się ziemi. Idąc od brzegu jeziora Barlewickiego na południe możemy zauważyć przy sklepie Netto zachowaną dolną partię muru wraz z kamiennymi przyporami. Po przejściu ulicy Mickiewicza (w miejscu nieistniejącej już Bramy Malborskiej) i zejściu do dawnej fosy natrafiamy na największy i najwyższy zachowany odcinek, zbudowany z dużych głazów. Niestety, kilka lat temu spora jego część zawaliła się i obecnie jest on wsparty prowizorycznym szalunkiem z desek. Dalsza część muru (wzdłuż ulicy Osińskiego) skryta jest w krzakach, zwalach ziemi i śmieci, a do niedawna zakrywał ją także szereg blaszanych garaży, obecnie już zlikwidowanych w ramach prac nad rewitalizacją dawnego centrum miasta. Pozostałości południowego odcinka murów wzdłuż jeziora Sztumskiego, w stronę kościoła św. Anny również są dość dobrze zachowane i widoczne, zwłaszcza po likwidacji przylegających do nich ogródków działkowych.

Część zachodnia, od strony zamku praktycznie nie zachowała się do dziś. Jednak kilka lat temu, podczas budowy parkingu w miejscu, gdzie do 1945 roku znajdował się budynek sztumskiego starostwa powiatowego, zrekonstruowano fragment muru przy fosie naprzeciwko zamku. A co stało się



Zabezpieczony fragment muru w Sztumie, fot. P. Głogowski



Fragment uratowanych murów miejskich w Sztumie, fot. P. Głogowski

z północnym odcinkiem murów? Wzdłuż brzegów jeziora Barlewickiego próżno wypatrywać jakiegokolwiek po nim śladu. Co nie znaczy, że taki nie pozostał. Zaświadczyć o tym mogą ci mieszkańcy ulicy Młyńskiej, w których domach jako jedna ze ścian piwnicy służy... dawny, kamienny mur miejski.

Jeszcze kilka lat temu wydawało się, że dni tych zachowanych do dziś fragmentów fortyfikacji miejskich Sztumu są już policzone. Na szczęście rozpoczęte w minionym roku prace związane z rewitalizacją i modernizacją sztumskiego rynku i jego okolicy pozwalają mieć nadzieję, że także ten kawałek historii miasta zostanie należycie oczyszczony, zabezpieczony, odnowiony i odpowiednio wyeksponowany. Pierwsze kroki zostały już podjęte. Usunięto np. szpetne, blaszane garaże zasłaniające odcinek muru wzdłuż ulicy Osińskiego oraz działki od strony jeziora Sztumskiego. Urząd miasta pracuje też, m.in. nad projektem „Rewitalizacji fosy średniowiecznego miasta lokacyjnego oraz przylegających pozostałości murów”. Miejmy nadzieję, że uda się pozyskać na ten cel odpowiednie środki.

Bibliografia:

Adam Chęć, Średniowieczne fortyfikacje miejskie Sztumu. W: Z dziejów Sztumu i okolic, cz. IV. Sztum 2005.

Arkadiusz Dzikowski, Raport z oblężonego zamku. Dzieje zamku w Sztumie 1236-1468. Sztum 2001.

Jacek Albrecht

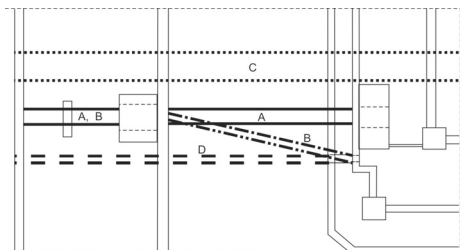
WEJŚCIE NA ZAMEK WYSOKI

Malborskie rekonstrukcje

Mało zbadanym do dzisiaj obszarem historycznej zabudowy Malborka pozostaje teren szerokich fos oddzielających Stare Miasto od zamku. Istniało przez nie w ciągu dziejów szereg przejść roboczych, ale pierwotnego kształtu ostatecznie dotąd nie określono, zadawalając się wersją zasugerowaną przez konserwatorów niemieckich. Pozostawili oni wyjście na niewielką kładkę z tarasu wschodniego Zamku Wysokiego, samą kładkę jednak najpierw zbudowali na początku XX w., lecz wkrótce rozebrali. Taka lokalizacja wyjścia istniała w czasach polskich, co potwierdzają zapisy lustracji ówczesnych i liczne plany.

Nie oznacza to jednak, że tak było pierwotnie. Badacze niemieccy końca XIX wieku podlegali tu istotnym ograniczeniom co do zasięgu swoich penetracji oraz konkretnym naciskom. Pokutowało i utrwalalo się już od upadku stolicy państwa zakonnego w Malborku i czasów polskich osobne myślenie o zamku i mieście jako oddzielnych, jedynie sąsiadujących ze sobą organizmach. Wzmacniane było ono kontrastem między współczesnym życiem starówki, powiązanej organicznie z resztą miasta, a zamkiem użytkowanym, ale i opuszczanym stopniowo przez wojsko. Także jedynie sam zamek wskazany został jako rejon rekonstrukcji ze względów propagandowych i tylko na ten cel skierowane zostały poważne środki finansowe. W tej sytuacji poszukiwano połączenia między miastem a zamkiem jako mało ważnego, wręcz „kuchennego”, o bliżej nieokreślonym przeznaczeniu. Nas te ograniczenia dzisiaj nie krępują i wnioski do jakich dochodzimy różnią się czasami od spuścizny Conrada Steinbrechta i jego ekipy, co nie zmniejsza jednak wielkiego podziwu i szacunku dla dokonań tego wybitnego konserwatora niemieckiego przełomu wieków XIX i XX, głównego architekta ówczesnej odbudowy purystycznej pokrzyżackiej warowni.

Zauważyć należy przede wszystkim, że obszar między zamkiem a miastem jedynie pozornie jest terenem łatwym do interpretacji. Zdziwienie budzą nieliczne pozostałości nawarstwionych rozwiązań, sugerując często niekonsekwencję lub przypadkowość koncepcji architektonicznej. Zrozumienie logiki założenia utrudnia dodatkowo fakt, że z różnych blisko po sobie następujących etapów realizacji z czasów zakonnych pozostały jedynie nieliczne reliktory budowlane. Obraz dodatkowo zaciemniają ślady prac z czasów polskich, pruskich, niemieckiej rekonstrukcji XIX- wiecznej i czasów



Wejścia na Zamek Wysoki od strony miasta
 A - w czasach zakonnych B - w czasach polskich C - w czasach pruskich
 D - na początku XX-go wieku

rys. J. Albrecht

współczesnych. Realizacje pokrzyżackie są stosunkowo łatwe do rozpoznania z uwagi na spore odległości w czasie ich powstawania i nimi tu szerzej nie będziemy się zajmować. W skrócie jedynie wypada pokazać przebieg połączenia miasta i zamku w różnych okresach i wspomnieć co pozostało z nich do dzisiaj.

Dokładny kształt muru środkowego i skarpowego w narożu południowo-wschodnim nie został dotąd ostatecznie określony, jak również zakończenie zachodnie obu murów od strony rzeki. Ale nas tutaj interesuje ich partia środkowa gdzie usytuowane było przejście między miastem i zamkiem. Przejście to zmieniało swój kształt i położenie w ciągu historii, a każda wersja pozostawiła swoje ślady w relacjach, planach i architekturze. Wysoki, trapezowy fragment muru środkowego zachował się np. dlatego, że w końcu XVIII wieku oparto na nim pierwotnie szeroki most dla potrzeb armii, a wkrótce usypano groblę chowając go w ziemi. Łączyło się to z przebiegiem wjazdu na Zamek Wysoki w jego skrzydle południowym. Kuszące jest pytanie, czy na pewno było to nowe przejście, czy może odtworzono stare, dając mu tylko nowe, barokowe obramowanie. Mogła to być zamurowana od zewnątrz pierwotna szyja bramna drugiego wyjścia z Zamku Wysokiego - to sugestie dzisiaj za daleko posunięta. Pasowałaby ona jednak do nowej koncepcji użytkowej zamku skierowanej w równym stopniu na północ co i na południe, w stronę miasta, według której zamek skupiał w sobie w równym stopniu funkcje wojskowe i gospodarcze rozlokowane po stronie północnej założenia; funkcje administracyjne, polityczne i reprezentacyjne usytuowane centralnie, oraz cywilne i dyplomatyczne zgromadzone na południu. Miasto odgrywało bardzo poważną rolę miejsca siedzib dyplomatycznych i zajazdów dla petentów, łącząc się z zamkiem wygodnym mostem, z ogrodem i łatwym dostępem do kancelarii pałacowej. Czy droga do Pałacu Wielkiego Mistrza wiodła tarasem zachodnim, czy przez dziedziniec Zamku Wysokiego, gdzie dla gości wysokiego stanu mogło być w parterze nie tylko znane więzienie ale także jakieś pomieszczenie recepcyjne, rozstrzygnąć by mogły tylko dodatkowe szczegółowe badania.

Dobrze znane z dokumentów i planów jest przejście między miastem a zamkiem z czasów polskich. Zawsze biegnie ono przez wieżę pośrednią zwaną Furtą przez trzy przekopy i trzy mury od Wysokiego Zamku do miasta. W XVI wieku jest to most przykryty dachówką i jest zamykany dwoma bramami czy furtami, zaś w wieży są, zapewne na piętrze: "sionka, izdebka i komórek dwoje." Obszerniej rejon ten omawia lustracja z 1765 roku: „Z miasta od kościoła farnego idąc jest mostek, u którego poręczce dwie nowe i sam

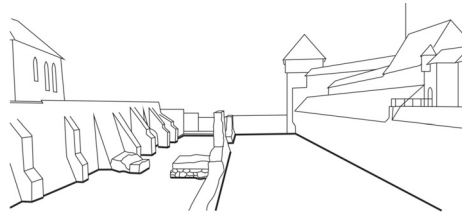
mostek cały ze wszystkim nowy r. 1752 wybudowany, przy którym quantum [niegdyś] być miał zwód, a przy nim po jednej stronie baszty trzy łańcuchy, po drugiej dwa i pałąk jeden; żelazne. (...) Od tej bramy jest znowu most długi na filarze z fosi podmurowanym, tak jako i pierwszy eodem anno [tegoż roku] wybudowany, poręczami także dwiema, należycie opatrzone. (...) Za tym mostem forta ku kaplicy św. Anny. Przy niej z jednej strony jest baszta w murze pusta, potrzebująca reparacji i nakrycia. Z drugiej strony jest mieszkanie, które ad praesens [obecnie] trzymają oo. jezuici dla szkółki.” Podobnie wygląda to na planach polskich jak i szwedzkich z tamtych czasów.

W czasach pruskich, gdy urządzano w Zamku Wysokim koszary a później magazyny wojskowe, zbudowany został nowy most z miasta do zamku oparty na fragmencie muru środkowego, zamieniony niebawem w części węższej fosi na groblę ziemną. Omijał on częściowo od drugiej, zachodniej strony pozostałości domku na tarasie południowym. W bryle zamku utworzono (lub odtworzono) przejazd w skrzydle południowym dając mu nowy, barokowy portal. Zlikwidowany ów przejazd został przez konserwatorów niemieckich w końcu XIX wieku.

Zrozumiały jest więc kształt i rola mostu między miastem i zamkiem zarówno w czasach polskich jak i pruskich. Jest on ściśle związany z aktualną potrzebą użytkową w tym rejonie. W czasach pruskich chodziło o mocny most dla potrzeb magazynowych, w czasach polskich o wygodną kładkę do szkółki jezuitów i kościoła zamkowego. I na wersji z czasów polskich oparli swoją rekonstrukcję konserwatorzy niemieccy. Odtworzyli oni widoczne dzisiaj, hipotetyczne wyjście z tarasu wschodniego zamku. Odtworzyli też, ale już nieco inaczej, most przez fosi, ale też go prędko dość rozebrali. Biegł on prostopadłe do murów na samodzielnej konstrukcji drewnianej, a ślad jego wyjścia po stronie miasta czytelny jest na zwieńczeniu muru skarpowego.

Inaczej przedstawiała się jednak sytuacja w czasach krzyżackich. Na tarasie wschodnim istniał czynny cmentarz dostojników zakonnych zaś kaplica św. Anny jako kaplica grzebalna Wielkich Mistrzów nie była dostępna dla nikogo z zewnątrz.

Niewiele elementów architektonicznych i to w mało czytelnych fragmentach zachowało się z czasów krzyżackich w omawianym rejonie. Oryginalne partie są też często ukryte pod warstwą rekonstrukcji XIX-wiecznej. Tak wyglądają lica muru skarpowego, muru zewnętrznego zamku (z nielicznymi „świadkami” oryginalnymi) i muru wewnętrznego. Podstawowe ich wysokości oparte mogły zostać na odnalezionych śladach połączeń z obiektami przylegającymi. Kształt



Fosa południowa zamku w Malborku - stan dzisiejszy rys. J. Albrecht

obiektów na tarasach zamkowych jest natomiast czystą rekonstrukcją ideową wyprowadzoną z zarysów fundamentów. W samej fosie zachowały się oryginalne partie muru środkowego z wysokim trapezowym fragmentem w połowie długości, przylegająca do niego podstawa wieży bramnej i podstawa filara mostu od strony miasta. Bliższe oględziny tych relikwów pozwoliły zauważyć, że mur środkowy do wysokości około 2 m wymurowany jest w wątku wendyjskim i ma kształt trapezowy, rozszerzony od strony zamku oraz charakterystyczne dla murów skarpowych odsadki od strony miasta. Daje się też stwierdzić, że ta partia muru jest jednorodnie związana z podstawą wieży bramnej, a więc że powstały one równocześnie. Wyżej mur ma wątek gotycki, a więc późniejszy, co świadczy o przynajmniej dwóch etapach jego powstawania. Na podstawie filara zauważyć można ukośnie murowane cegły świadczące o wyjściu łuku w stronę skarpy, co sugeruje istnienie murowanego fragmentu mostu od strony miasta z przerwą przy baszcie na most zwodzony. Oś tego mostu pokrywa się z osią główną miasta trafiając w środek obecnego domku ogrodnika, a więc w środek fundamentów istniejącej tam wcześniej budowli i dalej w narożnik Zamku Wysokiego tuż obok wieżyczki narożnej z najstarszej partii zamku. Z czasów Zakonu pochodzi też wielkość i kształt fos południowych. Wyjątek stanowi tu profil dna, gdzie wówczas biegł dookoła zamku blisko jego murów rów gospodarczy. Jedynie on w czasie pokoju napełniony był wodą płynącą wartkim nurtem i odbierającą nieczystości.

Wobec tak nielicznych zachowanych fragmentów oryginalnych zabudowy fos próby odtworzenia układu pierwotnego prowadziły tu jak dotąd do rozwiązań wątpliwych i niezbyt silnie umotywowanych. Zdziwienie budzi na przykład wysokość muru zewnętrznego zamku o wiele niższa niż mur środkowy czy miejski. A przecież żelazną zasadą wznoszenia zespołów obronnych było sytuowanie ważniejszych obiektów wyżej i otaczanie ich wyższymi murami tworzącymi wewnętrzne kręgi obrony, tak żeby najważniejszy obszar był najdłużej broniony a linie zewnętrzne wspierane były ostrzałem z wyższych linii wewnętrznych, a gdy zewnętrzne padały mogły być ostrzeliwane z przewagą wysokości z broniących się nadal. Na terenach tradycyjnie należących do zamku taka hierarchia ważności określona jest prawidłowo, nawet poprzez nazwy poszczególnych obszarów, gdzie Zamek Wysoki, Średni i Niski mają coraz niższe mury, ale od strony miasta relikty historyczne nie zostały po prostu uwzględnione, jakby zamku to nie dotyczyło. Również wieża bramna na środku fosy wygląda co najmniej dziwnie i nie jest to rozwiązanie spotykane często w tego rodzaju zabudowach. Sam mur środkowy dzielący fosę na dwie części a i niespotykane wielka jej szerokość także są trudny do logicznego wytłumaczenia. Zastanawia też trzecia fosa między murami zamku. Wydaje się, że jedynym wytłumaczeniem

opisanych niekonsekwencji jest fakt nawarstwiania się kolejnych rozwiązań budowlanych w niewielkich odstępach czasu, co daje wrażenie pochodzenia zachowanych fragmentów z jednego okresu.

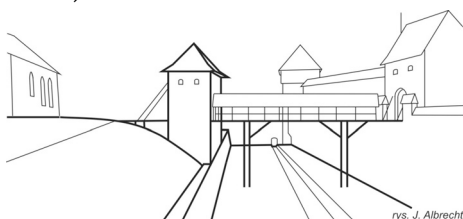
Historia tego cypla Wysoczyzny Malborskiej na którym widzimy dzisiaj Zamek Wysoki była w okresie pojawienia się tu Krzyżaków bardzo burzliwa, a samo wzgórze kilkakrotnie zmieniano gospodarzy i koncepcje zabudowy. Niektóre wcześniejsze realizacje okazywały się na tyle trudne do zmiany, że pozostawały adoptowane do nowych potrzeb, chociaż wyglądały nieraz dosyć dziwnie. Wydzielić można więc kilka okresów inwestycyjnych zarówno przed pojawieniem się tu rycerzy zakonnych jak i w czasie ich panowania.

Ogólną logikę przemian w owym rejonie podpowiada badawcza metoda rekonstrukcji funkcjonalnych. Pyta ona najpierw, czemu mogło służyć poszukiwane rozwiązanie, a potem dopiero, jak mogło wyglądać. Efekty dociekań z jej pomocą omawia książka „Tajemnice Malborka”¹. W skrócie, w interesującym nas obszarze, sytuuje ona najpierw gród Prusów, następnie gród księcia pomorskiego Świętopełka, dalej siedzibę obronną biskupa Chrystiana, a w końcu zamek Zakonu. Dla samego zamku krzyżackiego dopatruje się też czterech etapów rozbudowy. Każda ze wspomnianych realizacji dodawała własne piętno zarówno w architekturze jak i ukształtowaniu omawianego terenu i miała logiczne, całościowe uzasadnienie w swoim czasie, a ślady niektórych z tych rozwiązań pozostały czytelne do dzisiaj.

Z uwagi na szczególnie obronny charakter cypla wysoczyzny wydaje się prawdopodobne, że osadnictwo istniało tu na długo przed pojawieniem się plemion pruskich. Już wtedy określony mógł zostać obszar późniejszego grodziska przez pierwsze przekopy czy wały. Prusowie wzniesli na tym terenie obronną osadę z wałami drewniano ziemnymi i zapewne pogłębili przekop. Pomorzanie Świętopełka zbudowali w to miejsce zamek, co wspomina krzyżacka kronika. Mógł mieć on już elementy murowane, chociaż nadal wydaje się, że były to wały drewniano ziemne i budynki w większości drewniane. Mógł też Świętopełk powiększyć przekop dookoła warowni tworząc sztuczną wyspę na Nogacie. Wymagało to głębokich, a co za tym idzie, odpowiednio szerokich rowów o ukośnych skarpach ziemnych, szczególnie od strony późniejszego miasta, gdzie teren był najwyższy. Taki gród przekazał książę wkrótce biskupowi Chrystianowi na siedzibę jego misji. Ten z kolei po drugiej stronie przekopu wznosił katedrę misyjną. Niedługo jednak grodu biskupiego zaczęli używać Krzyżacy jako swojego punktu etapowego między istniejącymi już zamkami, jako że leżał on w wyjątkowo dla nich dogodnym miejscu, prawie w połowie drogi między Kwidzynem a Elblągiem. Do obu zamków było też stąd mniej niż 35 km, co uznawano za dzień marszu konnego, a reguła zabraniała nocować zakonnikom poza Domem w czasie pokoju. Wkrótce też wybudowali po drugiej stronie osady misyjnej swoją

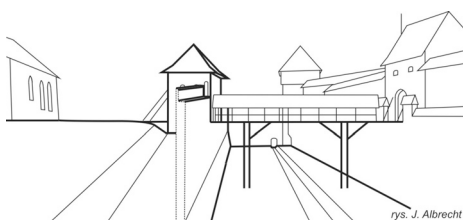
¹ Jacek Albrecht, *Tajemnice Malborka*, Kopiał 2009.

własną pierwszą siedzibę, zamek Zantyr. Pragnęli jednak przejąć teren ten w niepodzielne władanie i doprowadzili stopniowo do upadku misji i likwidacji biskupstwa misyjnego w Prusach. Dla uniknięcia roszczeń terytorialnych ze strony kościoła powszechnego starali się zatrzeć ślady po misji w tym miejscu i nową swoją siedzibę wznieśli na miejscu dawnego grodu biskupiego, znieśli starą nazwę nazywając nowy zamek Marienburg, a katedrę zamienili w kościół parafialny lokowanego obok miasta. Z wcześniejszych inwestycji pozostał jedynie szeroki przekop wycinający sztuczną wyspę z ukośnie opadającego cypla wysoczyzny, no i osada wykorzystana do obsługi nowej warowni.



Fosa południowa - rekonstrukcja przejścia z końca XIII w.

Krzyżacy pierwsze prace przy nowym założeniu rozpoczęli w latach 70-tych XIII wieku, aby do użytku oddać nowy zamek w roku 1280, kiedy to zamieszkał w nim konwent z Zantyru. Równocześnie, bo już w roku 1274 lokowali obok miasta oraz wybudowali oddany w 1280 roku sztuczny kanał, napełniający w stabilny sposób fosy zarówno miejskie jak i zamkowe. I to był pierwszy etap inwestycji krzyżackich w Malborku. Z tego okresu zachowały się partie murowane w wątku wendyjskim, a więc dolna partia muru środkowego w fosie połączona z podstawą wieży bramnej. Można przyjąć, że mur ten powstał jako ograniczenie istniejącej skarpy ziemnej do wysokości wody napływającej niestabilnie z Nogatu. Na murze tym postawiono wieżę bramną z mostem zwodzonym nad ukośną skarpy ziemną. Ukośna skarpa i dwumetrowy mur ją ograniczający tłumaczy wysokość pierwszego muru zamkowego wyraźnie wówczas górującego nad przeciwnym murem skarpowym i dającego swobodny ostrzał całej skarpy. Wieża bramna broniła też mostu do zamku stojąc za fosą po stronie miasta, stanowiąc rozwiązanie logiczne i typowe w owym czasie. Od strony zamku mur był też wówczas jeden, a za nim szło ukośne zbocze, na którym stał budynek bramny.



Fosa południowa zamku - rekonstrukcja przejścia z XIV w.

Kolejne prace podjęli Krzyżacy po upadku Ziemi Świętej, szykując Malbork na siedzibę główną władz Zakonu po roku 1290. W omawianym rejonie fosy południowej powstał wówczas na wcześniejszym niskim murze skarpowym wysoki mur obronny murowany już w wątku gotyckim. Teren wyrównano powiększając obszar miasta i pozostawiając zapewne tylko niewielką fosę na poziomie leżących wyżej fos miejskich. W tym też okresie dodano nowy, wewnętrzny mur obronny zamku. Zapewne

pierwszy mur nie nadawał się do nadbudowy jako zbyt wąski, a potrzebny okazał się mur wyższy od środkowego, który z kolei wyniesiono ponad wyrównany teren miasta. Wykonano więc kolejną fosę podnosząc i wyrównując uzyskaną ziemią taras południowy, a nowy mur skarpowy wyniesiono ponad pozostałe, jako że najbliższy zamku musiał być najwyższy.

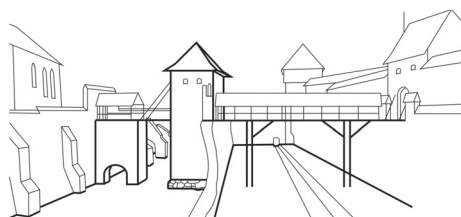
Kolejna rozbudowa wiąże się z planem powołania w Malborku stolicy państwa Zakonnego, co stało się realnie możliwe po zajęciu przez Krzyżaków Gdańska i Pomorza Gdańskiego, a więc po roku 1309. Wydaje się że w tym okresie nie wykonano większych prac w fosach południowych zamku. Może przykryto wówczas dachem z dachówką mosty aby dodać im splendoru.

Ostatnie duże inwestycje budowlane wykonał Zakon w Malborku w połowie XV wieku, gdy otoczył warownię od wschodu i północy tzw. Wałami von Plauena. Wiązało się to z nową generacją armat o większym zasięgu, sile i celności jaka pojawiła się w epoce renesansu. Zamiast baszt wprowadzono, dostosowane do nowej broni, niskie i okrągłe basteje, a szerokie rowy i nasypy miały odsunąć przeciwnika jak najdalej od głównych części zamku. Wykonano to oczywiście tam, gdzie było to możliwe z uwagi na miejsce. Wydaje się jednak możliwe, że po doświadczeniach oblężenia Malborka i buntach miast postanowiono odsunąć także miasto od zamku kopiąc między nimi dodatkową szeroką fosę i włączając ją w istniejący system fortyfikacji. Wykonano nowy mur skarpowy, o który oparto filar mostu, nadal zwodzonego, przy samej wieży. Wcześniejszy mur skarpowy stał się w ten sposób wolnostojącym murem pośrednim, a wieża bramna znalazła się w środku fosy.

I tak, dziwny nieco układ wieży w środku fosy, nietypowo niski pierwszy mur obronny zamku, czy przesadna wielkość trzech fos południowych znalazły swoje logiczne wytłumaczenie w nawarstwianiu się rozwiązań budowlanych w kolejnych etapach rozbudowy warowni malborskiej.

Rozpoznanie ich i analiza były możliwe, mimo tak nielicznych zachowanych fragmentów oryginału, dzięki zastosowaniu Metody Rekonstrukcji Funkcjonalnych pozwalającej na podobieństwo puzzla składać fragmenty architektury według koniecznych funkcji rejonu badawczego.

Punktem wyjścia stała się tu ogólna koncepcja ścisłej wspólnoty funkcjonalnej obszarów miejskiego i zamkowego omówiona szeroko, m.in. w książce „Tajemnice Malborka”. Przyjęto tam że Miasto Główne (Stare) było integralną częścią zespołu zamkowego mogąc nawet co do funkcji nazywane być się jeszcze jednym przedzamczem warowni. Wynikało to ze ściśle określonej roli tego obszaru wobec całego założenia, jaką była obsługa bytowa poselstw, gości i interesantów stanów nierycerskich przybywających



Fosa południowa - rekonstrukcja przejścia z XV w. rys. J. Albrecht

do stolicy państwa, bowiem rycerze tylko gościli na Zamku Średnim. Byli to więc dostojnicy kościoła, przedstawiciele władców i samorządów. Potrzebowali oni sprawnej, codziennej, roboczej komunikacji z urzędnikami państwowymi z zamku. W tym więc celu połączono to miejskie przedzamcze wygodnym mostem z zamkiem. Biegł on na osi głównej całego założenia, na przedłużeniu traktu od strony Sztumu i Polski oraz głównej ulicy miasta. Przy murze pośrednim fos przechodził przez basztę bramną, a do zamku prowadził przez budynek bramny na tarasie południowym.

Dla konserwatorów niemieckich nie był to most ważny, ponieważ nie widzieli oni ścisłego związku funkcjonalnego miasta i zamku w okresie klasycznym tych zespołów, ale też dlatego, że mieli narzucony, ograniczony tylko do terenu samego zamku, zasięg obszaru badań. Współczesna Metoda Rekonstrukcji Funkcjonalnych wykazała jednak ściśle powiązanie funkcji miasta i zamku, a niezależne badania nie są dzisiaj ograniczane obszarowo, chociaż należy przyznać, że oficjalna historiografia polska ciągle ma skłonność do widzenia osobno Starego Miasta i zamku. Ma na to wpływ zapewne ciągle wyraźne rozgraniczenie obszarów miejskiego i zamkowego, zarówno użytkowe, gdzie starówka jest sennym współczesnym osiedlem mieszkaniowym, a zamek to muzeum o randze centralnej podległe bezpośrednio Warszawie. Taka sytuacja tworzy i obecnie psychologiczne bariery w rozpatrywaniu łącznie dziejów obu owych organizmów w okresie klasycznym, które warto przełamywać dla obiektywniejszego poszukiwania prawdy i wyznaczania tropów dla badań bardziej szczegółowych w przyszłości.

Reasumując, można już dzisiaj przedstawić nową koncepcję rekonstrukcji mostu łączącego miasto i zamek w XIV wieku. Według niej, był to most szeroki na około 4 metry, drewniany, biegnący prostopadle do murów fosy. Posiadał zadaszenie pokryte dachówką na całej swój długości z wyłączeniem dwóch fragmentów zwodzonych. Od strony miasta zaczynał się furtą w wyniesionym miejscowo murze skarpowym. Dalej biegł oparty o filar pośredni, na który opadał most zwodzony z wieży bramnej zwanej Furtą. Następnie przechodził przez wieżę mającą izby straży na piętrze. Dalej wiódł przez fosę główną i dwa mury zamkowe, na których zapewne oparto kolejny most zwodzony. Tu trasa przechodziła przez budynek bramny na taras południowy zamku, a następnie tarasem zachodnim do Pałacu Wielkiego Mistrza (i kancelarii państwa), albo ewentualnie bezpośrednio do Zamku Wysokiego.

Na zakończenie należy dodać, że dla tej, jak i dla każdej innej koncepcji rekonstrukcyjnej w omawianym rejonie, przekazy historyczne są na tyle nieliczne i mało dokładne, że trudno mówić tu o stuprocentowej pewności co do przyjmowanych rozwiązań. Przedstawioną powyżej wersję popierają jednak po raz pierwszy wnioski z szeroko prowadzonych badań nad wspólnotą funkcjonalną całego założenia zamkowo-miejskiego i wpisują ją ściśle w logikę zabudowy omawianego obszaru.

Adam Langowski

W kulturalnym pegeerze

Państwowy Ośrodek Hodowli Zarodowej (POHZ) w Waplewie Wielkim był jednym z największych przedsiębiorstw istniejących na Powiślu w okresie PRL-u. Obok wypełniania swojej podstawowej funkcji produkcyjnej starał się także zapewnić pracownikom i ich rodzinom dostęp do kultury i rozrywki. Do realizacji tego celu powołano w Ośrodku klub kulturalno-oświatowy, którego działalność, szczególnie w latach 60. i 70., może stanowić ciekawy przykład szerzenia kultury na wsi w minionym systemie.



Młodzieżowy zespół akordeonistów z Jeziora 1970 r. (archiwum rodzinne)

POHZ Waplewo Wielkie powstał 1 lipca 1956 roku i był jednym z dwóch, obok Gajewa koło Malborka, tego typu zakładów w naszym regionie. Wcześniej w Waplewie istniało Państwowe Gospodarstwo Rolne. Potocznie wszystkie gospodarstwa rolne należące do państwa w okresie PRL-u określa się mianem PGR-ów, dlatego warto wyjaśnić, czym różnił się PGR od POHZ. W założeniu Państwowe Ośrodki Hodowli Zarodowej stanowiły specjalistyczną sieć ośrodków, które miały poprawiać stan pogłowia zwierząt w kraju. Różnicę między PGR a POHZ dokładnie wyjaśnia wieloletni dyrektor waplewskiego Ośrodka, Antoni Gałęcki: „Na bazie najlepszych rozplodników i najlepszych matek Państwowe Ośrodki Hodowli Zarodowej miały produkować materiał reprodukcyjny typu: jałówki cielne, byki zarodowe, loszki hodowlane, knurki hodowlane, owce, tryki hodowlane, które potem sprzedawano do przedsiębiorstw produkcyjnych, czy to do rolników indywidualnych, czy to do Państwowych Gospodarstw Rolnych.”

W skład POHZ Waplewo Wielkie wchodziło sześć gospodarstw. Głównym gospodarstwem i zarazem siedzibą dyrekcji Ośrodka było Waplewo Wielkie, pozostałe gospodarstwa działały w miejscowościach: Jezioro, Ramoty, Stary Dwór, Chojty i Pozolia.

Zainicjowanie ruchu kulturalno-oświatowego w waplewskim przedsiębiorstwie związane jest z osobą Jerzego Wawrzyniaka, dyrektora Ośrodka w latach 1962-1970.

To właśnie w jego czasach doszło do zatrudnienia kaowca (pracownika kulturalno-oświatowego) i powstania klubu. Co ciekawe, najlepsze warunki do podjęcia pracy kulturalno-oświatowej istniały wówczas nie w samym



Leokadia Langowska przed pałacem w Jeziornie 1967 r. (archiwum rodzinne)

Waplewie, lecz w Jeziornie i właśnie tam klub znalazł swoją siedzibę. Na korzyść Jeziorna przemawiała dobra baza lokalowa, którą zapewniał tamtejszy pałac. W Waplewie był oczywiście pałac Sierakowskich, ale w połowie lat 60. formalnie należał do Andrzeja Sierakowskiego. W 1968 roku pałac przeszedł z jego rąk na własność Skarbu Państwa i został połączony z Ośrodkiem. Dopiero po uregulowaniu kwestii prawnych przystąpiono do gruntownego remontu obiektu. Do czasu jego odbudowy funkcję centralnego ośrodka

kultury dla całego przedsiębiorstwa miał pełnić pałac w Jeziornie, który w dobrym stanie przetrwał wojnę, a w 1965 roku został oddany do użytku po remoncie i mógł być w pełni wykorzystywany przez POHZ.

W latach 1967-1974 mieszkańcami pałacu w Jeziornie byli moi rodzice, Leokadia i Stanisław Langowscy, którzy pracowali wówczas w tamtejszym gospodarstwie. Tata był zootechnikiem, a mama pracowała jako młodsza księgowa. Dzięki relacji mamy mogę odtworzyć układ pomieszczeń pałacowych wraz z ich przeznaczeniem. Na parterze po prawej stronie znajdowały się pomieszczenia zajmowane przez przedszkole oraz dwa pokoje gościnne. Po lewej stronie, w dużej sali działał klub kulturalno-oświatowy, nazywany potocznie klubokawiarnią. W tej części było również mieszkanie przeznaczone dla kierownika klubu, a w późniejszym czasie na parterze otwarto również kiosk. Na piętrze urządzono mieszkania dla starszej księgowej, zootechnika i magazyniera. Z kolei w piwnicach, po lewej stronie, funkcjonowała duża stołówka, a po prawej znajdowały się łazienki dla pracowników gospodarstwa. Były pracownik gospodarstwa w Jeziornie, Jan Brzeziński, wspomina: „Po wojnie nic nie było zrujnowane, pałac był w porządku.

Były mieszkania, świetlica, schody piękne do góry. Później jeszcze założyli sklepik, a później zrobili remont piwnicy. Stołówkę zrobili dla „sezonu”. 120 osób było w sezonie! Także stołówka była w pałacu, jadalnia, elegancko to było zrobione. Zabawy się odbywały rozmaite, wszystko!” . Pałac w Jeziornie był więc w pełni zagospodarowany, a sala klubowa stanowiła wtedy prawdziwą wizytówkę Ośrodka.

Prowadzeniem klubu kulturalno-oświatowego w Jeziornie zajmowała się Albina Krzyśpiak, późniejsza współzałożycielka i pierwsza kierowniczka Zespołu Pieśni i Tańca „Powiślanie”. Dzięki jej działalności ruch kulturalny w Ośrodku znakomicie się rozwinął, a pracownicy przedsiębiorstwa, tak-

że ci spoza Jeziorna, mogli liczyć na regularną rozrywkę i uczestnictwo w imprezach kulturalnych. Albina Krzyśpiak z dużym powodzeniem przygotowywała różnego rodzaju przedstawienia i występy okolicznościowe, związane na przykład z Dniem Kobiet czy Dniem Dziecka. W pałacu organizowano zakładowe spotkania choinkowe oraz zabawy sylwestrowe i karnawałowe z pięknymi kotylionami, wykonanymi przez



Pałac w Jeziornie, stan z grudnia 2011 r.
(fot. A. Langowski)

kierowniczkę klubu. Niekiedy na występy do Jeziorna udawało się sprowadzić prawdziwe gwiazdy, jak choćby wrocławski kabaret Elita, czy Mateusza Świąćckiego z zespołu „No To Co”.

Obok przygotowywania typowych imprez rozrywkowych klub starał się wdrażać także program edukacyjny. W pałacu odbywały się odczyty na rozmaite tematy oraz użyteczne kursy, w ramach których uczono na przykład gotowania i szycia. Albina Krzyśpiak zwracała dużą uwagę na pracę z dziećmi i młodzieżą. W oparciu o instruktorów z zewnątrz udało jej się zorganizować amatorskie zespoły młodzieżowe mandolinistów i akordeonistów, a do popularnych zajęć należała nauka śpiewu i tańca. Obowiązkowym punktem były wyjazdy do Sztumu na obchody 1 Maja, gdzie młodzież z Jeziorna mogła zaprezentować swój program. W pałacowym klubie dzieci mogły codziennie spędzać czas, a dorośli odbywać spotkania towarzyskie przy kawie lub herbacie. W sali klubu odbywały się także projekcje filmowe w ramach popularnego niegdyś objazdowego kina. Obszerne pomieszczenie klubu wykorzystywane było do organizowania zakładowych zebrań, również z udziałem organów nadrzędnych z Gdańska. Należy podkreślić, że Albina Krzyśpiak mogła liczyć w swej działalności na przychylność i wsparcie ze strony wieloletniego kierownika gospodarstwa w Jeziornie Stanisława Lewandowskiego.

Ważnym wydarzeniem w okresie funkcjonowania klubu kulturalno-oświatowego w Jeziornie był przyjazd w dniu 5 lipca 1972 roku ekipy Polskiego Radia.

Znana reportażystka Krystyna Usarek zarejestrowała wówczas materiał o Jeziornie, w którym dużo miejsca poświęciła Albinie Krzyśpiak i prowadzonemu przez nią klubowi. Fragmenty reportażu zostały w ostatnim czasie przypomniane przez radiową Trójkę w ramach audycji „Tym żył świat”, na którą składają się archiwalne, często zapomniane taśmy Polskiego Radia opatrzone współczesnym komentarzem. Poddane obróbce nagranie z Jeziorna nosi tytuł „Wieś miastu - miasto wsi, czyli w kulturalnym PGRze” i

jest udostępnione na stronie internetowej Trójki . W reportażu można usłyszeć wypowiedzi Albiny Krzyśpiak i jej męża, Zbigniewa, który pracował w gospodarstwie jako księgowy. Podczas wizyty Polskiego Radia dzieci z Jeziorna zaprezentowały program artystyczny pod tytułem „Wieś miastu - miasto wsi”. Wśród recytowanych utworów znalazły się wierszyki głoszące pochwałę życia na wsi i podziw dla piękna przyrody:

Tutaj ptaki: bocian, słowik, śliczna kraska,
W lesie grzyby: rydz, borowik,
Nie chcę miasta!

W innym utworze poznajemy Szczepana i jego zmagania z rzeczywistością:

Pognał Szczepan do urzędu
I w okienko buch z rozpędu,
Złapał pióro, ciach podanie,
Wkrótce miał odpowiedź na nie,
Złapał pismo, wzrok w nim topi,
Zatrudniony! Pieczęć, podpis!

Reportaż zawiera również wypowiedzi zwykłych pracowników gospodarstwa w Jeziornie. Jednym z nich był, cytowany wcześniej, Jan Brzeziński. Po latach tak wspomina przyjazd Polskiego Radia: „Ja nic nie wiedziałem, że oni przyjadą. Po prostu przyjechali, podeszli pod oborę, zawołali. Zobaczyli sobie to wszystko, bo przecież nasza obora była reprezentacyjna, to było czystościuchne wszystko takie, że szamponem krowy były myte nawet! No i oni to trochę zwiedzali i później mnie wzięli. Szukali najstarszego pracownika. Ja przyjechałem w 47 roku, to najdłużej tam prawie byłem. I oni przyszli zwiedzać, pytali jak to się zaczęło, kiedy to powstało, kiedy zostało to wprowadzone.

Pamiętam, jak oni pytali się mnie jak często kierownicy się zmieniają, czy kierownictwo jest dobre dla załogi, czy dobrze zarabiamy” . Reportażyci Polskiego Radia obejrzeli zatem z uwagą całe gospodarstwo, które w tamtym czasie rzeczywiście mogło pochwalić się bardzo dobrymi wynikami w produkcji. Warto w tym miejscu podkreślić, że Jeziorno było jednym z niewielu ośrodków w Polsce, które prowadziły hodowlę długowieńszej owcy rasy kent.

Odświeżone nagrania Krystyny Usarek stanowią dziś ciekawe świadectwo ukazujące rolę klubu kulturalno-oświatowego na wsi w minionym ustroju, a dla wielu ludzi znających Albinę Krzyśpiak lub związanych z dawnym gospodarstwem w Jeziornie mogą być wzruszającą pamiątką. Wyja-

śnienia wymaga kwestia nazewnictwa występującego w tytule i treści reportażu. Jeziorno określane jest w nich błędnie PGR-em, tymczasem było jedną z częstek organizacyjnych POHZ Waplewo Wielkie. Antoni Gałęcki, ówczesny dyrektor waplewskiego Ośrodka, komentuje te nieścisłości następująco: „Nazywanie Jeziorna PGR-em było wadliwe, ale powszechnie się tego używało. De facto, pod względem formalnym układu zbiorowego dla pracowników mieliśmy te same zasady co PGR, stąd wśród mieszczuchów nazwa, czy to był PGR, czy POHZ, to dla nich wszystko było PGR”.

Pomimo odnoszonych sukcesów i powszechnego uznania zdobytego wśród mieszkańców i pracowników

Ośrodka praca w Jeziornie nie zaspokajała w pełni ambicji Albiny Krzyśpiak, która marzyła o założeniu i prowadzeniu dużego zespołu ludowego. W połowie lat 70. pojawiła się szansa stworzenia takiego zespołu w innym przedsiębiorstwie, wobec czego zdecydowała się zmienić miejsce zatrudnienia. Antoni Gałęcki tak wspomina okoliczności jej odejścia z Jeziorna: „W pewnym sensie działalność kulturalna upadła wraz z odejściem z przedsiębiorstwa pani Krzyśpiakowej. Ona dążyła do tego, aby stworzyć autentyczny zespół z prawdziwego zdarzenia. W latach 70-tych, jak powstał Kombinat Rolny „Powiśle” w Czerninie, który poza Waplewem obejmował cały powiat sztumski, czyli ponad 20 tys. ha ziemi i zatrudniał w sumie ponad 2000 ludzi, to w związku z tym miał potężniejszą siłę finansową i ówczesny dyrektor Kombinatoru Jan Grzywacz zaproponował pani Albinie Krzyśpiakowej stworzenie profesjonalnego zespołu. Oczywiście to wiązało się również z jej wynagrodzeniem. Byliśmy mniejszym przedsiębiorstwem, dlatego nie mogłem wynagradzać zbyt wysoko. W Czerninie dano jej lepsze warunki plus możliwość stworzenia zespołu i za wspólną zgodą pani Krzyśpiakowa przeszła do pracy w Kombinacie Rolnym „Powiśle”, gdzie stworzyła zespół „Powiślanie”, który trwa do dzisiaj”.

W Zespole Pieśni i Tańca „Powiślanie” Albina Krzyśpiak pełniła funkcję nie tylko kierowniczką, ale także choreografa i garderobianej. Zespół osiągnął wysoki poziom artystyczny i zyskał spore uznanie prezentując swój program podczas występów w kraju i za granicą. Postać Albiny Krzyśpiak



Płyta nagrobna Maxa von Flottwell, teren parku (fot. A. Langowski)

jest w naszym środowisku powszechnie kojarzona właśnie z „Powiślanami”, za to wcześniejszy okres jej pracy w Jeziornie, choć ciekawy, jest praktycznie szerzej nieznanym.

Pałac w Jeziornie, będący przed laty siedzibą zakładowego klubu kulturalno-oświatowego, popada obecnie w ruinę. Właściwie to nie pałac, lecz dwór, który wraz z parkiem i pozostałościami cmentarza rodowego został wpisany do rejestru zabytków jako zespół o numerze 510/96 z 8.07.1996. Od kilkunastu lat obiekt pozostaje w prywatnych rękach i w tym czasie uległ zupełnej dewastacji. Póki co budowla stoi, ale wydaje się mieć niewielkie szanse na przetrwanie. Patrząc na ogólny jej stan, symbolicznego znaczenia nabiera tabliczka numeryczna z cyfrą 13 wisząca jeszcze przy drzwiach. Przejście w ręce prywatne okazało się w tym przypadku zgubne. Żal jest tym większy, gdy patrzy się na inne obiekty w powiecie sztumskim wyremontowane w ostatnim czasie przez Agencję Nieruchomości Rolnych.

Jeziorno (niem. Lautensee) od 1857 roku należało do rodziny von Flottwell. Przed wojną majątek liczył 544 ha i był drugim pod względem wielkości spośród dóbr niemieckich w ówczesnym powiecie sztumskim. Dla porządku warto dodać, że największym niemieckim posiadaczem ziemskim był wtedy Georg von Rittberg ze Stążek (1720 ha), a najwięcej ziemi w ogóle miał hrabia Stanisław Sierakowski z Waplewa (2649 ha). Ostatnim właścicielem Jeziorna był Günther von Flottwell, miłośnik koni oraz inicjator powstania dzierzgońskiego Towarzystwa Jeździeckiego. Na skraju parku odnaleźć dziś można płytę nagrobną ojca Günthera, Maxa. Na zachowanym fragmencie płyty można odczytać napis:

Max von Flottwell
kgl. Preuß. Major a.D.
* 1 Dez. 1860
+ 22 Aug. 1926
Wer da säetim Segen.
der wird auch ernten im Segen.
Z. Korth. 9.6.

W jednym z regionalnych wydawnictw krajoznawczych odnalazłem następujący opis pałacu i jego otoczenia: „Idziemy prosto w kierunku wzgórza z widocznym założeniem parkowym. Z daleka prześwituje między drzewami bryła pałacu. Dochodzimy do szczytków bramy wjazdowej i wchodzimy na teren parku. Pałac, zbudowany z żółtej cegły, powstał w 1885 roku. Ozdobiony jest wstawkami z czerwonej cegły – szczęśliwie uniknął otynkowania.

Jest to budowla w kształcie litery H z niesymetrycznie umieszczoną wieżą – symbolem przynależności do stanu szlacheckiego”.

Wydaje się, że jest to już ostatni moment, aby zobaczyć dwór w pewnej całości.

Z tej perspektywy, czasy klubu kulturalno-oświatowego można wspominać jako złoty okres tego miejsca, które wtedy tętniło życiem.



Leokadia Langowska przed pałacem w Jeziornie 2011 r. fot. A. Langowski

Kordian Kuczma

Patroni naszych ulic (cz. 5)

Donimirscy z Matejką i Żeromskim w tle

W tym odcinku pozostajemy na ziemi sztumskiej, ponieważ historia rodu dziedziców Czernina, Zajeziera i kilku pobliskich majątków stanowi naturalne dopełnienie treści poprzednich części cyklu. W latach międzywojennych Donimirscy herbu Brochwicz współpracowali bowiem w organizacjach polonijnych z Heleną i Stanisławem Sierakowskimi, wcześniej zaś czterokrotnie wchodzili w związki małżeńskie z Kalksteinami. Na Powiślu przypominają o nich ulice w Ryjewie i Czerninie, a także nazwa Szkoły Podstawowej w tej drugiej miejscowości. Imię Witolda i Wandy Donimirskich nosi Zespół Szkół Turystyczno-Hotelarskich w Elblągu, a całej rodziny – ulica w tym mieście. Poszczególni przedstawiciele rodu są też patronami ulic w Gdyni (Antoni) i Toruniu (Teodor).

W ten sposób uczczono Donimirskich także po drugiej stronie Wisły – w Donimierzu w gminie Szemud. Ta położona między Wejherowem a Kaszubami miejscowość to ich gniazdo rodowe. Rodzina nabrała znaczenia dopiero w drugiej połowie XVIII w., kiedy Wojciech Donimirski (1720-85) objął w dzierżawę starostwo straszewskie i sprawował funkcję malborskiego regenta sądowego. W 1768 r. zakupił on majątek Górki koło Sztumu. W 1774 r. dołączył do rodzinnych posiadłości Cygusy. Jego syn Antoni (1767-1829), który oprócz Górek gospodarował także w Buchwałdzie (obecnie Bukowo w gminie Stary Targ) oraz niedalekich Telkwichach, w pierwszych latach pruskiego panowania osiągnął urząd starosty (landrata) malborskiego (właściwie malborsko-sztumskiego) w latach 1803-1808, bo powiatu sztumskiego jeszcze nie było. Wnukowie Wojciecha zapoczątkowali cztery powiślańskie linie rodu: Teodor – buchwałdzką, Piotr – czernińską, August – zajeziorską, zaś Ignacy – cyguską. Brat Ignacego, Jan (1795-1868), wybrał stan duchowny, dochodząc do godności regensa kancelarii biskupa chełmińskiego. Swoją pozycję wykorzystywał w działalności charytatywnej i oświatowej (w 1849 brał udział w tworzeniu seminarium dla chłopców w Pelplinie).

Teodor Donimirski (1805-84) odebrał staranne wykształcenie z dziedziny prawa i administracji na uniwersytetach we Wrocławiu, Bonn i Berlinie. Wydawało się, że czeka go kariera w pruskim sądownictwie, do czego przygotowaniem miała być funkcja dyrektora Zachodniopruskiego Ziemstwa Kredytowego w Kwidzynie (1852-58). Jednak pod wpływem zawartego w

1843 r. małżeństwa z Zofią Slaską (pierwsza żona – Hortensja Kalksteinówna, zmarła przedwcześnie w 1839 r.) oraz odbytej w 1838 r. podróży po Europie Środkowej obudziły się w nim uczucia narodowe. Swoją rosnącą pozycję polityczną (od 1842 r. należał do prowincjonalnego sejmiku w Królewcu, w 1847 r. posłował na Sejm Konstytucyjny w Berlinie, zaś w latach 1867-71 do parlamentu Związku Północnoniemieckiego) łączył z coraz szerzej zakrojoną działalnością organizacyjną w duchu „pracy organicznej”.

Szczególne zasługi położył Donimirski jako współzałożyciel i od 1862 r. dożywotni prezes prowadzącego owocną akcję stypendialną Towarzystwa Pomocy Naukowej dla Młodzieży Męskiej Prus Zachodnich z siedzibą w Chełmnie. Od 1865 r. kierował również Towarzystwem Rolniczym Ziemi Malborskiej, zaś od 1869 r. - Towarzystwem Moralnych Interesów Ludności Polskiej pod Panowaniem Pruskim. Zabiegał o poparcie dla polskich kandydatów w wyborach do sejmu pruskiego, zakładał kółka rolnicze i biblioteki ludowe, organizował sejmiki gospodarcze w Toruniu. Należał do współzałożycieli „Gazety Toruńskiej”, Towarzystwa Naukowego w Toruniu oraz banku kredytowego Donimirski – Kalkstein – Łyskowski i Spółka. Patriotyzm lokalny łączył z ogólnopolskim – korespondował z Józefem Ignacym Kraszewskim, w 1877 r. gościł w buchwałdzkim dworku Jana Matejkę. Po śmierci ziemianina, bez którego przez kilka dekad nie mogła obyć się żadna patriotyczna inicjatywa w Prusach Zachodnich, Erazm Parczewski utworzył fundację stypendialną jego imienia. W działalności społecznikowskiej pomagał mu brat Piotr Alkantary (1807-87), dziedzic na Czerninie i Wielkich Ramzach, absolwent uniwersytetu w Kolonii.

Działalność na rzecz rozwoju polskiego rolnictwa pod panowaniem cesarza Wilhelma kontynuował syn Teodora, Edward (1844-1907), wydawca toruńskiego pisma „Gospodarz” (1877-90), w ostatnim roku życia patron Kółek Rolniczych Prus Zachodnich. To on zainicjował budowę istniejącego do dziś murowanego dworu w podtoruńskich Łysomicach, w którym gościli m.in. Ignacy Jan Paderewski i Julian Fałat. Majątkiem tym gospodarował w latach międzywojennych trzeci syn Edwarda, Jan Piotr Donimirski (1888-1939), powstaniec wielkopolski, rotmistrz WP i szambelan papieski. W wojnie z bolszewikami stopnia rotmistrza dosłużył się również jego bratanek Jerzy (1897-1939). Po demobilizacji poświęcił się pracy społecznej w swoim miejscu zamieszkania – Gołanicach w powiecie leszczyńskim. Jak wielu innych oficerów rezerwy, stanowiących ważną część zaplecza personalnego obozu sanacji, znalazł się wśród posłów przedostatniej kadencji polskiego Sejmu. Jego patriotyczna postawa sprawiła, że znalazł się na hitlerowskiej liście proskrypcyjnej i został rozstrzelany po zajęciu przez nich Leszna.

Przez kilkanaście lat w życiu publicznym Pomorza był obecny również brat Edwarda, Antoni (1846-1912) – poseł do parlamentu Rzeszy Niemieckiej (1873-77) i dyrektor Banku Kredytowego w Toruniu (1872-87). W 1887

r. przeniósł się do Warszawy, gdzie sprawował funkcję prezesa Związku Towarzystw Spółdzielczych w Królestwie Polskim, redagował pozytywistyczny dwutygodnik „Niwa” i konserwatywny dziennik „Słowo”, z którymi współpracował m.in. Henryk Sienkiewicz. W dobie rewolucji 1905 roku działał w ugodowym Stronnictwie Polityki Realnej.

Kolejnym spośród Donimirskich, który zasiadał w ławach Reichstagu, był Henryk (właśc. Andrzej Henryk, 1844-1918), przedstawiciel linii zajezierskiej. W wyborze do tego ciała w 1892 r. nie przeszkodził mu wcześniejszy udział w powstaniu styczniowym. Był wówczas uczniem Gimnazjum Chełmińskiego. Jako dojrzały człowiek tak często wtrącał w rozmowie niemieckie wyrażenia, że zyskało mu to prześmiewczy przydomek „Heinrich”. Jego pierworodny syn, August (1873-1952), ukończył niemiecką szkołę dla oficerów, co zostało niechętnie przyjęte przez rodzinę. Dowiódł jednak pamięci o swoich korzeniach, wstępując na ochotnika do Wojsk Wielkopolskich, w których został pierwszym dowódcą 4 Pułku Ułanów Wielkopolskich (Nadwiślańskich), późniejszego 18 Pułku Ułanów Pomorskich. W polskiej armii doszedł do stopnia pułkownika. W 1920 r. kierował strażą plebiscytową na Powiślu. W tym okresie gościł w Zajezierzu wzywających do głosowania za powrotem do Macierzy Stefana Żeromskiego i Jana Kasprówicza. Oskarżony przez władze niemieckie o dezercję i zdradę stanu, został zmuszony do przeniesienia się do Polski, a w 1938 r. do zamiany Zajeziera na znajdujący się wcześniej w rękach Niemca majątek Nowe koło miasta o tej samej nazwie. Przez całe życie pozostał kawalerem, co przypisywano niespełnionej młodości miłości do pruskiej księżniczki.

Po niepomysłnym z polskiego punktu widzenia rozstrzygnięciu plebiscytu i wyjeździe Augusta z rodzinnych stron, ciężar kontynuacji podtrzymywania ducha narodowego wśród okolicznej ludności spadł na gospodarującego z powodzeniem w Czerninie Witolda (1874-1939) oraz Kazimierza (1880-1947), właściciela Ramz Małych. Obydwa te majątki pozostawały w posiadaniu Donimirskich od 1840 r. – Franciszek, zmarły bezpotomnie najstarszy syn Antoniego seniora nabył ten kompleks dóbr od rodziny von Puttkamer. Największym autorytetem dla Powiśla pozostawał poseł na sejm pruski i prezes Związku Polaków w Niemczech Stanisław hrabia Sierakowski, jednak jego sąsiedzi również zapisali piękną kartę w historii tej ziemi. W działalności polonijnej pomagały im małżonki: pochodząca z okolic Chojnic Wanda z Sikorskich (1890-1974), wnuczka pierwszego prezesa Towarzystwa Naukowego w Toruniu Ignacego Łyskowskiego i Maria z Rzepnikowskich (1880-1942), córka wielce zasłużonego dla sprawy polskiej lekarza z Lubawy. Razem z opisywaną w jednym z poprzednich szkiców Heleną Sierakowską udzielały się one w Towarzystwie Św. Kingi oraz Kole Ziemianek.

Ich aktywność bardzo przypominała model pracy organicznej, który pokolenie wcześniej wcielał w życie Teodor Donimirski, czyli krzewienie oświaty, szczególnie rolniczej i pomoc Polakom aktywnym gospodarczo. W nieprzyjnym klimacie Republiki Weimarskiej i III Rzeszy obowiązkiem polskiego ziemiaństwa stała się również pomoc działaczom polonijnym szykanowanym przez lokalne władze. Jeszcze w 1910 r. kuzyni znaleźli się wśród założycieli Banku Ludowego w Sztumie. Kazimierz sprawował później funkcję prezesa jego Rady Nadzorczej. O jego roli w lokalnym środowisku świadczą również godności przewodniczącego Warmińskiego Komitetu Plebiscytowego w 1920 oraz wiceprezesa Związku Polaków w Niemczech (1931-34). Kierował także pracami tej organizacji na Powiślu. W trakcie przygotowywania książki „Na tropach Smętka” przebywał u niego przez pewien czas Melchior Wańkowicz.

Witold, absolwent wydziału prawa uniwersytetu w Berlinie i rolnictwa w Halle, m.in. założyciel cegielni w Czerninie, pod zaborem niemieckim przewodniczył polskiemu komitetowi wyborczemu na powiat sztumski. Sam również kandydował do pruskiego sejmiku. W sierpniu 1939 r. hitlerowcy zmusili Witolda i Wandę do opuszczenia rodzinnego majątku (w latach międzywojennych zakupili również Maruszę koło Grudziądza). Po wybuchu wojny zostali aresztowani w uzdrowisku Bad Nauheim. 6 grudnia 1939 r. Witold został zamordowany w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen. Wanda przeżyła lata okupacji w KL Ravensbruck. Po wojnie mieszkała w Olsztynie i Warszawie.

Do Olsztyna trafił po wojnie również najstarszy syn właścicieli Czernina – Olgierd (1913-2004), z wykształcenia inżynier rolnik. Przez pewien czas pełnił obowiązki starosty olsztyńskiego. W latach 50. działał we wielu miejscowych organizacjach społecznych, m.in. stał w 1957 na czele Komitetu Działaczy Katolickich na Warmii i Mazurach. Był też wiceprezesem Zarządu Głównego Warmińsko-Mazurskiego Towarzystwa Kulturalno-Społecznego oraz należał do redakcji „Słowa na Warmii i Mazurach”.

Najmłodszy z rodzeństwa, dr Stanisław (ur. 1928), poświęcił się pracy naukowej w dziedzinie chemii w Wojskowej Akademii Technicznej, kierował Katedrą Tworzyw Sztucznych. Brał m.in. udział w opracowaniu naboju bezłuskowego model 5,45 mm. Działał również aktywnie w ruchu filatelistycznym i na rzecz upowszechniania historii rodziny. Został wyróżniony tytułem Honorowego Obywatela Sztumu.

Jak pokazują losy rodzin Sierakowskich, Donimirskich, a także spokrewnionych z nimi Chełkowskich bez wsparcia ziemiaństwa działalność polskich organizacji na terenie Powiśla byłaby w okresie międzywojennym niezwykle utrudniona. Oczywiście należy pamiętać również o zasługach takich społeczników nieszlacheckiego pochodzenia, jak ksiądz Wacław i Bolesław Osińscy, Feliks i Aleksandra Morawscy, Jan Fiszer czy Jan Boenigk.

Jednak po kilku dziesięcioleciach pomniejszania wkładu ziemiaństwa należy przypominać o głębokim patriotyzmie rodów, które decydowały o obliczu naszego regionu nierzadko przez kilka stuleci. Więcej interesujących informacji na temat życia dworów w okolicach Sztumu przed II wojną światową można znaleźć w wydanych kilka lat temu wspomnieniach Haliny Donimirskiej-Szyrmerowej pt. Był taki świat...

W najbliższych odcinkach cyklu przyjrzymy się wybitnym postaciom narodowości niemieckiej urodzonych w naszym regionie, na cześć których nazwano ulice nie tylko na terenie obecnej północnej Polski.

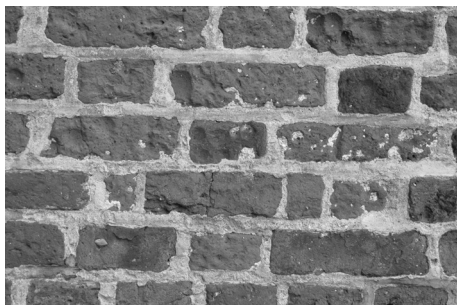
Seweryn Pauch

Dołki pokutne w Łasinie

Łasin to niewielkie miasto położone na północnych rubieżach województwa kujawsko – pomorskiego. W przeszłości było własnością królów polskich i mistrzów krzyżackich (ci drudzy nadali mu prawa miejskie w 1298 r.). W trakcie wojny trzynastoletniej, w roku 1461 miasto wróciło do państwa polskiego. Gdy w 1626 r. Polskę najechały wojska szwedzkie Gustawa II Adolfa, Łasin został zniszczony (1628 r.). Także w późniejszym okresie miasta nie ominęła zawierucha wojenna i zniszczenia związane z walkami w czasie II wojny światowej.

Dziś miasto nie wyróżnia się niczym szczególnym. Dla przeciętnego turysty, zainteresowanego zabytkami, może wydawać się wręcz nudne. W dużej mierze taki stan rzeczy uwarunkowany jest niewielką ich ilością, leżącą na jego terenie. Inaczej ma się sytuacja z miejscami do kąpeli czy okolicznymi krajobrazami.

Bezsprzecznie najbardziej interesującą budowlą jest murowany kościół pod wezwaniem św. Katarzyny, pochodzący z pierwszej połowy XIV w¹. Ponieważ Szwedzi spalili kościół podczas wspomnianego najazdu, uległ on sporym zniszczeniom. Jego zewnętrzny wygląd wyraźnie sugeruje styl gotycki, natomiast wnętrze jest stosunkowo ubogie i koliduje z



Dołki pokutne na kościele w Łasinie,
fot. M. Pauch



Kościół w Łasinie, fot.M. Pauch

¹ Najpewniej powstał na miejscu wcześniejszej – drewnianej - świątyni

tym stylem. Dokładne oględziny strony zewnętrznej murów pozwalają dostrzec regularne otwory, znajdujące się na niewielkich wysokościach. Dla ich określenia przyjąłem najczęściej spotykaną w literaturze nazwę – dołki pokutne. Czasem można też dostrzec podłużne nacięcia o miseczkowatym kształcie. Istniejąca obecnie, skąpa literatura, określa je zwykle wspomnianym mianem dołków pokutnych. Zakłada się, że powstały one w epoce średniowiecza. Warto zaprezentować spektrum teorii mających wyjaśnić ich pochodzenie.

Najbardziej znane sugerują, iż:

a) powstały one na skutek drążenia w murze kościoła otworu przez pielgrzymów, którzy w taki sposób wykonywali pokutę (miały one zostać wydrążone palcem, ewentualnie monetą)

b) ludzie średniowiecza wierzyli w cudowną, uzdrawiającą moc pyłu pochodzącego z cegieł świątyni i w tym celu go wydfubywali, a następnie spożywali

c) są one wynikiem wiercenia świdrami ogniowymi, w celu uzyskania ognia w wigilię Wielkiej Nocy²

Mniej znane teorie tłumaczą ich genezę w następujący sposób:

d) są to odciski ceglarzy

e) powstały na skutek ostrzału – ślady po kulach

f) ślady po gładzeniu rączek sierpów

g) jest to ludowa forma zapisywania zgonów w rodzinach

h) są to znaki tożsamościowe osób pochowanych w okolicy kościoła

i) była to forma upamiętniająca osoby, które łożyły datki na utrzymanie świątyni³

Tak wielka ilość możliwych przyczyn ich powstania dowodzi, jak trudno określić jednoznacznie pochodzenie tych tajemniczych otworów w murach kościołów gotyckich. Nie istnieją żadne źródła pisane, które tłumaczyłyby w jakikolwiek sposób cel ich powstania. Badacze są więc zdani jedynie na domysły.

Część powyższych założeń można odrzucić bez przeprowadzania szczegółowej analizy ilości i wielkości dołków na poszczególnych kościołach. Mało realne wydaje się wydrążenie takiego otworu palcem lub sugerowanie, że powstały na skutek rozpalania ognia przed świętem Wielkiej Nocy. Przeprowadzenie eksperymentu polegającego na drążeniu palcem okaże się mało skuteczne i bolesne, natomiast duża liczba dołków na niektórych ko-

² Takie teorie przytoczył autor, który zapoczątkował interesującą dyskusję na temat dołków pokutnych na stronie <http://www.forum.eksploracja.pl/viewtopic.php?f=142&t=9570&st=0&sk=t&sd=a&start=0>

³ Teorie oznaczone od „d” do „i” podaję za: Andrzej Mietz, Graffita czasów nowożytnych na murach kościołów w Grudziądzu i okolicy: tożsamość – orędownictwo – zbawienie, Rocznik Grudziądzki, T. XIII (1998), s. 46.

ściołach⁴, wyraźnie przeczy teorii świdrów ogniowych. Nasuwa się pytanie: ile razy należałoby rozpałać ogień, aby uzyskać źródło ognia, skoro święto takie obchodzimy raz do roku? Nie zagłębiając się w podważanie kolejnych teorii warto przeanalizować „zestaw” dołków umiejscowionych na łaśińskiej świątyni.

W celu dokonania ilościowej analizy przyjąłem, iż należy policzyć ogólną ilość dołków, zmierzyć ich średnicę, głębokość, wysokość umiejscowienia na murze oraz ilość na poszczególnych ścianach świątyni. Być może, po przeprowadzeniu szczegółowych badań⁵, analiza porównawcza z wieloma innymi dołkami, pochodzącymi z kolejnych kościołów dostarczy ogólnych wniosków pozwalających wysnuć bardziej jednoznaczne wnioski.

Z obliczeń A. Mietza wynika, iż na murach łaśińskiej świątyni można odnaleźć 215 dołków i 6 nacięć. W moim przekonaniu, dołki które nie budzą wątpliwości (czyli na pewno można je zaliczyć do grona dołków pokutnych, gdyż mają charakterystyczny – regularny kształt), występują w liczbie 84 sztuk. Spora liczba otworów, których nie zaliczyłem do tej grupy, znajduje się na wysokości okien. Otwory te są niedostępne dla człowieka bez użycia jakiegoś rusztowania czy drabiny, ich kształt jest nieregularny. Z tego względu nie zaliczyłem ich do grupy dołków pokutnych.

Tabela nr 1 zawiera dane mówiące o średnicach poszczególnych dołków. Na ogólną sumę 84 dołków, aż 16 (19,1 %) ma średnice około 3 cm. Praktycznie nie występują dołki o średnicy mniejszej niż 2 lub większej niż 7,5 cm. Niezależnie od średnicy zauważyć można, iż wszystkie dołki mają bardzo regularny kształt; sprawiają wrażenie jakby zostały odmierzone cyrklem.

⁴ Np. ok. 2000 dołków w Pobiedziskach - <http://e-przewodniki.pl/przewodnik-nowy-124-rozdzial-1386.html>; inne źródło podaje liczbę ponad 1000 dołków - <http://skibicki.pl/forum/viewtopic.php?f=32&t=1634>

⁵ Co sygnalizował wspomniany już historyk A. Mietz.

Tabela 1. Średnice

Średnica (cm)	Ilość	%
7,5	1	1,2
6	9	10,7
5,5	6	7,1
5	12	14,3
4,5	6	7,1
4	12	14,3
3,5	8	9,5
3	16	19,1
2,5	6	7,1
2	8	9,5

Suma: 84

Tabela nr 2 przedstawia na jakiej wysokości zostały umieszczone poszczególne dołki. Zostały one zmierzone od powierzchni gruntu do dolnej części dołka. Dla bardziej wyrazistego obrazu, zostały podzielone na grupy co 50 cm. Warto zaznaczyć, że są one umieszczone na różnych wysokościach i rzadko zdarza się, żeby kilka dołków znajdowało się dokładnie na tym samym poziomie.

Największą ilość dołków, bo aż 35 (41,7 %) umieszczono na wysokości od 101 do 150 centymetrów. Biorąc pod uwagę wzrost ludzi żyjących w średniowieczu (przyjmuje się, iż dołki powstały w tej epoce) jest to jak najbardziej zrozumiałe. Człowiek liczący ponad 170 centymetrów był uważany za wysokiego, natomiast mężczyzna przy wzroście 160 – 165 centymetrów był wzrostu przeciętnego. Zaledwie jeden dołek powstał na wysokości ponad 201 cm, natomiast 9 poniżej 50 cm. Nasuwa się więc wniosek, że dołki drążono zwykle na takiej wysokości, jaka była najwygodniejsza dla „twórcy”.

Tabela 2. Wysokości

Wysokość (cm)	Ilość	%
Do 50	9	10,7
56-100	20	23,8
101-150	35	41,7
151-200	19	22,6
Pow. 201	1	1,2

Suma: 84

Tabela nr 3 zawiera informacje na temat głębokości poszczególnych dołków. Ponieważ zostały one zmierzone miarą budowlaną (tzw. metrówką) należy założyć pewne wahania o ok. milimetr w górę lub w dół podanych wartości. Ponad połowa zbadanych dołków posiada głębokość około 1 cm. W ogóle wszystkie występujące zagłębienia znajdują się w rozpiętości od 0,5 do 3 cm.

Tabela 3. Głębokość

Głębokość (cm)	Ilość	%
0,5	4	4,7
0,7	9	10,7
1	44	52,4
1,5	19	22,6
2	5	5,9
2,5	2	2,4
3	1	1,2

Suma: 84

Na łasińskim kościele występuje też 5 nacięć (bruzd) o podłużnym kształcie. Ich wymiary przedstawione zostały w tabeli nr 4. Podana szerokość dotyczy najszerszego miejsca, gdyż im bliżej końców bruzdy tym jest ona węższa. Wysokość zależna jest od położenia: jeśli jest ono pionowe, podałem wysokość od początku do końca bruzdy, jeśli poziome, z niewielkim odchyleniem, wysokość na której zaczyna się bruzda. Głębokość tych wgłębień jest zróżnicowana, ale nie przekracza 1,5 cm.

Tabela 4. Nacięcia (bruzdy)

Długość (cm)	Szerokość (cm)	Wysokość (cm)
10	3	102 (pozioma)
6	1,5	84-70 (pionowa)
12	4	84 (pozioma)
8	3	118 – 126 (pionowa)
10	2	96 – 106 (pionowa)

Tabela nr 5 prezentuje rozmieszczenie dołków na poszczególnych murach świątyni. Największa ich ilość znajduje się na ścianach nawy, z czego ponad połowa na nawie od strony południowej. Niewiele dołków powstało na ścianie prezbiterium i od strony wejścia głównego świątyni.

Tabela 5. Rozmieszczenie dołków na kościele

Lokalizacja	Dołki	Nacięcia
Prezbiterium	6	-
Prawa strona nawy	48	4
Lewa strona nawy	25	1
Fronton	5	-

Suma: 84 dołki i 5 nacięć

Podane wyżej wartości, bez analizy porównawczej, nie pozwalają wysnuć szerszych wniosków. Możliwe jednak, że większość dołków na innych świątyniach ma zbliżone wymiary do podanych w niniejszym tekście. Porównanie większej ilości tych tajemniczych otworów pozwoli na hipotetyczne założenie w jaki sposób zostały wykonane. Już ich charakterystyczny miaseczkowaty kształt sugeruje, że nie posługiwano się ostrym narzędziem. Być może miało ono regularny kształt. Również porównanie miejsc, na których powstały dołki (ściana prezbiterium czy też południowa), może przynieść interesujące wnioski. Wszystkie te pytania, póki co pozostają bez odpowiedzi, a dołki nadal intrygują.

Roman Niemczyk

Czernin parafialny

Czernin (niem. Hohendorf) to obecnie licząca około 2 tys. mieszkańców wieś na Powiślu, położona w województwie pomorskim, w powiecie sztumskim. W latach 1975 – 1998 Czernin administracyjnie należał do nieistniejącego obecnie województwa elbląskiego. Historycznie nazwa miejscowości „Czernin” istnieje już od 1295 r. i pochodzi od urodzajnej, czarnej ziemi.



Kościół parafialny Św. Jadwigi w Czerninie,
fot. R. Niemczyk

W przeszłości zespół dóbr należących do Czernina obejmował Ramzy Małe i Ramzy Wielkie. Właścicielami Czernina byli kolejno: Ostenrodowie (1440 r.), Brantowie (początek XVI wieku), Szelińscy (1648 r.), Kczewscy (1788 r.), radca wojenny Schlemmer (przekazywane informacje mówią o tym, że radca Schlemmer był wolnomularzem), potem kolejno - Hańscy i Puttakamerowie (czasy napoleońskie 1810 r.).

W latach 1768 – 1772 dobra czernińskie zostały mocno zniszczone i ograbione przez wojska carskie. W tym okresie Czernin mocno podupadł w swoim rozwoju. Trzeba pamiętać również o tym, że w roku 1772 nastąpił pierwszy rozbiór Polski.

Z Czerninem związana jest na stałe rodzina Donimirskich. W latach 20-tych XIX wieku majątek zakupił Antoni Donimirski. W 1857 r. ziemię i dwór w spadku przejął Piotr Alkantary Donimirski. W 1887 r. umiera Piotr Alkantary i w tej sytuacji jego żona Bogumiła z Wolskich przejęła zarząd nad całym majątkiem. Ta sytuacja spowodowała, że w ciągu następnych kilkunastu lat Czernin w znacznym stopniu podupadł gospodarczo. W 1900 r. Bogumiła miała już 84 lata i powierzyła zarządzanie majątkiem w Czerninie swojemu wnukowi Witoldowi Donimirskiemu. Po objęciu majątku przez Witolda na rezultaty pracy nie trzeba było długo czekać. Majątek zaczął przynosić spore dochody i stał się zyskowny. Witold Donimirski był człowiekiem przedsiębiorczym i pracowitym. Za jego kadencji powstała, m.in. cegielnia.

Niezwykle ciekawym architektonicznie obiektem jest dworek Donimirskich w Czerninie. Został on prawdopodobnie zbudowany w XVII w., być może przez Szelińskich. Potem został przebudowany i adoptowany przez Witolda Donimirskiego. W swoich wspomnieniach Halina Donimirska-

Szymerowa dawny wygląd tego dworu opisuje następująco: „Po uzdrowieniu gospodarstwa ojciec zajął się zaniedbanym dworem w Czerninie. Założono centralne ogrzewanie, przebudowano wnętrze i doprowadzono do łazienki ciepłą wodę ...”.

Przed dworem znajdował się owalny trawnik z klombami kwiatów, oddzielony obrośniętym bluszczem murkiem od strony zajazdu. Murek i dwa słupy po obu stronach ganku zdobiły kamienne kule armatnie. Z kolei szczyty domu zdobił herb rodziny, czyli jelenie w skoku wraz z trzema gwiazdami. Dach był pokryty ciemną dachówką, która lśniła zielono-kawo-brunatnym szkliwem. Z drugiej strony objazdu, wokół trawnika stał rząd wysokich, pięknych i zdrowych drzew świerkowych, które razem z pasmem krzewów zasłaniały znajdujące się za nimi podwórze dworku. Z ganku wchodziło się przez podwójne drzwi do holu umeblowanego czarnymi meblami gdańskimi z dębowego drewna. Wnętrze zdobiły i upiększały masywne barokowe rzeźbione schody.

We dworku znajdowało się sporo pokoi. Zajmowane były one przez służbę, nauczycielki, dzieci oraz gospodarzy domu (zajmowali oni dużą sypialnię na dole). Oprócz tego w dworku znajdował się salon z wyjściem na werandę, pokój jadalny, salonik, jak i też gabinet Witolda Donimirskiego. Swoje miejsce, a konkretnie domek w ogrodzie miał ogrodnik, natomiast w głębi ogrodu znajdowała się okrągła kaplica, w której spoczywali członkowie rodziny.

Początki parafii

Parafia obejmuje kościół parafialny św. Królowej Jadwigi w Czerninie, ponadto kościół filialny Objawienia Pańskiego w Pietrzwaldzie (zbudowany i konsekrowany około 1350 r.) i kaplicę w Mleczewie. Odpust w parafii w Czerninie odbywa się w dniu 8 czerwca.

Zanim powstała parafia, to pierwsze nabożeństwa majowe odbywały się w 1990 r. przy znanym, miejscowym krzyżu na rozdrożu wsi. Aktywny udział w tych nabożeństwach brał nieżyjący już śp. ks. prałat Antoni Kurowski oraz miejscowi księża ze Sztumu. Tam też padł pomysł zbudowania kaplicy w Czerninie. Zawiązał się Społeczny Komitet Budowy Kościoła w Czerninie. W skład tego Komitetu weszły, m.in. następujące osoby: Antoni Fila (przewodniczący), Kazimierz Barański (zastępca przewodniczącego), Zenon Borawski (księgowy) oraz członkowie - Czesław Kuśmierz, Stanisław Wasiewicz i Zbigniew Zwolenkiewicz.

Pierwsze organizacyjne spotkanie Komitetu odbyło się w restauracji „Jonatan”, a następne w miejscowej szkole i wtedy zapadła decyzja o wybudowaniu kościoła, a nie kaplicy oraz o wykupie ziemi pod jego przyszłą

budowę. Członkowie komitetu postanowili zorganizować publiczną zbiórkę pieniędzy. Ofiarność i zaangażowanie mieszkańców Czernina przeszła wszelkie oczekiwania.

Pierwsza lokalizacja kościoła – to miejsce koło krzyża na tzw. rozdrożu, a potem w parku koło dworku Donimirskich. Jednak z czasem ten projekt upadł. Wobec tego zaproponowano miejsce przy ulicy Sportowej 1. Prace rozpoczęto od budowy plebanii, gdzie w piwnicy szybko powstała tymczasowa kaplica.

W dalszej kolejności pozostała do załatwienia sprawa patrona kościoła. W tym celu do księdza biskupa Edmunda Piszczka, ówczesnego ordynariusza diecezji warmińskiej, udała się delegacja. Ks. biskup zaproponował nazwę kościoła pod wezwaniem św. Królowej Jadwigi, gdyż takiej nazwy nie było w diecezji. Przedstawiciele komitetu ze zrozumieniem przyjęli i zaakceptowali taką nazwę. Ponadto ks. biskup od razu ustanowił pierwszego proboszcza przyszłej parafii w osobie ks. Arkadiusza Chojnackiego. Należy wspomnieć o tym, iż pierwsze msze święte, śluby, chrzty i inne obrządki odbywały się pod gołym niebem, z liczną rzeszą wiernych.

Patronka

Patronka czernińskiej parafii to św. Królowa Jadwiga. Data Jej urodzin nie została odnotowana w źródłach i może być ustalona jedynie na podstawie danych pośrednich. Jadwiga Andegaweńska urodziła się między 3 października 1373 r. a 18 lutego 1374 r. Była córką Ludwika Węgierskiego i Elżbiety Bośniackiej. W dzieciństwie, 15 czerwca 1378 r. została zaręczona z Wilhelmem z dynastii Habsburgów, który miał wtedy osiem lat. Jadwiga przybyła do Krakowa jesienią 1384 r. i w dniu jej imienin, 15 października, dokonano w katedrze na Wawelu jej koronacji na królową Polski. Z powodu młodego wieku królowa nie mogła sprawować rządów samodzielnie, więc sprawowali je możnowładcy małopolscy. Panowie krakowscy nie godzili się na związek Jadwigi z Wilhelmem Habsburgiem. Chcieli oni związać Polskę z Litwą. Z tego powodu korona Polski trafiła do wielkiego księcia litewskiego Jagiełły, który przyjął chrzest wraz ze swoim państwem. Wobec tego Jadwiga zmuszona była do wejścia w związek małżeński z Jagiełłą, który 15 lutego 1386 roku przyjął chrzest, a dwa dni później uroczystie zawarł ślub z młodszą Jadwigą. Jagiełło miał wówczas 35 lat, Jadwiga - 12.

Jadwiga skupiała na swoim dworze elitę intelektualną Polski. Sama też była wybitną intelektualistką, znającą realia ówczesnej Europy, biegle władająca czterema językami. Była fundatorką wielu kościołów i klasztorów. W roku 1397 założyła bursę dla polskich i litewskich studentów przy Uniwersytecie Karola w Pradze.



Św. Jadwiga

Dnia 22 czerwca 1399 roku urodziła córkę Elżbietę Bonifację, która po 21 dniach zmarła. W cztery dni po śmierci córki Jadwiga zmarła na gorączkę połogową.

Święta Jadwiga nie pozostawiła po sobie żadnych objawień i według zapisów kronikarzy kultywowała surowe umartwienia. Jej przewodnikiem i mentorem duchowym był krakowski dominikanin Henryk Bitterfeld, autor traktatu o Komunii świętej i traktatu ascetyczno-mistycznego napisanego specjalnie dla Jadwigi. W swym życiu harmonijnie łączyła kontemplację z działalnością praktyczną, co wyraziła również w nawiązującym do Ewangelii symbolu dwóch przeplatających się liter MM (Maria i Marta), który poleciła umieścić na ścianach swej komnaty.

Chcąc, aby chwała Boża nieustannie rozbrzmiewała w katedrze wawelskiej założyła i zapewniła utrzymanie Kolegium Psalterzystów, którzy dzień i noc śpiewali psalmy przed Najświętszym Sakramentem. Ufundowała również i częściowo własnoręcznie wyhaftowała racjonal, tj. drogocenną szatę liturgiczną dla biskupów krakowskich, zachowaną po dziś dzień, używaną podczas największych uroczystości religijnych.

Po śmierci królowa Jadwiga od razu została otoczona kultem i po bardzo wielu latach została beatyfikowana, właśnie przez zatwierdzenie kultu. Stało się to dopiero 31 maja 1979 roku. Po ośmiu następnych latach - 8 czerwca 1997 r. została kanonizowana. Obu aktów dokonał papież Jan Paweł II. Relikwie św. Jadwigi w 1987 r. umieszczono w północno-wschodniej części katedry na Wawelu, dokładnie w mensie ołtarza z czarnym krucyfiksem, z którego według legendy przemówił do bardzo młodej wówczas dziewczyny Jezus, doradzając jej ślub z Jagiełłą. Neogotycki nagrobek pozostał pusty.

Władze kilku polskich miejscowości związanych ze świętą Jadwigą podjęły uchwały w sprawie ustanowienia jej patronką miasta. Decyzje rad miejskich zostały oficjalnie potwierdzone przez papieża Jana Pawła II i Benedykta XVI, którzy ogłosili świętą Jadwigę patronką, m.in. Nieszawy w roku 2003, Radomska w roku 2008 i Inowrocławia w roku 2009. Należy zauważyć, iż jest ona patronką Polski i Węgier.

Parafia czernińska pod wezwaniem św. Królowej Jadwigi obejmuje następujące miejscowości: Czernin, Pietrzwałd, Mleczewo, Górki, Szpitalna Wieś oraz Cygusy. Liczbę wiernych szacuje się na około 600 rodzin, czyli 2 170 osób. Parafia wchodzi w skład dekanatu sztumskiego i została oficjalnie erygowana 1 lipca 1990 r. przez ówczesnego biskupa warmińskiego Edmunda Piszczka, natomiast poświęcenie fundamentów pod budowę kościoła odbyło się 27 października 1991 r.



Pałac Donimirskich w Czerninie,
fot. R. Niemczyk

Wspólna budowa

Prace budowlane przy kościele ruszyły w 1990 roku. Jednak okazało się, że grunt pod budowę jest nieodpowiedni i nastąpiło przesunięcie placu budowy. Miejscowa ludność z wielkim zapałem i zaangażowaniem przystąpiła w czynie społecznym do prac, przy znacznej pomocy czernińskich zakładów pracy, m.in.: Kombinatu Rolnego „Powiśle”, Fermy Trzody Chlewnej, Zakładu Przemysłu Rolnego oraz Gospodarstwa Rolnego AGROFARM sp. z o.o. w Jurkowicach.

Mury kościoła zaczęły wspinać się w górę i ostatecznie konstrukcja budynku w obecnej postaci została zakończona w 1998 r.

Pierwszym proboszczem w latach 1990 – 1998 został ks. Arkadiusz Chojnacki. Należy zaznaczyć, iż to on rozpoczął budowę miejscowego kościoła. Rok 1990 to okres transformacji, to czas przejścia od gospodarki nakazowo – rozdzielczej do gospodarki wolnorynkowej. Początki budowy były naprawdę trudne. To właśnie ks. A. Chojnacki zaangażował miejscową ludność w budowę kościoła. Był niestrudżonym inicjatorem pielgrzymek pieszych do Sanktuarium Świętej Rodziny w Ryjewie. Znamienne jest to, że sprzedał swój samochód FIAT 126p, aby pozyskać pieniądze na budowę. Msze św. i inne uroczystości kościelne odbywały się w dalszym ciągu w kaplicy pod plebanią.

Drugim proboszczem został w latach 1998 – 1999 ks. Piotr Świtajski. Kontynuował rozpoczęte dzieło swojego poprzednika. Jednak pojawiły się pierwsze trudności natury organizacyjno-budowlanej i finansowej. Długo nie pobył w Czerninie i odszedł do parafii w Tychnowach.

Od 1 lipca 1999 r. funkcję proboszcza pełni ks. mgr Zbigniew Bielecki, rodem z Nowego Stawu, absolwent Wyższego Seminarium Duchownego w Gdańsku. To ks. Z. Bielecki „wyprowadził” msze św. z kaplicy do nadal

budującego się kościoła. Ponadto za kadencji obecnego proboszcza, m.in. upiększono wnętrze kościoła, wybudowano piękne konfesjonały, ocieplono i wykończono sufit w głównej nawie, zainstalowano nowoczesny elektryczny dzwon, sprowadzono ławki z Hiszpanii z miejscowości Santander. Fundatorem konfesjonału oraz bocznych ławek jest Waldemar Fierek.

W styczniu 2007 r. sprowadzono z miejscowości Essen w Niemczech organy piszczałkowe znanej firmy Ernst Seifert Orgelbauanstalt Berg Glaetlsach. Była to inicjatywa miejscowego organisty Romana Itricha oraz jego brata Norberta, który jest organistą w katedrze w Santander w Hiszpanii. Pierwotnie w kościele grano na organach elektronicznych. Montażem, renowacją oraz naprawą tych organów osobiście zajął się organista. Organy posiadają dwa manualy (klawiatury ręczne) oraz pedały (klawiaturę nożną) mającą 30 klawiszy. Cechują się tym, że wszystkie głosy posiadają piszczałki metalowe, a wśród nich są dwa wyróżniające się głosy - puzon i trąbka - odznaczające się pięknym i oryginalnym brzmieniem. Łącznie głosów jest 22, co oznacza, że organy czernińskie są największym instrumentem w dekanacie sztumskim. Dla przykładu, organy w kościele św. Anny w Sztumie mają 17 głosów. Pierwsza msza św. zagrana na tych organach odbyła się w czerwcu 2007 r. na uroczystościach Bożego Ciała.

W maju 1997 r. odbyła się pierwsza misja parafialna. Miały też miejsce trzy msze św. prymicyjne: ks. Michała Muszyńskiego, ks. Marka Radomskiego, ks. Piotra Radomskiego. Wspomnieć również trzeba o tym, że obecny proboszcz adoptował nieużywane pomieszczenie pod kościołem na kaplicę.

14 listopada 2010 r. zmarł ks. Arkadiusz Chojnacki. Miejscowi parafianie w dowód wdzięczności za pracę nad budową kościoła oraz za pracę duszpasterską, ufundowali i postawili przy miejscowym kościele pamiątkowy kamień poświęcony pierwszemu proboszczowi. 11 maja 2011 r. uroczystego poświęcenia tego kamienia, w obecności licznej rzeczy parafian, rodziny i rodziców ks. Arkadiusza Chojnackiego, dokonał biskup pomocniczy diecezji elbląskiej ks. Józef Wysocki.

Sam kościół wymaga w dalszym ciągu dalszych inwestycji. Konieczne są np. prace w prezbiterium, jednak dalsze inwestycje w dużej mierze zależą od ofiarności parafian. Trzeba pamiętać o tym, że parafia czernińska jest bardzo młoda, bo liczy zaledwie 22 lata. W 2012 r. odbędzie się tutaj uroczyste przyjęcie kopii obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej oraz drugie misje święte.

Wiesław Olszewski

SPŁYW BUGIEM

Impreza została zorganizowana przez Stowarzyszenie Gmin, Powiatów i Regionów Nadbużańskich oraz Starostwo Powiatowe w Siemiatyczach przy finansowym wsparciu Urzędu Marszałkowskiego Województwa Podlaskiego. W ubiegłorocznej, jedenastej już edycji, skuszeni walorami dziewiczej przyrody oraz wielokulturowości Podlasia Nadbużańskiego, wzięli w niej udział kajakarze z Nowego Dworu Gdańskiego. W spływie uczestniczyło blisko 200 osób z całej Polski, przemierzając w kajakach 125 km z Mielnika do Broka.



Uczestnicy spływu Bugiem,
fot. W. Olszewski

Podlasie Nadbużańskie

Podlasie Nadbużańskie to kraina szczególna, magiczna, której osią jest szeroka na kilka kilometrów dolina Bugu. Rzeka jest niezwykła i to na skalę kontynentu, bo jest ostatnią w całości nieuregulowaną rzeką Polski. Podlasie to niepowtarzalna przyroda z fragmentami dawnych puszczy, architektura z chatami drewnianymi, cerkiewkami jak z XIX wiecznych malowideł.

Podlasie to także specyficzny krajobraz kulturowy i niezwykła historia. Rzeka od wieków stanowiła granicę, i to nie tylko państwową, ale i etniczną. W początkach tysiąclecia, bezludna niemalże kraina, porośnięta puszcza-ami, oddzielała Mazowsze od Rusi. Osadnicy mazowieccy pojawili się tu w X wieku. Posuwając się od zachodu dotarli aż do poleskich błot, gdzie założyli warowny gród Brześć. W połowie następnego stulecia książęta ruscy wyparli z Brześcia Mazowszan i wędrując na południe dotarli aż do przełomu Bugu zakładając grody w Mielniku i Drohiczynie. Przez następne stulecia ziemie nadburzańskie przechodziły kolejno pod zarząd różnych władców. Była to jednak nie tylko granica państwowa, ale i religijna pomiędzy katolicyzmem i prawosławiem. O odrębności etnicznej Podlasia świadczy sama nazwa tej krainy. Nie jest to bowiem nazwa pochodzenia polskiego wywiedziona od lasów, lecz określenie nadane tej ziemi przez osadników ruskich. Pierwotnie nazywali oni ziemię nadbużańską „Pod-Lasze”, co oznaczało tereny zamieszkiwane przez Lachów, czyli Polaków. Twierdził tak, m.in. znakomity znawca etnografii Podlasia i etymologii – Zygmunt Gloger.

Mówiąc o specyfice i oryginalności kulturowej tej Ziemi nie sposób nie wspomnieć o podlaskiej szlachcie zagrodowej. Jej to, jako specyficznej w skali kraju, warstwie społecznej wiele uwagi poświęca wspomniany Zygmunt Gloger. Przypomina genezę:

„Uszlachcenie w wiekach średnich kmieci przez mazowieckich książąt, za męstwo w boju okazane, często jeszcze miało tu miejsce za królów polskich, co przyczyniało się do wzrastania w tych stronach ogromnej już liczby szlachty, bo 2/3 ogółu ludności stanowiącej.” I dalej: „Szlachta ta, najstarsza może u nas, dostarczała w dawnych wiekach najwięcej ludzi do obrony granic Rzeczypospolitej, uważając służbę rycerską nie za zasługę ale za obowiązek. Ubóstwa nigdy się nie wstydziła, szcząc się że dźwiga pług i miecz zarazem. ... Całe rzesze tej drobnej szlachty były podziwem dla cudzoziemców, a nade wszystko równość najuboższego szlachcica z magnatem, bo jak mówi przysłowie: Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie. Za granicą wówczas tego nie znano.”

Nie brakuje w literaturze również żartów, satyr i anegdot o niskim statusie materialnym tej grupy. Wszystko to jest nie tylko historią ale i, w jakimś stopniu, terażniejszością. Współczesny nam Edward Redliński, autor „Konopielki”, współinicjator powołania Konfederacji Szlachty Zagrodowej tak mówi: „Nawet uboga szlachta podlaska miała prawa obywatelskie i uczestniczyła w życiu państwa, w samorządności szlacheckiej. Od 1573 roku szlachta wybierała nawet króla. Szlachecka biedota podlaska i mazowiecka uprawiała demokrację na kilka stuleci wcześniej niż zaczęli to robić Anglicy czy Francuzi. Warto podkreślić, że szlachectwo było masowe na naszych terenach. Na zachodzie Europy szlachty, czyli ludzi uprawnionych do aktywności obywatelskiej, było od 2 do 6 proc. Natomiast na wschodnim Mazowszu i Podlasiu szlachta stanowiła od 50 do 90 proc. ludności.”

Wyróżnikiem regionu jest także wielokulturowość i wielowyznanowość mieszkańców Podlasia. Miejsce to od wieków stanowiło przestrzeń styku wielu kultur. Mało mamy w kraju takich stron, gdzie aż tak przenikają się religie, kultury, języki i zwyczaje. Tylko tu można znaleźć miejsca, gdzie obok siebie wznoszą się krzyże prawosławny i katolicki, a u ich stóp stoi kamień z wyrytym półksiężycem. I to robi wrażenie! Niestety, nieliczne już synagogi i resztki zaniedbanych cmentarzy przypominają o jakże licznie żyjących tu Żydach.

Mieszkanie obok siebie nie zawsze wiąże się z wzajemnym zrozumieniem, a często i w przeszłości i niestety obecnie prowadzi do konfliktów, nieraz tragicznych.

Spływ po Bugu

Bug płynie przez terytorium Polski, Ukrainy i Białorusi. Wypływa na Wyżynie Podolskiej na Ukrainie, uchodzi w Polsce do Zalewu Żegrzyńskiego stanowiąc lewy dopływ Narwi. Jego łączna długość wynosi 772 km, z czego 587km przypada na obszarze Polski. Jest typową nieuregulowaną rzeką nizinną, silnie meandruje, tworzy liczne zakola i starorzecza. Miejscami powstają łachy



Spływ Bugiem, fot. W. Olszewski

i piaszczyste skarpy. Brzegi porośnięte są zaroślami, łąkami zalewowymi i lasami łęgowymi. Dolinę cechują dobre warunki przyrodnicze do rozwoju wielu cennych gatunków ptaków, stanowi ona również ostoję dla niektórych gatunków migrujących. Zamieszkują ją również rzadkie ssaki wodne - wydry i bobry. Występuje tu wiele różnorodnych zbiorowisk roślinnych, obok podmokłych torfowisk pojawiają się piaszczyste wydmy, natomiast wilgotne lasy łęgowe przenikają się z suchymi borami. Znaczne obszary zajmują bory sosnowe, a także lasy łęgowe wierzbowo – topolowe i wiązowo – jesionowe.

Trasę spływu zaplanowano Doliną Dolnego Bugu, ze względu na wymienione wyżej walory, objętą ochronnym programem NATURA 2000.

Zagadką jest dzisiaj pochodzenie nazwy tej rzeki. Za to istnieje wiele, mniej lub bardziej odpowiadających prawdzie, hipotez. Według jednej z nich, opowiedzianej niegdyś przez nadbużańskiego regionalistę Tadeusza Tokarskiego, nazwa rzeki miała powstać ponad tysiąc lat temu, za czasów Mieszka I, który wprowadził w Polsce chrześcijaństwo. Nowa nazwa zastąpiła jeszcze starszą, dziś już zupełnie zapomnianą. Tokarski bajając motywował to w sposób następujący: „To dlatego tak się stało, że ówczesna granica państwa piastowskiego sięgała na wschodzie właśnie aż po tę rzekę, dotąd był Bóg, a dalej pogaństwo. Rzeka stanowiła więc przez kilka dziesiątków lat naturalną granicę pomiędzy chrześcijańską Polską, a pogańską jeszcze wtedy Rusią.”

Dzień pierwszy

Spływ rozpoczynamy w Mielniku, kilkanaście kilometrów od miejsca gdzie rzeka przestaje być graniczną. Jest to jeden z najstarszych grodów polskich, którego początki sięgają X wieku. Po dotarciu do plaży w mielnickiej Topolinie pierwsze kroki, krążąc między rzędami kolorowych kajaków, skierowaliśmy na brzeg Bugu, by spojrzeć na nurt tej tajemniczej dla nas rzeki. Spoglądając na południe widzimy szerokie zakole z bystrym prądem wodnym. W nurcie rzeki otoczonej wysokimi skarpami - bezludne wysepki i

piaszczyste łąchy – raj dla ptactwa. Od północy dawna Puszcza Mielnicka ze świetlistymi dąbrowami, grądami i murawami roślin światłolubnych. Teren ten wchodzi w skład Nadbużańskiego Parku Krajobrazowego. W miasteczku romantyczne ruiny, Góra Zamkowa, mały rynek, kręte uliczki, a nawet rezerwat przyrody Góra Uszeście. Po dokonaniu niezbędnych formalności i rejestracji uczestników nadszedł czas zwiedzania. Na ulice Mielnika – historycznego grodu ruszyliśmy wraz z przewodnikiem, który swoimi ciekawymi opowieściami ubogacał zwiedzanie. Odwiedziliśmy m.in. odkrywkową kopalnię kredy, ruiny Kościoła Zamkowego oraz Górę Zamkową, skąd rozpościera się wspaniały widok na Dolinę Bugu. Ciekawostką jest, że jak podaje kronikarz Wigand z Marburga, w 1378 roku próbę oblężenia grodu podjął krzyżacki komtur Bałgi Teodoryk Elner wracając z wyprawy na Kamieniec Litewski.

Okolo godziny czternastej nastąpiła zbiórka, pilot spływu i ratownicy udzielili instruktażu oraz uwag na temat bezpieczeństwa, po czym rozpoczęło się wyczekiwane wodowanie. Po chwili na rzece zaroilo się od kajaków, które po zwodowaniu ostatniego ruszyły w swój rejs z nurtem rzeki. Po przepłynięciu kilometra mijamy prom linowy „Ziemia Mielnicka” – dziś rzadkość, kiedyś bardzo popularne. Płyniemy przez teren dawnej Puszczy Mielnickiej, mijamy rezerwat przyrody „Zabuże” – pozostałość puszczy. Krajobraz rezerwatu urozmaicają głębokie wąwozy i liczne głazy narzutowe. W nurcie pojawiają się wysepki, czasem całe archipelagi. Za kolejnym zakrętem ukazuje się okazały most kolejowy na trasie Hajnówka – Siedlce. Jest to fragment zbudowanej na początku XX wieku linii łączącej Warszawę z St. Petersburgiem, przy której znajduje się przystanek Fronołów. Pod tą zwyczajową nazwą miejscowość jest znana letnikom i funkcjonuje częściej niż Mierzwice-Kolonia. Nazwa Fronołów pochodzi od nazwiska rosyjskiego inżyniera Fronołowa, który zaprojektował poprzedni, zniszczony przez Niemców w 1944 roku, most kolejowy w tym miejscu. Po wschodniej, podlaskiej stronie stacja Siemiatycze oddalona o 7 kilometrów od miasta. Tuż obok wieś Olendry założona w osiemnastym wieku przez osadników holenderskich. Zjawisko to występowało nie tylko na Żuławach i Powiślu.

Po tej stronie Bugu, na okolicznych wzgórzach, można dostrzec znaczną ilość rosyjskich bunkrów tworzących tzw. linię Mołotowa, zbudowaną w latach 1939 – 1941. Na wysokości mostu wyspa. Niecały kilometr dalej rzeka skręca w lewo i dzieli się na 4 stosunkowo wąskie koryta, opływając w sumie trzy malownicze, zadrzewione wyspy. Jeszcze kawałek i kolejny most, tym razem drogowy na trasie Białystok – Lublin. Pierwszy most w tym miejscu powstał w 1554 roku. Wtedy to po zniszczeniu mostu w Mielniku, król zezwolił Stanisławowi Tęczyńskiemu wybudować most przez Bug w Turnej co doprowadziło do omijania odbudowanego później mostu w Mielniku i upadku gospodarczego tego miasta.

Na lewym brzegu, w okolicy wsi Klimczyce Armia Krajowa przeprowadziła słynną akcję „Most”, polegającą na przejęciu rakiety V-2, która spadła w okolicy i wysłaniu jej w częściach do Londynu.

Dopływamy do mety pierwszego etapu w okolicach Turny Małej. Na miejscu czekała na wszystkich ciepła strawa - bigos i grochówka oraz ognisko przy którym można było osuszyć się po trudach wioślowania. Nie zabrakło także tradycyjnego smalcu i ogórków małosolnych oraz potraw z grilla serwowanych przez cały wieczór. Na długości całego odcinka towarzyszyła nam słoneczna pogoda. Tradycyjnie organizatorzy zapewnili kontakt z muzyką ludową podczas spływu, umożliwili zabawę przy granej na żywo muzyce. Żywe rytmy pozwoliły nie tylko na pokazanie swoich talentów wokalnych, ale porwały również do tańca w blasku ogniska. Zabawie pewnie nie byłoby końca, gdyby nie świadomość, że następnego dnia trzeba będzie znowu zmierzyć się z rzeką Bug.



Na Bugu nie tylko kajakarze,
fot. W. Olszewski

Dzień drugi

Ranek obudził wszystkich śpiewem ptaków oraz promieniami słońca, które od samego początku zapowiadało piękny, upalny dzień. Po godzinie ósmej spotkaliśmy się przy śniadaniu, którego niewątpliwym przysmakiem były sery, serki oraz inne produkty podlaskich mleczarni i innych wytwórców. Po zrobieniu pamiątkowego zdjęcia grupowego spływ wyruszył w stronę Drohiczyzna.

Liczne zakola, meandry, mielizny i urocze wysepki porośnięte zaroślami wierzbowymi jednej z najpiękniejszych rzek w Polsce o nieprzeciętnych walorach przyrodniczych to wizytówka Nadbużańskiego Parku Krajobrazowego, którego granica zaczyna się w okolicach Drażniewa. Rzeką tworzy krętą dolinę o stosunkowo wąskim dnie i nachylonych, wysokich zboczach z licznymi tarasami zalewowymi. Obok lasów, terenów rolnych, występują piaszczyste wydmy, lasy łęgowe, torfowiska, które są ostoją wielu gatunków ptaków.

Podziwiając nadbużańską przyrodę do Drohiczyzna dopłynęliśmy około godziny 14-tej, gdzie na uczestników spływu czekał gorący posiłek. Miasteczko prezentuje się wyjątkowo pięknie. Położony na prawym brzegu z kilkoma kościołami i siedzibą biskupa. Następnie udaliśmy się na wycieczkę po tym mieście - historycznej stolicy Podlasia. A tam między innymi, zobaczyliśmy Muzeum Diecezjalne i Muzeum Regionalne, Ogrody Biskupie, Katedrę wraz

z podziemiami, cerkiew Św. Mikołaja Cudotwórcy z XVIII w. oraz na koniec Górę Zamkową. Chociaż czasy dawnej potęgi miasto ma już za sobą, to jednak ślady wielkiej historii spotyka się tu na każdym kroku. Niemal u podnóża Góry Zamkowej mamy drugi nocleg.

Dzień trzeci

Rano start do następnego etapu. Przepiękny widokowo odcinek z rezerwatem przyrody „Wydma Mołóżewska”. Jest to wielka, piaszczysta wydma, wyglądająca jak część pustyni. Występuje tu wiele gatunków ptactwa charakterystycznego dla terenów podmokłych. Na wysokich piaszczystych skarpach są liczne gniazda jaskółek brzegówek. Na okolicznych łąkach nadbużańskich, na malowniczo rozrzuconych stodołach, widać mnóstwo bocianich gniazd. Rzeka mocno się rozszerza, bowiem opływa dużą wyspę. Poniżej wyspy Bug skręca w lewo, a następnie ostro w prawo i zwęża się do szerokości niewielkiej jak na tę rzekę, bo do około 60 metrów. Po opłynięciu wydmy wielkim łukiem w lewo napotykamy przed wsią Mołóżew drugi rezerwat, położony na wysokim, zalesionym brzegu rzeki. “Skarpa Mołóżewska” jest rezerwatem florystyczno-krajobrazowym o powierzchni z ha i chroni rzadkie rośliny zarośli ciepłolubnych. Po obu stronach szlaku leżą dość liczne wsie, a wśród nich Tonkiele z cmentarzem wojennym, gdzie pochowano zbiorowo 25 tysięcy jeńców radzieckich i osób cywilnych zamordowanych w 1941 roku.

Dzień czwarty

Płyniemy w kolejny dzień. Rzeka cały czas dzika, liczne mielizny i wyspy, duży sosnowy las dochodzący do samej wody. W korycie rzeki coraz częściej pojawiają się zalesione wyspy. Po lewej stronie brzegom Bugu zaczyna towarzyszyć wysoki wał przeciwpowodziowy, czujemy się jak na naszych szlakach żuławskich. Niedaleko za wałem wieś Wieska i rozległa dolina. Szerokość Bugu zbliża się prawie do 200 m, głębokość rzeki, płynącej od dawna nie regulowanym korytem, jest bardzo mała, nie przekracza 60 cm. Koryto w środkowym biegu rzeki posiada w swoim dnie wiele mielizn. Bug już w XIX w. został połączony z Prypecią kanałem Dniepr – Bug (dawniej zwanym Królewskim), biegnącym od Brześcia przez Muchawiec i Pinę. Jest to nigdy nie zrealizowana do końca droga wodna o znaczeniu paneuropejskim, prowadząca z Morza Północnego do Morza Czarnego, zastąpiona później kanałem Ren – Men – Dunaj. W latach 60-tych i 70-tych planowano na polskim odcinku Bugu duże inwestycje hydrotechniczne, które nigdy nie doszły do skutku. Rzekę jeszcze do niedawna uważano za żeglowną na długości blisko 590 km (a więc daleko poza Brześć). I rzeczywiście była taką przez wieki, umożliwiając dotarcie z głębokiego wschodu Rusi (Wołyń i Podole) ludziom i towarom do ujścia Wisły i portów w Gdańsku i Elblągu.

Dziś w wielu miejscach nawet dla kajaków jest zbyt pytko, płyniemy więc za naszym przewodnikiem omijając płycizny. Szlak wytyczony jest poprawnie, malowanymi na zielono i czerwono, tyczkami nurtowymi, brzegowymi i kępowymi. Aż trudno uwierzyć, że kilka miesięcy temu komunikaty o stanie rzeki budziły grozę. Lecz do tej pory widać na drzewach okaleczenia spowodowane płynącą z potężną siłą krą. Sięgają powyżej dwóch metrów.

Na prawym brzegu przysiółek Łokcie, na lewym brzegu skarpa z sosnowym lasem, tuż za zakrętem w lewo, na lewym brzegu znajduje się bardzo dobre miejsce biwakowe, ze stołem i ławami oraz miejscem na ognisko i przepięknym widokiem na Bug. Tu rozbijamy kolejny biwak.

Dzień piąty

Kolejnego dnia mijamy przewóz promowy z Wojtkowic-Glinnej do leżącej na lewym brzegu rzeki wsi Kamieńczyk. Po kilku kilometrach ujście rzeki Nurzec. Miejscowość Obryte. Odtąd prawemu brzegowi rzeki będzie towarzyszyła droga asfaltowa aż do Małkini. Po dwóch kilometrach Myślilibory, pierwsza z kilku połączonych ze sobą wsi na prawym brzegu; kolejne to Murawskie Nadbużne, Kossaki i Kamianka Nadbużna. Wkraczamy na teren Nadbużańskiego Parku Krajobrazowego. Bug przez następne kilka kilometrów znowu opływa kilka niewielkich wysp. Okolica jest tutaj mniej dzika, bardziej zurbanizowana.

Nur, to miasto na prawym wysokim brzegu, dlatego wieża kościoła była już widoczna od paru kilometrów. Nur lokowano w roku 1425 lub w 1410, pierwsza parafia powstała tu zapewne w XII-XIII wieku, już we wczesnym średniowieczu istniała tu osada targowa. W 1568 roku król Zygmunt August wydał miastu przywilej zwalniający je z ceł na towary spławiane do Gdańska. Dzięki korzystnemu położeniu Nur stał się znaczącym ośrodkiem handlu zbożem, które ówczesnie wysyłano przez Gdańsk do zachodniej Europy. Świetnie zachowany układ przestrzenny miasta pochodzący z 1 poł. XV w. Warto zobaczyć zabudowę miasteczka i kościoł. Nie można ominąć niepowtarzalnego, kultowego wręcz baru piwnego przy rynku! Wystrój i atmosfera z lat pięćdziesiątych XX wieku.

Tuż za miasteczkiem znajduje się most drogowy pomiędzy Czyżewem Osadą a Ceranowem. Dalej rzeka jest dość prosta i monotonna. Po kilkukilometrowym w miarę prostym odcinku Bug najpierw łagodniej zakręca w lewo, a trochę dalej ostro w prawo. Po kolejnym kilometrze płynięcia wprost w kierunku północnym ostry zakręt w lewo w pobliżu wysokiego zalesionego brzegu z pojedynczymi zabudowaniami wsi Gąsiorowo. Jest to najbardziej na północ wysunięty fragment Bugu.

Wcześniej położona jest Zuzela, wieś nieco odległa od rzeki, schowana na zakręcie w prawo za sosnowym laskiem, a w niej przy ceglanym kościele w drewnianym budynku dawnej szkoły mieści się muzeum lat dzieciennych

Prymasa Stefana Wyszyńskiego (tu się urodził). W okolicach Zuzeli Bug skręca całkiem na zachód i płynie w swojej własnej pradolinie, koryto zaczyna charakteryzować się ślepymi lub drożnymi odnogami, rozlewiskami i piaszczystymi łachami

Zgłeczewo, wieś na wysokiej skarpie na prawym brzegu, to dobre miejsce na biwak przy lesie sosnowym na prawym brzegu ostrego zakrętu rzeki w prawo, tu nocujemy.

Dzień szósty i ostatni

Przed nami ostatni etap spływu. Dopływamy do Małkini – ważnego węzła kolejowego i drogowego w tej części Polski. Legenda głosi, że wieś Małkinia wyrosła wokół karczmy, którą zbudowała przy gościńcu nad Bugiem Żydówka Małka. Po raz pierwszy nazwa miejscowości pojawia się w dokumencie z 1203 roku wydanego biskupom płockim przez księcia Konrada Mazowieckiego. Już w pradziejach Polski przez Małkinię przebiegał szlak handlowy z pierwszej stolicy - z Gniezna, przez Płock, Wyszogród i dalej wzdłuż rzeki Bug do Kijowa - stolicy Rusi Kijowskiej. W pobliżu wsi rezerwat przyrody „Bużysko”, obejmuje jedno ze starorzeczy Bugu, zwanych „Bużyskami” z przylegającymi łakami. Tereny wokół rezerwatu to jedne z najciekawszych obszarów pod względem faunistycznym, florystycznym i krajobrazowym. Znaczną powierzchnię zajmują zbiorowiska wodne i szuwarowe. Na terenie rezerwatu występują gatunki roślin objętych całkowitą ochroną, jest jednym z bardziej interesujących pod względem ornitologicznym.

Mijamy wyłączony z eksploatacji niemiecki most drogowo-kolejowy między Małkinią a Borowem; przy nim nowy most; w lewo około 6 km do miejsca dawnego obozu zagłady w Treblince. Nazwa dotyczy kompleksu dwóch niemieckich obozów, pracy i zagłady, istniejących w latach 1941-1944 i 1942-1943. Śmierć poniosło tu blisko milion osób, głównie Żydów warszawskich, ale również z całej Polski i Europy. Miejsce o bardzo tragicznej, ponurej i haniebnej historii.

Dalej most kolejowy na trasie Warszawa - Białystok. Za mostem Bug zakręca mocno w lewo i pojawiają się znów zalesione tereny. Dość monotony krajobraz ciągnący się od miejscowości Nur ze stosunkowo słabo dostępnymi brzegami zaczyna stawać się coraz bardziej atrakcyjny. Pojawiają się urokliwe zalesione wyspy i atrakcyjne fragmenty brzegu. Zbliżając się do miasteczka Brok mijamy prawostronny dopływ sporej rzeki o tej samej nazwie. Od ujścia Broku Bug płynie dawną doliną odpływu wód lodowcowych, tworząc liczne meandry oraz starorzecza, zwane „bużyskami”

Przy mieście rzeka meandruje na przemian zbliżając się i oddalając od zabudowań. Mijając most drogowy dopływamy do piaszczystej, dużej plaży w Broku na prawym brzegu. Tu po sześciu dniach i 125-ciu przepłyniętych kilometrach kończymy nasz spływ.

Brok będąc jednym z grodów kasztelańskich i odgrywając dużą rolę w życiu gospodarczym regionu, m.in. jako ważny port rzeczny. 26 marca 1501 roku uzyskał za sprawą biskupa płockiego Wincentego Nowiny Przerębskiego prawa miejskie. Późniejsze klęski i wydarzenia historyczne a zwłaszcza wojny szwedzkie spowodowały upadek miasta.

W roku 1922, gdy Brok odzyskał prawa miejskie, zaczął stopniowo rozwijać się jako miejscowość letniskowa i uzdrowiskowa, ośrodek turystyczno - wypoczynkowy niedaleko stolicy.

Piękne widoki jednej z ostatnich nieuregulowanych rzek w Polsce i mocne, niezapomniane przeżycia - tego doświadczyliśmy podczas spływu kajakowego rzeką Bug. Podczas postojów mogliśmy zwiedzić najciekawsze miejsca tego regionu, w towarzystwie przewodników, którzy w interesujący sposób przybliżyli historie odwiedzanych miejsc. Przy wieczornych ogniskach, po zmaganiach z żywiołem mogliśmy spróbować smaków lokalnej kuchni i dać się porwać granej na żywo muzyce. Tych wrażeń nie da się zapomnieć.

Oczywiście można doszukać się i pewnych niedociągnięć. Po pierwsze słabe zabezpieczenie sanitarne miejsc biwakowych, nocowanie „na dziko” tak znacznej grupy uczestników bez żadnego wyposażenia sanitarnego stwarzało problemy.

Po drugie, organizując miejsca postojów i noclegów należało, moim zdaniem, zaprosić do współpracy lokalne stowarzyszenia, Koła Gospodyń Wiejskich, Rady Sołeckie czy miejscowe OSP. Bez tego pozbawiono uczestników, zwłaszcza tych z innych stron Polski, kontaktu z jeszcze jednym skarbem tej ziemi – jego mieszkańcami, ich kulturą, kuchnią, zwyczajami. Z ludźmi gościnnymi, życzliwymi i otwartymi na przybyszów. A wiem co mówię, bo też jestem stamtąd, urodziłem się, wychowałem i żyję na Żuławach, ale moja rodzina przywędrowała tu w 1947 roku z Podlasia Nadbużańskiego.

Janusz Namenanik

Smutne dzieje dzierzgońskiej kolei



Ostatnia jazda pociągiem,
fot. archiwum autora

Rozwój parowej kolei żelaznej związany był z osobą angiela George'a Stephensona, który 27 września 1825 roku uruchomił pierwszą linię pasażerską kolei żelaznej pomiędzy Stockton a Darlington.

Już po 28 latach od tego wydarzenia uruchomiono pierwszą drogę żelazną w Prusach Wschodnich, która łączyła Malbork z Królewcem przez Elbląg, Bogaczevo, Braniewo.

Linia ta powstała w latach 1852-1853. Kolejną linią była magistrala Iława – Wystruć. Ze strategicznego punktu widzenia, magistrale te należało połączyć. W 1881 roku „Gazeta Toruńska” donosiła: „O odbyło się zebranie celem omówienia projektu budowy kolei z Malborka przez Dzierzgoń do Małdyt. Koszty robót przedwstępnych w wymiarze 2000 marek zostały już zebrane.” Należało ustalić przebieg linii, wykupić ziemię (około 140 hektarów), opracować projekt i oczywiście zgromadzić środki. Wreszcie po wieloletnich przygotowaniach rozpoczęto wiosną 1891 roku budowę jednocześnie dwóch linii kolejowych: Elbląg – Zalewo – Ostróda – Olsztynek a także krzyżującą się z nią trasę: Malbork – Dzierzgoń – Myślice – Małdyty. Ta pierwsza stanowiła ważną łącznicę poprzeczną, która wiązała dwie wielkie magistrale: Elbląg – Królewiec i Iława – Wystruć. Linia ta wraz z trasą Malbork – Małdyty, obie o dużym znaczeniu strategicznym, miały funkcjonować w roli rokad¹ w przyfrontowym w pasie po Olsztyn i Nidzicę.

Jedno z biur budowy mieściło się w Zalewie, a drugie w Ostródzie. Budowniczym odcinka z Elbląga do Zalewa był Teichgruber a jego pomocnikami byli: Wieckmam w Zalewie i Bergman w Myślicach. Dwa lata później 17 czerwca 1893 roku na stacji w Janikach Wielkich nastąpiło spotkanie budowniczych odcinka zalewskiego i ostródzkiego. Odbyła się uroczystość wbicia złotego gwoździa. Oficjalne otwarcie i uruchomienie ruchu pociągów na tym szlaku nastąpiło w dniu 1 września 1893 roku. W tym samym czasie, to jest 1 września 1893 roku został włączony do ruchu kolejowego szlak Malbork – Dzierzgoń – Myślice – Małdyty, którego długość wynosiła 55,49 km.

¹ Rokada - droga równoległa do linii frontu, używana do przesyłania zaopatrzenia lub ułatwiająca transport pośilków (red.).

Przedsiębiorstwem eksploatacyjnym na tej trasie były Pruskie Koleje Państwowe – Preussische Staatsbahnen, w skrócie – Pr. Stb.

Bezpośrednia budowa linii trwała tylko półtora roku. Tempo było wyjątkowe, zważywszy na ogrom prac ziemnych, prac inżynierskich oraz specyficznego ukształtowania terenu na odcinku około 56 km. A więc było to średnio 3 km miesięcznie.

Wybudowano liczne mosty i wiadukty. Ówczesny stan techniczny był taki, że większość prac ziemnych wykonywano ręcznie, a głównym środkiem transportu były konie. Musiano również wybudować bocznice, dworce, stacje wraz z zapleczem. Sama budowa tej linii trwała rewelacyjnie krótko, natomiast okres przygotowawczy był dość długi i wynosił aż 10 lat. Robotnik niewykwalifikowany (niepełnoletni) pracujący przy budowie nasypu kolejowego otrzymywał dniówkę 1,6 marki, a dniówka robotnika pełnoletniego wynosiła 2,2 marki.

Otto Piepkorn w swojej kronice pisze, że pierwotnie dzierzgońska stacja kolejowa miała znajdować się w Judytach, jednak ówczesny burmistrz Dzierzgonia nie zgodził się na to. Na decyzję tą wpłynęły między innymi ukształtowanie terenu, które jest strome w obszarze miasta. Do Judyt byłby utrudniony transport drewna z południowych obszarów miasta. W sumie dworzec znalazł się poza granicami Dzierzgonia. W „Gazecie Gdańskiej” czytamy, że:

„Nowy dworzec kolejowy jest pod Kiszporkiem (Dzierzgoniem)”. Dzierzgoń znajdował się w powiecie sztumskim, a dworzec był na terenie powiatu morąskiego. Linia graniczna przebiegała przez środek skrzyżowania dróg: Dzierzgoń - Stary Dzierzgoń i drogi bocznej prowadzącej bezpośrednio na stację.

Autor „Kroniki Dzierzgonia” stwierdził, że ten dworzec kolejowy miał zabawne położenie. W czasie plebiscytu 1920 r. na granicy stali Włosi i zawracali każdego, udającego się z dworca do miasta i odwrotnie jeżeli nie posiadał stosownych dokumentów. Do budowy nasypów kolejowych posłużył gruz z resztek ruin zamku krzyżackiego. Na stacji w Dzierzgoniu mieścił się zarząd kolei jak również rozległe magazyny towarowe z drewnem, tarcicą drewnem dla górnictwa, ziarnem, mąką, słomą, sianem. Były tam również pomieszczenia, w których na wywóz oczekiwały konie, bydło, produkty mleczarskie, dziki, czyli wszystko to co w okolicy wyprodukowano. Ponadto oczekiwały jeszcze wyroby z betonu, żwir, wyroby stolarskie oraz wszystkie rodzaje produktów wiejskich i miejskich wytworzonych gdzieś daleko i



Dworzec kolejowy w Prakwicach,
fot. archiwum autora

przywiezionych tutaj. W 1926 roku zainstalowano oświetlenie elektryczne na dworcu jak i na ulicy prowadzącej z miasta. Kursowały również autobusy i taksówki na trasie miasto – dworzec kolejowy.

Linia kolejowa Małdyty – Malbork kryła w sobie pewną unikalną niespodziankę techniczną. W obrębie byłego majątku Budwity, między stacjami Połowite i Małdyty zbudowano nietypowy układ torów umożliwiających przestawianie wagonów kolei normalnotorowej (1435 mm) na wąskotorową (1000 mm) i odwrotnie. Wszystko wskazywało na to, że było to stanowisko doświadczalne, gdyż opracowano je do przestawienia pojedynczego wagonu. Istniała możliwość jego rozbudowy, aby umożliwić jednorazowe przestawienie większej ilości wagonów. Techniczne rozwiązanie polegało na tym, iż wewnątrz toru normalnego położono tor o szerokości 1000 mm. Na początkowym odcinku o długości 9 metrów (długość wagonu) leży on na poziomie o 120 mm poniżej toru normalnego. Po podstawieniu pod osie wagonu odpowiednich wózków i zamocowaniu ich do osi, wagon zjeżdża (lub wjeżdża) na tory o innych rozmiarach. Dokładny opis urządzenia z Budwit (jako innowację techniczną) można znaleźć w czasopiśmie technicznym z 1915 roku *Zentralblatt der Bauverwaltung*.

Innym ciekawym obiektem, a wręcz perełką architektoniczną budownictwa kolejowego jest drewniany budynek dworca wybudowany w latach 1893-1898 w Prakwicach. W 1910 roku zabudowano zadaszoną werandę tego obiektu. Budynek był pawilonem powitalnym dla cesarza Wilhelma II przyjeżdżającego koleją do Prakwic na polowania. Po upadku monarchii dworzec został rozebrany i przeniesiony w 1920 roku do miejscowości Gumiska Małe, gdzie częściowo przebudowany służył w latach 1921-1999 jako dworzec kolejowy – Budwity. Dworzec zamknięto i do dzisiaj stoi opuszczony w stanie opłakanym. Wisi tam jeszcze (jako memento) ostatni rozkład jazdy pociągów. Szukałem odpowiedzi na pytanie: dlaczego pawilon przeniesiono z Prakwic do Budwit? Jedną z przesłanek jest na pewno prawdziwa. Po 1918 roku cesarz zaprzestał przyjazdów do Prakwic. W przedwojennym rozkładzie jazdy nie występuje przystanek w Prakwicach.

Do początku lat 50-tych ubiegłego wieku przystanek w Prakwicach w ogóle nie istniał. Nie było tam stacji „dla wszystkich”. Pawilon pełnił jedynie okazjonalną funkcję i służył tylko i wyłącznie cesarzowi. Stacja w Budwitach istniała, ale nie posiadała budynku dworca, z tych też powodów obiekt przeniesiono. Specjalny pociąg cesarski musiał również gdzieś oczekiwać, nie zakłócając w tym czasie ruchu innych pociągów na trasie. Wszystko wskazuje na to, że była to bocznicza w lesie za Prakwicami. Bocznicza ta służyła głównie do załadunku drewna z lasu. Omawiana linia kolejowa posiadała kilka bocznic, na przykład ze stacji w Dzierzgoniu wybiegały dwie, jedna prowadziła do żwirowni, a druga do zakładów produkujących wyroby z betonu.

Rozkład jazdy Malbork - Olsztyn 1945 r., fot. archiwum autora

Wyjazd ostatnich niemieckich pociągów z Dzierzgonia opisuje Piepkorn. Jako naoczny świadek pisze on, że 22 stycznia 1945 roku w poniedziałek należało spodziewać się jednego z pięciu zaplanowanych w rozkładzie pociągów do Malborka. Specjalny pociąg załadowano w tym dniu o godzinie 11, a w południe odjechał on do Malborka. Transportem tym dowodził rektor (dyrektor szkoły) Mielke. Po licznych telefonach do odpowiednich władz

postanowiono wysłać drugi pociąg, który składał się z 15 wagonów. Załadowano go w ciągu nocy z poniedziałku na wtorek i wyjechał on 23 stycznia we wtorek o godzinie 5 rano. Transportem zarządzał nauczyciel Fuhlbrugge. W dniu 23 stycznia 1945 roku odjechał jeszcze jeden, a zarazem ostatni niemiecki pociąg ewakuacyjny z Dzierzgonia.

W tym dniu do południa napływali jeszcze maruderzy na stację. Przybyli również uchodźcy z terenu Starego Dzierzgonia, szturmując stację i sięjąc ogólną trwogę głosząc, że w Starym Dzierzgoniu są już rosyjskie czołgi, a Rosjanie palą i mordują. Ostatni niemiecki pociąg ruszył z Dzierzgonia o godzinie 1230 i kilka godzin jechał do Malborka a w siedem godzin po wyjeździe z Dzierzgonia można było wyjechać przepełnionym pociągiem w stronę Gdańska. Tory w Dzierzgoniu zostały zniszczone i wysadzono most za betoniarnią.

Rosjanie po wkroczeniu do Dzierzgonia 25 stycznia 1945 roku rozebrali tory i je wywieźli. Podobnie chodnik prowadzący z miasta na stację. Linia była nieczynna do 1949 roku. Po wojnie kursowały pociągi z Malborka do Waplewa Wielkiego i następnie do Stanowa. Mieszkańcy Dzierzgonia korzystali również ze stacji w Młeczewie.

Po uruchomieniu całej linii Malbork – Małdyty na ogół kursowały trzy stałe pary pociągów o znaczeniu lokalnym (jeden z nich dojeżdżał do Morąga) oraz jedna para dalekobieżnych, pociąg sezonowy w okresie największego świątecznego nasilenia ruchu, na trasie Olsztyn – Gdynia.

Z sieciowego rozkładu jazdy na rok 1988 wynika, że kursowały 4 pary pociągów: z Dzierzgonia do Malborka pociąg odjeżdżał w godz. - 6⁵⁷, 14¹⁶, 18⁴⁹, 23⁰¹, a z Malborka do Dzierzgonia - 4⁴², 8¹², 16⁴⁰, 20⁴⁰ (jedna para do Morąga). Rozkład taki z pewnymi drobnymi przesunięciami funkcjonował praktycznie przez cały okres powojenny. W latach 70-tych powstał przystanek osobowy w Moranach i wymieniono tory, zastępując jednocześnie podkłady drewniane podkładami strunobetonowymi.

Ostatni rozkład jazdy pociągów (tuż przed zamknięciem linii) wisi jeszcze do dzisiaj na dawnych budynkach stacyjnych w Tropach Iglach oraz w Budwitach. Obrazuje on ostatnie „tchnienie”, a zarazem końcówkę istnienia tej linii. Rozkład ten był bardzo skromny i ukazuje tylko dwie pary pociągów z tym, że jedna para kursowała tylko od poniedziałku do soboty. Ostatnie pociągi z Dzierzgonia do Malborka wyjeżdżały o godz. 6²⁰ i 19¹⁰ a przyjeżdżały z Malborka o godzinie 4²⁰ i 16¹⁰. Średnie prędkości pociągów na tej linii w różnych okresach historycznych wynosiły od 30 km/h do 45 km/h, uwarunkowane to było stanem technicznym linii.

Prawa ekonomiczne okazały się nieubłagane. Utrzymanie tej linii kolejowej nie przynosiło zysku, a wiązało się ze znacznymi kosztami. Dochód uzyskiwany z przewozów pokrywał jedynie 15-18 proc. kosztów związanych z utrzymaniem linii w związku z tym 1 października 1999 roku zaprzestano

przewozów pasażerskich na odcinku Malbork - Małdyty. 15 marca 2000 r. prezes Zarządu PKP wystąpił do ministra transportu i gospodarki morskiej z wnioskiem o całkowite zawieszenie przewozów między innymi na linii Małdyty – Malbork. We wniosku stwierdzono, że PKP liczy na pomoc i współpracę samorządów terytorialnych w zakresie rozwiązania tego problemu. W dniu 19 kwietnia 2000 roku poseł Joanna Sosnowska zgłosiła interpelację do ministra transportu i gospodarki morskiej w sprawie likwidacji niektórych linii kolejowych, w tym linii nr 222. 12 maja 2000 roku minister Tadeusz Syryjczyk odpowiedział na interpelację, w której to stwierdził między innymi, że PKP jest samodzielnym przedsiębiorstwem prowadzącym działalność na zasadach rynkowych, a zbyt niskie wpływy w stosunku do kosztów oraz dramatyczna sytuacja finansowa PKP powoduje, że PKP likwiduje nieefektywne obszary działalności.

O zgodę na likwidację między innymi linii kolejowej nr 222 zwrócił się do Urzędu Marszałkowskiego Województwa Pomorskiego Zakład Infrastruktury Kolejowej PKP S.A. w Gdańsku. Sejmik uchwałą z dnia 1.01.2002 roku zaopiniował wniosek negatywnie, stwierdzając między innymi, że zawieszenie przewozów nie stanowi wystarczającego uzasadnienia do fizycznej likwidacji linii. Wspomina się tam również o zastąpieniu pociągów autobusami szynowymi jako tańszymi w eksploatacji. W dniu 29 sierpnia 2002 roku PKP Oddział Regionalny w Gdańsku, wysłał wniosek do Rady Powiatu w Sztumie w sprawie likwidacji linii kolejowej nr 222 na odcinku Małdyty – Malbork, mającej zawieszony ruch, a w przypadku zainteresowania o przejęcie nieodpłatnie przedmiotowej linii. Rada Powiatu Sztumskiego w dniu 30 grudnia 2002 roku zaopiniowała negatywnie ten wniosek, uzasadniając swą decyzję między innymi tym, że istnienie linii posiada ważny aspekt społeczny. Nie wspomniano nic o możliwości przejęcia linii na własne utrzymanie.

Podsumowaniem tego niech będą dość refleksyjne, a zarazem krytyczne uwagi jakie przedstawił jeden z internautów w marcu 2004 roku. Napisał on między innymi: „Praktycznie od początku lat 90-tych (nasz kraj wszedł wówczas na świetlaną drogę przemian rynkowych w pogoni za dobrobytem) Polskie Koleje Państwowe realizują bardzo ważny, wręcz strategiczny cel – samolikwidację. Tory pozarastają zielskiem i drzewami, albo rozbierze je tubylcza ludność, budynki stacyjne, nastawnie i lokomotywownie o ile nie zostaną zdewastowane posłużą jako magazyny, hurtownie lub meliny, a Polska z gęstością linii kolejowych na jednostkę powierzchni upodobni się do Mongolii, Turkmenii lub Tadżykistanu – w niczym nie pomniejszając dorobku cywilizacyjnego tych krajów. Na kolejowej mapie Europy staniemy się dosłownie czarna plamą, a na drogi naszego kraju (o autostradach nie wspomnę) wyjedzie tysiące kolejnych TIR-ów”.

W 2006 roku ogłoszono przetarg na rozbiórkę torów. Pod palnik poszła linia Małdyty – Dzierzgoń – Malbork. Dokonałem szacunku zysków z owego przedsięwzięcia. Jeden metr bieżący torowiska (uwzględniając szyny, podkładki, wkrety, śruby, łapki, łubki itp.) ma masę 132,61 kg (bez podkładów). Nasza linia kolejowa miała około 56 km długości, co dało około 7426 ton złomu stalowego. W czasie rozbiórki za tonę takiego złomu płacono minimum 700 złotych, w związku z tym za złom uzyskano około 52 mln złotych. W naszych szacunkach nie uwzględniliśmy bocznicy, linii telefonicznych i innych metalowych elementów infrastruktury kolejowej. Koszt pozyskania złomu wynosił maksymalnie 10 proc. wartości. A więc zysk nie mały. Czy poratował on PKP?

Linii kolejowej już nie ma. Jakie są perspektywy? Jak donosił „Dziennik Bałtycki”, Gmina Dzierzgoń postanowiła, aby dawne torowisko zlikwidowanej linii kolejowej z Malborka do Małdyty wykorzystać jako szlak pieszo-rowerowy. Już trwa praca nad projektem i poszukiwanie pieniędzy pozabudżetowych na sfinansowanie przedsięwzięcia. Zostanie zagospodarowana trasa w granicach Gminy Dzierzgoń, to jest około 6 kilometrów. Kolej przekazała już teren Gminie Dzierzgoń. Pierwsi turyści pójdą lub pojadą nowym szlakiem już wiosną 2012 roku. Samorząd Dzierzgonia rozważa późniejsze przekształcenie szlaku w ścieżkę edukacyjną z tablicami informacyjnymi dotyczącymi pobliskich obiektów interesujących turystów.

Andrzej Czapliński

Rodowy kościół w Starym Mieście

Przejeżdżając przez gminę Stary Dziergoń warto zatrzymać się w Starym Mieście i obejrzeć kościół pod wezwaniem św. Piotra i Pawła.

Stare Miasto (Altsadt) to... wieś. Przywilej lokacyjny wydał dla niej w 1312 roku Günter von Arnstein, komtur Dzierzgonia. Z tą datą można zatem wiązać budowę kościoła, a osada o nazwie Rerdiz prawdopodobnie zmieniła się wtedy w Altstadt.



Kościół w Starym Mieście, widok obecny,
fot. A. Czapliński

Dane dotyczące najdawniejszej historii kościoła podaje, m.in. sprawozdanie Wünscha, który osadza najstarszy, staromiejski kościół, opisując go jako „drewniany, wystawiony około 1249 roku”. Miał on powstać przypuszczalnie w konsekwencji pokoju dzierzgońskiego z 1249 roku, po wojnie prusko - krzyżackiej. W każdym bądź razie, zarówno wspomniany Wunsch jak i Walter Hubatsch określają go jako kościół krzyżacki, a więc katolicki. Obaj badacze uważają, że pierwotnie był on drewniany, ale przynajmniej podmurówkę wykonano z cegieł i kamienia.

Jest rzeczą pewną, że pierwszy kościół wzniesiono z kamienia polnego i cegły, gdyż przemawiają za tym zachowane fragmenty tejże budowli po stronie północnej i wschodniej. Cegły tam wmurowane są większe niż te, takich używali Krzyżacy w swych budowlach.

W przywileju lokacyjnym wsi mowa jest też o tym, że „proboszcz otrzymał osiem włók ziemi — ... derselben vryen hubin hat der pfarrer achte und der schulthis vyre...” — a to wskazuje na istnienie już wtedy kościoła parafialnego lub jego budowę w najbliższym czasie (na pewno można przyjąć ten czas jako „*términus post quem*”). Kościół został zbudowany z cegły i kamienia polnego w północnej części wsi i otrzymał drewnianą wieżę. Świątynia była z trzech stron otoczona rzeką Dziergoń. Dziesięcina proboszcza została powiększona przez dochody z kolejnych 10 włók, które 13 lipca 1353 r. otrzymał koło Starego Miasta Hannos Schreiber z Kraszewa (parafia Stare Pole). Do parafii staromiejskiej należał też Przezmark, o czym świadczy fakt, że sołtys tej wsi otrzymał w 1404 r. dwie włóki proboszczowskie (staromiejskie), leżące przy granicy wsi Prakwice. Jednakże już w 1437 r. informowano, że proboszcz posiadał ponownie osiem włók kościelnych, a przed 1530 r. znów należało do niego tylko sześć włók.



Malowidła na ławkach w kościele w Starym mieście, fot. A. Czapliński

Większe wzmianki o kościele pojawiają się w zapiskach z lat 1636 - 1663, kiedy było już po reformacji i kościół stał się luterańskim. Parafia miała obsadzony urząd proboszczowski w pierwszej połowie XVI wieku. Już w 1546 r. urzędował tutaj proboszcz Mateusz (Matthias) Lange. Jeszcze w czasie wizytacji w 1543 r. tutejszy proboszcz posiadał osiem włók, ale potem przejął je kościół w Dzierzgoniu, a parafia straciła samodzielność. Była obsługiwana

przez ewangelickiego proboszcza ze Starego Dzierzgonia. W tych latach kościół był kompletną ruiną. Parafia należała do protestanckiej diecezji morąskiej. W 1624 r. starosta sztumski Fabian Czema (zm. 1636 r.) przekazał drewno na odbudowę kościoła, szkoły i plebanii w Starym Mieście. Dobra parafialne bowiem należały w owym czasie do rodu von Czema, zaś patronat nad kościołem sprawował władca panujący (Landesherr), czyli początkowo książę pruski i elektor brandenburski - Jerzy Wilhelm Hohenzollern (zm. 1639 r.), zaś po nim Fryderyk Wilhelm, zwany Wielkim Elektorem. Ród Czemów nie miał prawa do kościoła, zaś elektor żadnego bezpośredniego interesu w jego odbudowie. Sytuacja ta sprzyjała więc upadkowi świątyni. W podobnym stanie znalazły się też inne kościoły mazurskie, gdzie wizytacje, przeprowadzone pod koniec XVI wieku, wykazały, iż jedynie 17 z 87 kościołów luterańskich było w dobrym stanie.

W styczniu 1546 r. pierwszym księdzem, po reformacji z 6 lipca 1525 roku ogłoszonej przez księcia Albrechta Hohenzollerna, był wspomniany już Mateusz (Matthias) Lange. Od 1580 roku, na jego miejsce wysłany został Jacob Sperbigius, w 1626 roku - Albert Aretius, którego zastąpił Georg Orschelski, sprawujący funkcję duszpasterza od 1646.

W 1663 r. nastąpiło przejście kompleksu dóbr, należących do Starego Miasta, przez Johanna Ernsta von Wallenrodta. Ten pruski wielmoża pełnił wówczas funkcję ochmistrza Prus Książęcych. Zwrócił się do elektora z prośbą o udzielenie mu patronatu nad miejscowym kościołem. W zamian zobowiązał się odnowić świątynię. Zachowana do dziś płyta marmurowa nad wejściem do zakrystii głosi troszeczkę coś innego. W tłumaczeniu z łaciny: „Obecny dziedzic, Johann Ernst von Wallenrodt, wielce czcigodny doradca wielkiego Fryderyka Wilhelma i jego najstarszego syna Fryderyka III, elektorów brandenburskich (...), tę poświęconą bogu świątynię, zniszczoną zmienną koleją losów, której terytorium wraz z przyległościami zostało nabyte wojennym męstwem Johanna Wallenrodta, jako grobowiec prochów

przodków Bogu Najlepszemu, Najwyższemu ku czci, z sercem pobożnym i wdzięcznym, pamiętając o dobrodziejstwach od niego otrzymanych, z własnej woli wznioł, poświęcił, ozdobił i wyposażył.”

Pewnym więc jest, że przebudowę tej świątyni, a właściwie budowę nowej z zachowaniem pozostałości poprzedniej, przeprowadzono dopiero w latach 1682 - 1688 z fundacji Johanna Ernsta von Wallenrodta, właściciela dóbr Prakwice i dobrodzieja kościoła.

Tablica wprawdzie potwierdza inicjatywę Johanna Ernsta von Wallenrodta dotyczącą odbudowy i wyposażenia świątyni oraz jej wcześniejszy nie najlepszy stan, lecz stanowi też ważną informację, że ród von Wallenrodt pojawił się w Starym Mieście już wcześniej jako właściciel ziemski. Własność tę miał otrzymać za zasługi wojenne Johann Wallenrodt - przodek Johanna Ernsta.

Historia rodu von Wallenrodt

Ten ród rycerski pochodził z Frankonii, ze Szwabach, na północ od Norimbergii. Wygasł w swej ojczyźnie już w 1767 roku. Kilku jego członków zyskało sobie silną pozycję w szeregach Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie, czyli tzw. Zakonu Krzyżackiego, piastując w nim wysokie urzędy. Najbardziej znanym członkiem rodziny był Konrad von Wallenrodt, który w początkach swej kariery pełnił funkcję szpitalnika w Ławie. W 1376 r. został komturem domowym Dzierzgonia, związanym blisko z ówczesnym Wielkim Szatnym - Konradem von Rotenstein, sprawującym urząd komtura w Dzierzgoniu. W konsekwencji kariery zakonnej, 12 marca 1391 r., kapituła generalna Zakonu obwołała Konrada von Wallenrodt Wielkim Mistrzem. Zmarł on w Malborku 25 lipca 1393 r.

Wallenrodtowie pruscy bardzo cenili sobie pochodzenie od tak znamienitego przodka. W swym wywodzie genealogicznym umieszczonym na wspomnianej, marmurowej tablicy nad wejściem do zakrystii kościoła w Starym Mieście, wymienia go jako swego przodka Johann Ernstat von Wallenrodt.

Kolejnymi znakomitymi członkami rodu byli: brat Konrada, Wielki Marszałek Zakonu Krzyżackiego, poległy pod Grunwaldem w 1410 roku, Fryderyk von Wallenrodt; kuzyn Konrada, Jan Wallenrodt był arcybiskupem Rygi. Warto jeszcze dodać, że sami Wallenrodtowie uważali za swojego protoplastę mitycznego Tiberiusa, ojca trzech braci, z których jeden - Mikołaj, był ojcem Konrada Wallenrodta noszącego także imię Tyberiusz. Uważali się za ród korzeniami sięgający XIII w p.n.e., czyli czasów Wojny Trojańskiej. Warto wspomnieć także Eberharda von Wallenrodt, słynącego z ogromnej siły. Ponoć osiem razy potykał się w zwycięskich turniejach rycerskich toczonych przed samym cesarzem Henrykiem IV (973/978-1024), mocując się nawet z lwem.



Odrestaurowane wnętrze kościoła,
fot. A. Czapliński

Paweł Pizuński jako protoplastę pruskiej gałęzi rodu podaje jednego z krewnych Konrada von Wallenrodta - Jana (Johanna). Imię jego prawdopodobnie wymieniono w podanym opisie z marmurowej tablicy w staromiejskim kościele. Przypisuje ona nadanie mu ziem w Prusach Wschodnich z tytułu zasług wojennych. Następni historycy potwierdzają ten fakt: Siebmacher, który umieszczał to w końcu XV wieku i Krollman, podający datę 1466 r.

Po osiedleniu w Prusach Wschodnich rodzina uzyskała od wielkiego mistrza zakonu Martina Truchsessa nadanie, zatwierdzone aktem z 11 września 1477 r., w którym bracia Hans i Siegmund von Wallenrodt nabywają posiadłość Prakwice

(niem. Prökelwitz) na zasadzie wymiany. Dotyczyła ona wcześniej nabytej miejscowości Winiec (niem. Winkelhagen). Wraz z nadaniem Prakwic bracia dodatkowo otrzymali jako posiadłości rycerskie wsie Królikowo (niem. Königsee) i Pacholy (niem. Pachollen).

Wiek XVII i XVIII to okres największej świetności rodu, podczas którego rosła ona w liczebność, pomnażając swój majątek i zajmując wysokie stanowiska urzędnicze związane z brandenburskimi Hohenzollernami.

Kościół w Starym Mieście odnowił i wyposażył Johann Ernst von Wallenrodt. Było to możliwe dzięki znacznej fortunie, jaką posiadała wówczas rodzina.

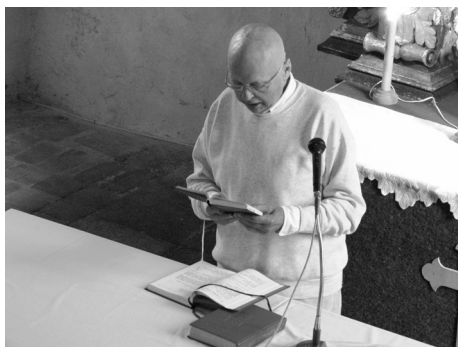
Johann Ernst von Wallenrodt urodził się 23 stycznia 1615 roku a zmarł 21 marca 1697 roku. W 1653 r. Johann Ernst zawarł związek małżeński z wdową po generale Goldsteinie, Marią von Lehwald, i miał z nią dwie córki, z których druga Maria Luiza była dwukrotnie zamężna (pierwsza córka zmarła), nota bene z dalekimi kuzynami Adamem, Sigmundem i Christohem Wallenrodtem. Z tych małżeństw miała Maria Luiza pięcioro dzieci, z których Adam Christoph (1680 - 1741), wstąpił w związek z Dorotheą Charlottą von Proeck. Nazwisko von Proeck wcześniej pojawia się przy historii Prakwic. Miał z nią wprawdzie jedenaścioro dzieci, ale powoli zaczynał się upadek rodu, który spowodował odsprzedaż w 1736 roku Prakwic i Starego Miasta rodowi von Dohna.

Do końca nie jest wyjaśnione, czy jacyś Wallenrodtowie byli pochowani w staromiejskim kościele. Inwentaryzacja przeprowadzona w 1954 r. przez prof. Tadeusza Chrzanowskiego, Mariana Kornackiego i Jana Samka podaje informację o kamiennej płycie w posadzce z kartuszem rodziny Wallenrodt i datą 1670 r. Chociaż inne źródła (Wünsch) podają datę 1626 r. Rozstrzygnięcie pochówku członków rodziny w krypcie pod tą płytą możliwe byłoby tylko po przeprowadzeniu odpowiednich badań archeologicznych. Nie można jednak wykluczyć funkcji nagrobnej płyty, gdyż jej umiejscowienie jest jak najbardziej stosowne do pochówków patronów kościołów. Wszak o tym mówi napis na płycie marmurowej nad wejściem do zakrystii. Ta druga płyta, która miałaby być płytą nagrobną, jest wpuszczona w posadzkę przed ołtarzem. Znajduje się ona tam do dziś, ale została przykryta przebudowanym dla potrzeb liturgii katolickiej ołtarzem tzw. soborowym.

Ród patronacki kościoła miał trudne zadanie przy odbudowie, biorąc pod uwagę stan techniczny świątyń. Z pierwotnego stanu zachowała się tylko ściana północna istniejąca do wysokości dachu, a ściany wschodnia i południowa do wysokości okien. Zostały one uzupełnione murem ceglanym. Od południa odbudowano kruchtę wejściową z lożą oraz wzniesiono wieżę zachodnią, która zastąpiła wieżę drewnianą. Na tej wieży zamontowano dzwon, ważący 150 kg - odrestaurowany przez Dietricha Herbsta z Elbląga. Powstał on w 1785 r. Drugi ważący 260 kg ufundował w 1887 r. burgrabia Richard Friedrich von Dohna. Oba dzwony zachowały się do dziś.

Kościół został odbudowany w latach 1682 - 1688. W latach 1696 - 1697 powstał drewniany, ozdobny strop ozdobiony przez malarza Gottfrieda Haarhausena.

Na 1690 - 1696 r. określa się powstanie konfesjonau i ołtarza wykonanych przez warsztat rzeźbiarski Johanna Christoha Döbla. Ozdobienie kazalnicy i ołtarza warstwą malarską nastąpiło w 1696 r. za sprawą Haarhausena. Ciekawe są losy ambony i ołtarza. W 1754 r. oba te elementy zostały połączone. Dokonali tego dwaj stolarze Hildebrandt i Hanff z Dzierzgonia za sumę dziewięciu talarów, przenosząc ambonę ze ściany północnej i wbudowując ją w ołtarz. W ten sposób powstał ołtarz ambonowy (Kanzelattar). W takiej formie przetrwał on 192 lata i dopiero w 1946 roku nastąpiło wyjęcie kosza z ołtarza i oddzielenie baldachimu.



Msza pastor Adrian Peter z Nowego Jorku - wnuk ostatniego pastora ewangelickiego w Starym Mieście, fot. A. Czapliński

Na okres wyposażania kościoła przez Johanna Ernsta von Wallenrodt przypada również fundacja stall i ław dla wiernych, dekoracja chóru muzycznego i łoży kolatorskiej. Ozdobienie ich płycinami z dekoracją malarską przypisuje się również Haarhausenowi. Twórca ten zostawił po sobie oprócz podpisu z datą na stropie, drewniany kartusz w bogatej ramie, z cytatem z Ewangelii św. Jana i monogramem GHH oraz datą 1696 r.

Ród zadbał też o całkowite uposażenie kościoła, obdarowując go naczyniami liturgicznymi. Maria Luiza, córka Johanna Ernsta, ufundowała w 1699 r. dwa kielichy - srebrny i pozłacany (niezachowane), dwa srebrne lichtarze, ośmioramienny świecznik oraz chrzcielnicę. Po zmarłym Johannie Ernście patronat przejął ochmistrz krajowy (Landhofmeister) Christoph von Wallenrodt - zięć zmarłego. Wyposażenie kościoła uzupełnił w późniejszym czasie (1746 r.) nowy pastor Christoph Maack. W latach 1905 - 1939 systematycznie przeprowadzano inwentaryzację świątyni, stąd mamy tak wiele informacji o nim.

W rękach rodu Dohnów

W 1736 roku Prakwice i Stare Miasto nabył bogaty ród von Dohna ze Słobit. Liczba członków gminy luterańskiej zaczyna szybko wzrastać, stąd konieczność powiększenia zboru. Uczyniono to przez wbudowanie trzeciej empory. Empora to chór muzyczny - element architektoniczny występujący najczęściej w kościele w postaci odrębnej kondygnacji o charakterze antresoli, usytuowana nad kruchtą lub nadwieszona nad głównym wejściem do świątyni. Empora jest galerią wspartą na kolumnach lub filarach, otwartą do wnętrza kościoła. Umieszczona nad nawami bocznymi tworzy najczęściej osobne pomieszczenie dla kobiet lub zakonników. Umieszczona nad kruchtą lub pomiędzy nawą a prezbiterium - przeznaczona na ogół dla śpiewaków i instrumentów muzycznych - najczęściej są to organy. Empora może okalać też cały kościół.

Ponieważ muzyka odgrywała w kościele augsburskim bardzo ważną rolę w 1796 roku kościół w Starym Mieście wzbogacił się o organy ufundowane przez szlachecką rodzinę von Dohna - Slobbitten. W 1868 roku dodano do nich klawiaturę nożną. Szczególny rozkwit kościoła nastąpił w latach 1889 - 1926, kiedy pastorem luterańskim w Starym Mieście był przewielebny Heinrich Rudolf Severin Holland. Pod jego kierownictwem parafia przeżyła burzliwe czasy początku XX wieku i I Wojny Światowej. Organy i muzyka sakralna stanowiły istotny element liturgii i sława tej muzyki rozchodziła się poza granice małej parafii.

Dohnowie cały czas sprawują patronat nad kościołem. Jest on dla nich i dla mieszkańców ich dóbr: Prakwic, Adamowa, Królikowa, Glanden, Pachol, Mokajm, Wóki Prakwickiej i Starego Miasta kościołem parafialnym. Zachowały się dokumenty w postaci pism do właścicieli Prakwic o dwusetnej rocznicy patronatu, pracach konserwatorskich, itp.

W dobrym stanie, do czasu...

Po II wojnie światowej kościół był nadal w rękach protestanckich i nadal był w dobrym stanie. Mówi o tym dokument z inwentaryzacji obiektu przeprowadzonej przez wybitnych polskich historyków sztuki, profesorów: Tadeusza Chrzanowskiego, Jana Samka i Mariana Korneckiego. W 1954 roku przygotowywali, w tej jeszcze protestanckiej świątyni, katalog jej zabytków jak i cały katalog zabytków ówczesnego powiatu morąskiego. Zacytujmy więc obszernie fragmenty tego opisu: „Kościół zastaliśmy w stanie dobrym, po przeprowadzonych tuż przed drugą wojną światową, pracach konserwatorskich.(...) Jest to budowla salowa z wieżą zachodnią, wzniesiona z kamieni polnych i cegły; pozostały z niej do dziś (tzn. do 1954 r.) wschodnia elewacja mniej więcej do wysokości gzymsu koronacyjnego oraz ściany boczne do wysokości ław okiennych. Przebudowę tej świątyni, a właściwie budowę nowej z zachowaniem pozostałości poprzedniej, przeprowadzono w latach 1682-1688 z fundacji Johanna Ernsta von Wallenroda, właściciela dóbr Prawice i dobrodzieja kościoła. Powstał wówczas kościół salowy, zapewne nieco większy od pierwotnego, z oknami i wejściami zamkniętymi łukami spłaszczonymi i z dwiema przybudówkami po bokach: północną, mieszczącą zakrystię, i południową – z kruchtą i na pięterku lożą kolatorską. Od zachodu znajduje się wieża ukończona w 1684 roku (pierwotna była zapewne drewniana). O ile sam kościół wraz z przybudówkami jest otynkowany, o tyle wieżę pozostawiono w surowej cegle: ma ona trzy kondygnacje ożywione blendami i oknami o łukach półkolistych. Wieża jest w konstrukcji i artykulacji jednym z nielicznych na tym obszarze przykładów pielęgnowania tradycji średniowiecznych. Kościół ma skromny wygląd zewnętrzny, ale za to niezbyt obszerne lecz barwne i ozdobne wnętrze. Jak przystało na kościół protestancki, wnętrze jest bogate nie liczebnością sprzętów, lecz ich ozdobnością, a przede wszystkim wypełniony przepięknymi malowidłami”.

Oto dokładny zapis inwentaryzacyjny prof. T. Chrzanowskiego: „Ołtarz główny, przypisywany wykonawstwu Jana Christiana Döbela z początku XVIII w., ażurowy z rzeźbami św. Piotra i anioła oraz w zwieńczeniu Trójcy Świętej, św. Mateusza i Jakuba ST., ponadto postaci alegoryczne Wiary i Sprawiedliwości. Pośrodku ołtarza rzeźba Chrystusa na krzyżu, barokowa, przeniesiona z kościoła w Dzierżgoniu. Ambona z około 1690 roku., podtrzymywana przez rzeźbę anioła, z płaskorzeźbami Boga Ojca, ewangelistów i apostołów, polichromowana przez Gotfryda Haarhausena w 1696 r.

Konfesjonał rzeźbiony z baldachimem z końca XVII wieku. Chrzcielnica w formie stolika, fundowana w 1746 r. przez pastora G. Maacka. Na chórze muzycznym prospekt barokowy, późnobarokowy z 1796 r., sam instrument (organy) odnawiany i przekształcony w 1862 roku. Zapis wymienia jeszcze kilka drobnych sprzętów oraz płytę fundacyjną na ścianie i grobową Wallenrodów w posadzce. Największą jednak ozdobą kościoła były malowidła wykonane przez Gotfryda Haarhausena, malarza królewieckiego, który dumnie podpisywał jako książy malarz dworski i myśliwski (Hof-und Jagdmaler). Strop w kościele był płaski, a całe wnętrza pokrywały bogate malowidła”.

Z opisu jednoznacznie wynika, że von Dohnowie pozostawili po sobie kościół w bardzo dobrym stanie. Stan ten trwał do początku lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy to ostatni pastor protestancki opuścił parafię. Okres braku właściciela świątyni trwał do początku lat osiemdziesiątych i przyczynił się do kompletnej ruiny kościoła. Mieszkańcy Starego Miasta dewastację przypisują protestantom, którzy ponoć mieli ogołocić kościół. Myślę jednak, że do dewastacji przyczynili się też oni sami. Znam bowiem opowieści rdzennych mieszkańców Starego Miasta, że jako dzieci, przez wybite szyby zakradali się do wnętrza opuszczonej świątyni i bawili się tam, a właściwie, jak to dzieci, szaleli w niej.

W latach osiemdziesiątych nastąpił powrót kościoła pod zarząd katolicki. Parafia rzymsko-katolicka pw. Trójcy Przenajświętszej w Dzierzgoniu nabyła na własność kościół w Starym Mieście. Nastąpiło to 30 grudnia 1981 r. Od parafii ewangelicko-augsburskiej odkupiono kościół za kwotę 2,5 miliona złotych. Dokonał tego ks. biskup Julian Wojtkowski z Diecezji Warmińskiej, który wypłacił podaną sumę parafii augsbursko - ewangelickiej, reprezentowanej przez pastorów: Jerzego Rothera i Tadeusza Wegenera. Stosowny akt notarialny podpisano w Warszawie. Od tej pory świątynia jest filią kościoła parafialnego w Dzierzgoniu, którym kieruje ks. dziekan Jan Czajkowski.

Ks. Jan Czajkowski podjął się bardzo trudnego zadania jakim jest przywrócenie dawnego blasku kościołowi. Stan jaki zastał obrazuje przeprowadzona w 1994 roku wizja lokalna, kierowana przez M. Gawryluk. Stwierdziła ona, że „kościół popadł w latach powojennych w zaniedbanie, a sprzęty zostały częściowo zniszczone: brak figury św. Pawła i dziesięciu innych figur w ołtarzu głównym, konfesjonał zdewastowany, organy pozbawione werku i piszczałek. Powstały nieuniknione też w tych przypadkach uszkodzenia i wykruszenia polichromii stropu”. Chciałoby się rzec „O bracia katolicy, cóżście uczynili!”

Dzięki staraniom ks. prałata Jana Czajkowskiego figury jednak powróciły. Były one zdeponowane w Warmińskim Muzeum w Olsztynie. Pozostałe uszkodzenia, zwłaszcza stropu, wymagały kosztownych i długich prac konserwatorskich. Kilka lat trwała renowacja polichromii stropu. Każdą de-

skę demontowano i wywożono do pracowni konserwatorskich w Gdańsku i Warszawie. Dzisiaj strop jest już odrestaurowany i nadal stanowi ozdobę kościoła w Starym Mieście.

Przeprowadzono remonty dachu (nowe pokrycie), wieży kościelnej i remonty wewnątrz. Remonty utrudniają potrzeby pozwoleń na ich wykonanie od konserwatora zabytków. Ale to może i dobrze, przynajmniej zachowuje się pierwotny wygląd kościoła. Niestety, nikt nie wróci rozkradzionych bądź zniszczonych płycin z malarstwem Haarhausena. Pozostały tylko nieliczne.

Wnuk pastora Hollanda

Zupełnie niespodziewanie, w 2008-2009 r., pojawiła się możliwość rekonstrukcji zniszczonych organów. Do ks. Jana Czajkowskiego zwrócił się w tej sprawie mieszkający w Nowym Jorku wnuk pastora Hollanda.

Peter Adrian, tak nazywa się wnuk sławnego pastora, jest także organistą i jako trzynastoletni podówczas chłopiec grał z dziadkiem na organach w kościele w Starym Mieście. Założył on fundację imienia swojego dziadka, która postawiła sobie za cel odnowienie staromiejskich organ. Do współpracy zaprosił fundatorów, wśród których znaleźli się potomkowie von Dohnów, byli mieszkańcy Prakwic i Starego Miasta. Znalazł się wśród nich Joachim Prinz, syn ostatniego zarządcy majątku w Prakwicach. W ten sposób w 2009 r. specjalistyczna firma „ORGELBAU”, Rainera Woltera z Drezna rozpoczęła remont instrumentu. Mieszkańcy Starego Miasta przyjęli na siebie obowiązek zakwaterowania i wyżywienia pracowników firmy. Uroczysta msza święta połączona z poświęceniem organów i koncertem, odbyła się w 2009 r. Przybyli na nią fundatorzy, wśród których byli potomkowie von Dohnów, wierni, duchowieństwo i zaproszeni goście. Kościół więc nadal czyni swą posługę.

W 2010 r. fundatorzy w osobach Adriana Petera i Joachima Prinza znowu pojawili się w Starym Mieście. Chcą co roku tutaj przybywać i uczestniczyć w ekumenicznej mszy św. upamiętniającej odbudowę organów i przekazanie ich w użytkowanie. Oby im zdrowia i sił starczyło, bowiem obaj są panami około osiemdziesiątki. Tak jak w 2009 r. tak i teraz obecny był także Rainer Walter z żoną Andreą i córką Johanną, Walter Hörner z Aachen oraz biskup Józef Wysocki. Rainer Walter odremontował organy, a teraz przybył, żeby je ponownie nastroić. Tak się podobno czyni z instrumentem, rok po jego remoncie.

Dla Joachima Prinza wizyty mają jeszcze inny wymiar. Koło kościoła pochowana jest jego siostra Rosemarie Prinz i w tym miejscu postawił krzyż. Składał tam podczas wizyt kwiaty. Niestety, pomimo zapewnień dalszych wizyt Joachim Prinz od 2010 roku nie odezwał się do dnia dzisiejszego. W 2011 r. był poważnie chory i biorąc pod uwagę jego podeszły wiek można obawiać się najgorszego. Szkoda, bo był kopalnią wiedzy o tych ziemiach.



Odbudowane organy w kościele w starym mieście, fot. A. Czapliński

kich sztuczności, jarmarczności, marmurów i złocen tak powszechnych w innych kościołach. Pięknie ozdabia ją odnowiony sufit, muzyką wypełniają „nowe” organy. Reszta, w miarę możliwości, niech pozostanie taka sama. Oddaje bowiem burzliwą historię kościoła w Starym Mieście. Naprawdę warto go odwiedzić, zasiąść w ławkach pamiętających von Wallenrodtów, von Dohnów, pastora Maacka i pastora Hollanda. Przy odrobienie szczęścia można posłuchać organów.

Rembrandt w Starym Mieście?

Warto jeszcze zacytować pogłoskę, na którą natknąłem się w Internecie - w świątyni był obraz autorstwa samego Rembrandta. Autor o nicku „Ewingi” pisze na portalu Marienburg.pl tak: „Rembrandt w Starym Mieście?” - Chciałbym ustosunkować się do informacji od dłuższego czasu już goszczącej na portalu Starego Dzierzgonia, a dot. kościoła pod wezwaniem św. Piotra i Pawła w Starym Mieście. (...). Podobno w Starym Mieście znajdował się nawet obraz Rembrandta wywieziony do Niemiec po 1945 roku przez ostatniego pastora. Na temat Rembrandta nie ma żadnych wiadomości w regionalnych wydawnictwach niemieckich. Nie chce się wierzyć, gdyby to było prawdą, aby fakt ten był utrzymywany w tajemnicy przez byłych niemieckich mieszkańców Altstadt. Niemniej, faktycznie mógł w tym kościele wisieć XVII wieczny obraz, sygnowany inicjałami Rembrandta. Mianowicie kilkanaście dni temu (16.11.2008) na portalu <http://wiadomosci.gazeta.pl/> ukazała się takowa notka: Muzealnicy się rozczarowali: żaden ich „Rembrandt” nie jest prawdziwy. Eksperci ostatecznie potwierdzili obawy Muzeum Państwowego w Schwerinie w Meklemburgii - w tamtejszej Kolekcji Holenderskiej nie ma ani jednego prawdziwego obrazu pędzla Rembrandta. Do takich wniosków doszło siedmiu historyków sztuki i konserwatorów z Holandii, Niemiec i USA, którzy obradowali w Schwerinie podczas weekendu. Żaden z ośmiu „Rembrandtów” z Kolekcji Holenderskiej nie okazał się oryginałem. W przypadku jednego obrazu - portretu starego człowieka

- udało się ustalić autora. Był nim współczesny Rembrandtowi Jan Lievens (1607-1674), natomiast umieszczony na obrazie monogram Rembrandta - RHL - jest oczywistym fałszerstwem. Obrazy, których autentyczność zakwestionowali eksperci, książęta meklemburscy kupowali w XVIII wieku w najlepszej wierze jako dzieła słynnego Rembrandta Harmensza van Rijna. Można zatem wnioskować, że informacja z portalu Stary Dzierzgoń może odpowiadać prawdzie, aczkolwiek z powodu niepewności co do autentyczności nie znalazł ten fakt odzwierciedlenie w literaturze przedmiotu i nie przedostał się do szerszej wiadomości. Rodzina Wallenrodów mogła zakupić obraz z inicjałami Rembrandta dla patronowanej przez siebie świątyni, nawet zdając sobie sprawę, że jest to fałsyfikat. Dawniej, zapewne, nie przyszło nikomu też do głowy, aby roztrząsać autorstwo niewielkiego jak można sądzić obrazu, wiszącego na ścianie kościółka wiejskiego.” Z pewnością byłoby ciekawiej, gdyby się okazało, że obraz Rembrandta (lub choćby jego kopia) jednak znajdował się w kościele w Starym Mieście. Szans na to raczej nie ma...

Leszek Sarnowski

Żelazny wizjoner i filantrop Ferdynand Schichau



F. Schichau.
DER BEGRÜNDER DER SCHICHAU-WERKE
geb. den 30. Januar 1814, gest. den 23. Januar 1896

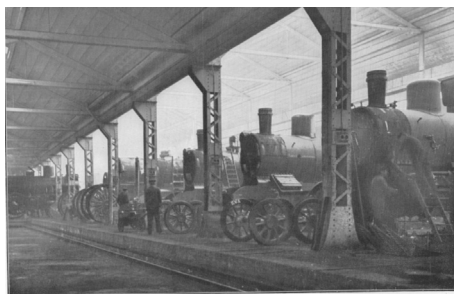
Portret F. Schichaua, fot. archiwum Muzeum Archeologiczno-Historycznego w Elblągu

„ (...) wyobraziłem sobie Schichaua, jak siedzi w swoim gabinecie, gruby, tłusty, zlany potem, pali cygaro, a za oknem, Jańskową Doliną, bo tak się ta ulica domów z wieżyczkami niewinnie nazywa - za oknem więc maszerują nasi ojcowie i śpiewają: „Gdy naród do boju wyruszył z orężem”, pan Schichau zaś podnosi palcami grubymi jak serdelki słuchawkę złotego telefonu i wzywa policję, bo on, pan Schichau, ma już dość wrzasków za oknem swojej wili i czas z tym zrobić porządek” Tak wyobrażali sobie Ferdynanda Schichaua bohaterowie powieści Pawła Huelle „Weiser Dawidek”. Licentia poetica. Dla autora była to gra ironią i absurdem, bo nie można go posądzić o antykapitalistyczne poglądy, a tym bardziej populistyczno-socjalne inklinacje. W kontekście powieści chodziło raczej o pokazanie ab-

surdów powojennej rzeczywistości, w której wszystko co obce było wrogie, a najbardziej kapitalizm i kapitaliści, bo tak nauczano w szkołach i tak wyobrażały sobie lub miały sobie wyobrażać fabrykantów, a w dodatku Niemców, dzieci. W siermiężnym socjalizmie kapitalista musiał być wielki, gruby, zły i najlepiej z cygarem w zębach lub w tłustych paluchach.

Rzeczywistość, szczególnie ta przedwojenna, bywała jednak inna. A już na pewno w przypadku Schichaua. Na zachowanych portretach Ferdynand Schichau ma raczej dość kościste dłonie, a w dodatku zasłonięte, jakby wstydliwie je skrywał. Może to sugerować, że w jego przekonaniu nie nadawały się do portretowania, bo miały na przykład zabrudzone paznokcie, co sugerować mogło raczej zapracowanie, a nie lekkie, łatwe i przyjemne życie. I to już jest bliższe prawdy.

Dla mnie Schichau od dziecka kojarzył się z kanalizacją. Studzienki kanalizacyjne z tajemniczo brzmiącym napisem – „Schichau Elbing” były wszędzie na Pomorzu, a nawet na Kujawach gdzie mieszkałem, i nie trzeba było wiedzieć o nim nic więcej, by stwierdzić że musiał to być jak wtedy mawialiśmy „prawdziwy gość”, skoro go tak pełno dookoła. Nikogo te przemysłowe detale specjalnie nie interesowały, bo nawet złomiarze od nich stronili, bo za ciężkie i w zbyt widocznych miejscach zlokalizowane. Dekle studzienek zatem przetrwały. Pamięć o ich twórcy już mniej.



Montage der Lokomotiv-Fabrik von F. Schichau, Elbing.

Fabryka lokomotyw Schichaua w Elblągu,
fot. archiwum Muzeum Archeologiczno-Historycznego w Elblągu

Ferdynand ambitny

Ferdinand Gottlob Schichau urodził się 30 stycznia 1814 roku w Elblągu. Rodzina zajmowała się rolnictwem. Dopiero ojciec Ferdynanda wybrał inną drogę. Karol Jakob Schichau, był Holendrem osiadłym najpierw na Żuławach, a później w Elblągu. Zaczynał jako kowal, potem ślusarz, a skończył jako mistrz wytopu miedzi.

Droga życiowa Ferdynanda, a szczególnie biznesowa, jak dziś byśmy powiedzieli, to spełnienie iście amerykańskich marzeń, snu o potędze i kariery zawrotnej od pucybuta, w tym przypadku kowala, do milionera. Może trochę szczęście, ale przede wszystkim ciężka praca, spryt i konsekwencja zdecydowały o losie i potędze nieśmiałego i niepozornego chłopca z Prus Wschodnich, a z pewnością nie pulchne palce o których mówią bohaterowie Weisera Dawidka.

Jako 15-letni chłopiec Ferdynand rozpoczął pracę u ślusarza, gdzie zdobył papiery czeladnika, ucząc się jednocześnie w szkole związku przemysłowego. W wieku 17-stu lat zaprezentował w Elbląskim Towarzystwie Przemysłowym własnoręcznie zaprojektowany model maszyny parowej. W nagrodę otrzymał od starosty stypendium na studia w Królewskim Instytucie Przemysłu w Berlinie. Studiował tam w latach 1832 - 1835. Zdobył pierwszą nagrodę za konstrukcję maszyny parowej. Po studiach udał się na dwuletnią praktykę do Nadrenii, Westfalii i Anglii. Takie były wówczas zwyczaje, że praktykowano u najlepszych.

W 1837 roku Ferdynand powrócił do Elbląga i za 1328 talarów pożyczonych od ojca kupił parcelę przy ulicy Wałowej i założył Zakład Budowy Maszyn. 4 października 1837 roku w „Elbinger Anzeigen” ukazało się ogłoszenie, że: „Zakład budowy maszyn. Niżej podpisany wytwarza maszyny parowe,



Maschinen-Montagehalle von F. Schichau, Elbląg

Hala w fabryce Schichaua w Elblągu,
fot. archiwum Archeologiczno-Historyczne-
go w Elblągu

tak maszyny Watta, jak też maszyny kondensacyjne z ekspansją oraz maszyny wysokociśnieniowe, żelazne koła wodne każdego rodzaju, kieraty konne, prasy hydrauliczne, walcarki, aparaty do odparowania cukru w pomieszczeniach o rozrzedzonym powietrzu itp. Także przyjmuje on urządzenia całych zakładów, jak - olejarnie, tartaki, fabryki cukru buraczanego”.

Schichau nie wiedział jeszcze dokładnie czym będzie się zajmować, ale chciał działać na własną odpowiedzialność i ryzyko.

W tym samym czasie rozpoczęto prace koncepcyjne nad budową kanału elbląsko-ostródzkiego. Karol Darwin zaczynał budować swoją teorię ewolucji, a Samuel Morse konstruował telegraf elektromagnetyczny i opracował specjalny do niego alfabet. W Elblągu powstało gimnazjum męskie Henryk Plauen Schule przy ulicy Wodnej i wybito pamiątkową monetę z okazji 600-lecia miasta. Królestwo Polskie pogrążało się w mroku represji po powstaniu listopadowym, trwał stan wojenny, a wielu uczestników powstania trafiało na emigrację. Za kilka lat na Dzikim Zachodzie miała się zacząć słynna gorączka złota, która ożywiła wtedy umysły wielu Europejczyków. Schichau nie myślał jednak o tym, a tym bardziej o poszukiwaniu złota, choć złotem okazać się miały jego własne pomysły, które mógł realizować, spełniać marzenia i jednocześnie zarabiać pieniądze. Miał techniczny umysł, myślał o konkretach i uważnie obserwował lokalny i krajowy rynek.

Rok 1841 był decydujący dla rozwoju firmy Schichaua, która do tej pory zajmowała się głównie drobnymi remontami. W 1841 r. elbląska stocznia Mitzlaffa zleciła mu wykonanie maszyny parowej do pierwszej w Prusach mechanicznej pogłębiarki. Była potrzeba, bo rzeka Elbląg i Zalew Wiślany wymagały utrzymania toru wodnego, który był systematycznie zapiaszczany przez Nogat. Poza tym statki były coraz większe, głębiej zanurzone i ręczne czy konne bagrowanie, czyli pogłębianie rzeki, nie wystarczało. Dlatego kupcy elbląscy zrzeszeni w korporacji zdecydowali się na zbudowanie parowej pogłębiarki. Zbudował ją Schichau i pływała przez 45 lat na rzece Elbląg i zalewie. To był dobry początek biznesu, który miał także, jak się okazało później, odcisnąć również piętno na zleceniodawcach i konkurentach. Schichau marketing miał w głowie bez żadnych specjalistycznych szkół.

W latach 1841 - 46 Schichau zbudował łącznie 19 maszyn parowych głównie dla przemysłu spożywczego, bo takie były potrzeby dla rozwijającego się rolnictwa pruskiego. Żuławy były dobrym rynkiem zbytu. Odwadnianie wiatrakami stawało się powoli przeżytkiem, bo zależne od wiatru, za

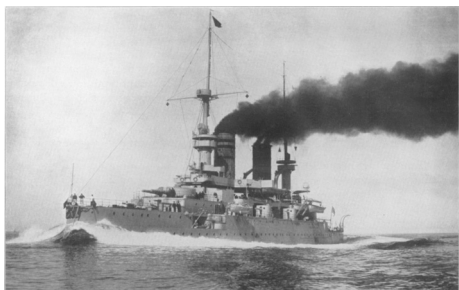
drogie i zbyt czasochłonne, co powodowało straty w rolnictwie. I tu ponowne wycucie rynku i koniunktury przez Schichaua. Już w 1845 roku dostarcza pierwsze koło czepakowe z maszyną parową dla gminy Wikrowo, które miało zastąpić wiatraki. Podobne maszyny zaczął budować dla gorzelni, młynów i cukrowni. Maszyny parowe dawały szansę na rozwój rolnictwa i przemysłu. W latach 1841 - 43 Schichau zbudował dwie kolejne odlewnie i kuźnię żelaza. W 1837 roku kiedy zaczynał zatrudniał 8 pracowników, a 5 lat później pracowało dla niego osiemdziesiąt osób.

W 1847 r. Schichau na zamówienie elbląskiego Towarzystwa Żeglugi Parowej zbudował pierwszą okrętową maszynę parową o mocy 42 KM. Zamontowano ją na statku „James Watt”, którego drewniany kadłub zbudowała stocznia Mitzlaffa. Pływał on później w regularne rejsy do Königsberga (Kalinina). Był to pierwszy parowiec zbudowany całkowicie w Niemczech. Wcześniej gotowe jednostki lub maszyny parowe sprowadzano z Anglii, a miejscowi robili jedynie kadłuby. Chodziło o przełamanie nieufności do lokalnego przemysłu, że potrafi produkować również statki. Podołał temu właśnie Schichau. I to był początek jego ekspansji i kolejny przykład wyczuwania rynkowych trendów. Pięć lat później Schichau był już właścicielem stoczni Mitzlaffa.

Dla Elbląg Schichau stał się złotym rogiem obfitości. Dawał coraz większe zatrudnienie ludziom, a i do kasy wpływało coraz więcej podatków. Schichau nie miał w tym czasie jednak wielkiego wsparcia ze strony władz miejskich, a tym bardziej rządu pruskiego. Dla rządu priorytetem był w tym regionie rozwój rolnictwa, więc młody przedsiębiorca nie mógł raczej liczyć na rządowe gwarancje czy kredyty, a bardziej na swoją przedsiębiorczość, pomysłowość i zaradność. Te cechy posiadał Schichau w nadmiarze i można powiedzieć, że nawet wbrew władzom lokalnym i krajowym stał się prekursorem rozwoju kapitalistycznego przemysłu maszynowo-metalowego w Prusach Wschodnich.

Ferdynand żelazny

Punktem zwrotnym dla fabryki Schichaua było podjęcie produkcji statków żelaznych. W 1854 roku Schichau nabył dodatkowy grunt w części dawnej fosy Dworu Popielnego, łączącej się z rzeką Elbłą i zbudował tam stocznię. Rok później zbudowano w niej pierwszy w Prusach statek żelazny z napędem śrubowym „Borussia”. Statek zbudowano z inicjatywy elbląskiego kupca Grunaua, a zamówienie sfinansowało kilku kupców, wśród nich również Schichau. Pod koniec 1855 r. „Borussia” odbyła swój pierwszy rejs do Londynu. W 1859 r. Schichau zbudował pierwsze kompletne maszyny parowe dla pruskiej marynarki wojennej (przeznaczone dla drewnianych kanonierek „Jäger” i „Crocodill” budowanych w stoczni Mitzlaffa). Pierwsze zamówienie na cały okręt wojenny wpłynęło dopiero w 1877 r.



Stataek Barbarossa zbudowany w stoczni Schichaua w Elblągu, fot. archiwum Muzeum Archeologiczno-Historycznego w Elblągu

Do 1872 roku wyprodukowano 50 takich statków, dla niemieckich i rosyjskich armatorów. Stało się to możliwe kiedy Schichauowi udało się rozbudować stocznię. W 1872 roku wykupił zbankrutowaną stocznię braci Mitzlaów położoną w sąsiedztwie, co pokazuje, że nie wszyscy potrafili wyczuwać koniunkturę, ale dzięki temu Schichau mógł przyjmować większe kontrakty od rozwijającej się pruskiej marynarki wojennej.

Kiedy zaczęto budowę kolei żelaznej łączącej Elbląg z Berlinem i Królewcem, Schichau widział w niej kolejną szansę na sukces. Już w 1852 roku uruchomiono linię Malbork – Braniewo. W 1857 oddano do użytku mosty przez Wisłę i Nogatem w Tczewie i Malborku. Tym samym Kolej Wschodnia z Berlina dotarła do granicy z Rosją. Schichau nie zasypywał gruszek w popiele, bo krótko po zakończeniu prac budowlanych na nowej linii kolejowej, miał już gotową pierwszą lokomotywę o nazwie „Fulda”. Powstała w kwietniu 1860 roku. W ciągu roku wyprodukowano 14 lokomotyw.

W 1866 - 67 przemysł przeżywał poważny kryzys. Odbiło się to także na fabrykach Schichaua. Zatrudnienie spadło w ciągu tego roku z trzech tysięcy do niemal 300 osób. W następnych latach wraz ze wzrostem zamówień kondycja firmy się poprawiła i w 1870 roku pracowało już pięćset osób. Schichau wyczuł ponownie koniunkturę i wiedział, że lokomotywy będą potrzebne, ale muszą być produkowane bliżej linii kolejowej. Wcześniej lokomotywy były transportowane na specjalnych platformach przez 12-konne wozy. Dlatego kupił w Elblągu w 1869 roku grunt tzw. Trettinkenhoff, w pobliżu dworca (dziś hale targowe Elzamu), gdzie powstała fabryka lokomotyw, która została uruchomiona w 1870 roku. Trzy lata później wyprodukowano już 33 lokomotywy. W ciągu pierwszych czterech lat wybudowano 100 lokomotyw i 500 maszyn parowych, a łącznie do 1945 roku z elbląskiej fabryki wyjechało w świat cztery tysiące lokomotyw.

Ferdynand wojenny

Kolejne lata ożywienia nastąpiły w latach 70-tych. Był to efekt zjednoczenia Niemiec, podjęcia przez państwo protekcjonistycznej polityki wobec przedsiębiorców, napływowi dodatkowych milionów z kontrybucji francuskiej, jak też działania silnego lobby wojskowego, które zachęcało do budowy silnej i nowoczesnej, a to znaczyło parowej marynarki wojennej. Silna flota wojenna potrzebna była, by spełnić marzenia cesarza Wilhelma II o panowaniu Niemiec na morzu.

Schichau znowu znalazł się na miejscu. W 1873 roku na stanowisku kierownika działu budowy maszyn rozpoczął pracę Carl H. Ziese (późniejszy zięć Ferdynanda). W 1876 r. zwodowano setny statek. Rok później na zamówienie Carskiej Marynarki Wojennej Rosji rozpoczęto budowę pierwszej łodzi torpedowej. W ciągu kilku lat stocznia elbląska stała się monopolistą w produkcji łodzi torpedowych wypierając inne stocznie niemieckie i angielskie, głównie dzięki Ziesemu, który statki projektował. Budowano też coraz większe statki pasażerskie i handlowe. Napływały zamówienia z całego świata: z Turcji, Austro-Węgier, Chin, Norwegii i Włoch, Brazylii, Japonii, Rosji, Rumunii i USA. W latach 1872 - 93 stocznia elbląska zbudowała 450 okrętów (150 towarowo-pasażerskich, 163 wojennych, 88 promów).

W Elblągu nie było jednak dość miejsca, by budować duże okręty wojenne, szczególnie oceaniczne o wyporności do 10 tys. BRT, a zamówień przybywało i dlatego Schichau zdecydował się na budowę nowej stoczni z bezpośrednim dostępem do morza. W 1890 kupił grunty w Gdańsku. Pierwszym zadaniem produkcyjnym nowej stoczni były prace wyposażeniowe na torpedowcu „Pelikan” dla marynarki austro-węgierskiej, którego kadłub został zbudowany w Elblągu. Natomiast pierwszą jednostką zbudowaną od podstaw w Gdańsku była korweta krążownicza „Gefion” dla marynarki niemieckiej, którą zwodowano w 1893. W 1898 cesarstwo niemieckie ogłosiło przetarg na budowę flory pełnomorskiej. Zamówienia trafiły do Schichau’a. W latach 1896 - 1904 kierownictwo marynarki słabo orientowało się w sprawach finansowych, dzięki czemu budowa okrętów wojennych była dla stoczni prywatnych bardzo zyskowna. Po 1904 r. marynarka wojenna stała się nieco ostrożniejsza w wydatkach. W tym czasie Schichau miał przewagę nad innymi dostawcami, gdyż dzięki najtańszej sile roboczej mógł oferować takie same okręty za nieco niższe ceny niż stocznie zachodnioniemieckie.

Od 1887 roku Schichau stał się właścicielem elbląskiej firmy żeglujowej, która zajmowała się dowozem surowców i materiałów drogą wodną. Jego drobnicowce kursowały na trasie Elbląg - Szczecin, a także do zagłębia Ruhry.

Ferdynad filantropijny

Schichau zaczął od warsztatu z kilkoma pracownikami, a pod koniec życia, z majątkiem wycenianym na ok. 29 milionów marek, należał do największych przemysłowców w Cesarstwie Niemieckim. Jego fabryka była największym prywatnym przedsiębiorstwem przemysłowym od Szczecina do Kłajpedy. W 1900 roku podatki spływające do kasy miejskiej od Schichaua stanowiły 30 % dochodów budżetu. W 1917 roku zatrudniał ponad 11 tysięcy osób. Działalność Schichaua ściągała do Elbląga także innych przedsiębiorców, którzy widzieli w tym interes, a tym sensie można powiedzieć, że tak

jak Amerykę traktowano jak złote Eldorado, tak dla wielu takim nie odkrytym Eldorado były dynamicznie się rozwijające, choć dotykane licznymi kryzysami kapitalistycznej gospodarki, Prusy Wschodnie.

Schichau zapewniał dobre warunki robotnikom. Prowadził działalność filantropijną - wniósł spory wkład finansowy w rozbudowę infrastruktury miejskiej Elbląga, szkół, sierocińców, założył też kasę ubogich. Był miłośnikiem i mecenasem teatru i muzyki. Należał do związku śpiewaczego, gimnastycznego i otrzymał tytuł honorowego obywatela Elbląga i Gdańska. Już w 1849 r. a więc w 12 lat od utworzenia firmy założył zakładową kasę chorych. Przynależność do niej była obowiązkowa, ale do każdej wpłaconej przez robotników do kasy marki Schichau dokładał jeszcze jedną - z własnej kieszeni. W 1837 roku w fabryce Schichaua pracowało 8 pracowników, a w 1899 roku już trzy tysiące, czyli niemal 40% spośród wszystkich elbląskich robotników. Na 6,5 tysiąca członków kas chorych w Elblągu w 1886 - prawie 30% stanowili pracownicy fabryk Schichaua.

Pracownicy firmy mieli do dyspozycji stołówki, zakładową służbę zdrowia. Schichau doceniał szkolenie zawodowe młodzieży, bo sam doświadczył, jak to ważne jeśli chce się coś osiągnąć. Rozwijając szkolnictwo spłacał tym samym dług wdzięczności rodzinnemu miastu, które przed laty finansowało jego naukę w berlińskiej Akademii Przemysłowej, a później staż w Anglii. Odwdzięczając się Elbląskiej Izbie Rzemieślniczej za pomoc i poparcie w uzyskaniu wykształcenia, ofiarował jej 10 tysięcy marek na budowę nowego gmachu Cechu. Sponsorował budowę szkół, sierocińców, infrastruktury miejskiej. W 1846 roku wykonał bezpłatnie żeliwne filary podtrzymujące balkony w oddanym właśnie do użytku Teatrze Miejskim. Na rozległym placu między fabryką lokomotyw a stacją kolejową (dziś jest tu dworzec PKS), urządził teren rekreacyjny z boiskiem piłkarskim i kortami tenisowym. Brał czynny udział w akcjach charytatywnych, świadczył duże sumy pieniężne na cele społeczne i kulturalne Elbląga.

Ferdinand Schichau zmarł w 1896 r. Został pochowany z wielkimi honorami na nie istniejącym już dziś cmentarzu (obecny park im. R. Traugutta). W cztery lata po jego śmierci, pracownicy jego zakładów ufundowali mu pomnik wykonany z brązu z napisem „Czcigodnemu Szefowi – urzędnicy i robotnicy”, który został odsłonięty 18.11.1900 roku w obecności około 6 tysięcy osób. Pomnik ten stał w parku nieopodal Bramy Targowej (teren obecnego boiska sportowego I liceum ogólnokształcącego), naprzeciwko willi Schichaua, która znajdowała się obok głównego wejścia do biurowca zakładów (obecny parking samochodowy). Pomnik ten zniknął z pejzażu miasta w lutym 1945 roku, zniszczony przez Rosjan.

W testamencie Schichau zastrzegł, aby po jego śmierci przez 10 lat przedsiębiorstwo nie ulegało żadnemu podziałowi. Jednym ze spadkobierców był jego zięć Carl Heinz Ziese (1848-1917), który od 1873 r. pracował w

elbląskiej stoczni jako inżynier, a w 1876 r. poślubił córkę Ferdinanda, Martę Elżbietę. Jako generalny dyrektor zakładów od 1889 r. kierował budową nowej stoczni w Gdańsku. W 1901 r. małżonkowie Ziese spłacili pozostałych spadkobierców i stali się jedynymi właścicielami firmy. Po nim w 1917 roku fabrykę przejął ożeniony z córką Ziesego - Carl Fridolf Carlson, który kierował firmą 7 lat. Kiedy zmarł, kierownictwo przejęła wdowa, wnuczka Schichau - Hildegarda Carlson. Nie udało jej się jednak postawić firmy na nogi. Po jej śmierci zarząd przeszedł w ręce kuratora i Zakłady Schichaua zostały w 1929 roku przejęte przez państwo niemieckie. W wyniku głębokiego ogólnoswiatowego kryzysu gospodarczego, byłe zakłady G. F. Schichaua zostały w tym samym roku przekształcone w spółkę akcyjną z o.o. pod zarządem Rzeszy Niemieckiej. Po okresie zastoju, po dojściu do władzy Hitlera, w latach 1933-1945 zakłady przeżywają okres wielkiej prosperity, produkując na potrzeby militarno-wojenne III Rzeszy, lokując koncern Schichaua na liście 100 największych zakładów produkcyjnych całych ówczesnych Niemiec. Elbląg wraz z całym jego potencjałem wytwórczym należało do pięćdziesięciu największych ośrodków przemysłowych Niemiec, drugim po Królewcu w Prusach Wschodnich. Wraz z poprawą kondycji finansowej firmy, od 1936 roku zaczęły powstawać w różnych częściach miasta domy mieszkalne tzw. „Osiedla Schichaua”, w których za niewielki czynsz mieszkali pracownicy zakładów, a które do dzisiaj istnieją m.in. przy ul. Freta, Kilińskiego, Narciarskiej, Okrze. W czasie II wojny światowej koncern Schichaua zatrudniał 44 tysiące pracowników: w Elblągu - 18 tys., w Królewcu - 14 tys., w Gdańsku - 12 tys., wśród których większość stanowili jeńcy wojenni i więźniowie obozu koncentracyjnego w Stutthofie.

Do 1945 roku imię Schichaua nosiła ulica w Elblągu, obecna Stoczniowa. Fabrykant był także patronem szkoły inżynierskiej (Ferdinand Schichau Ingenierschule), która mieściła się w budynku obecnej siedziby Policji przy ulicy Królewieckiej.

Ferdynand powojenny

Schichau po wojnie został w Polsce postacią zapomnianą, jako niemiec-ki, czyli wrogi i obcy przemysłowiec. Dopiero po 1989 roku zaczęto przypominać jego sylwetkę i jego wkład w rozwój Elbląga. Od 2000 roku Fundacja Elbląg organizuje konkurs na Filantropa Roku, w którym nagrodą jest statuetka, nie przypadkowo, nazwana imieniem Ferdynanda.

Mylą się zatem bohaterowie powieści Pawła Huelle pokazując Ferdynada Schichaua jako bezwzględego, tłustego fabrykanta. Był człowiekiem, który własną pracą, pomysłowością i przedsiębiorczością dorobił się ogromnego majątku i spełnił amerykański sen o potęgę, którego pewnie sam nie znał.

Na szczęście w Elblągu i wielu miastach Dolnego Powiśla i Żuław przetrwało jeszcze ślady gospodarczej aktywności Schichaua. W Elblągu nadal istnieje fabryka, dawny Zamech, dziś część międzynarodowego koncernu Alstom. Wielka szkoda, że z istniejących jeszcze w Europie, głównie w Niemczech, lokomotyw z dawnej fabryki Schichaua, żadna z nich nie stoi, na przykład jako pomnik, przed dworcem PKP w Elblągu. Dwie takie lokomotywy w Polsce znajdują się w Muzeum w Wolsztynie. Gdyby udało się choćby jedną taką lokomotywę zdobyć dla Elbląga, byłby to niezły produkt promocyjno-turystyczny.

Przetrwało jeszcze wiele studzienek kanalizacyjnych, o których w poprzednim numerze naszego kwartalnika pisał Paweł Głogowski. To chyba ostatni moment by je ratować, bo dzisiejsi złomiarze, bardziej zdeterminowani niż kiedyś, nie będą już tak powściągliwi przed ich demontażem. A niewątpliwie są to ostatnie pamiątki po wielkiej fortunie Ferdynanda Schichaua. Może w ramach przeprowadzanych rewitalizacji naszych miast, od Elbląga, Nowego Dworu Gdańskiego, przez Malbork, Sztum, po Kwidzyn można by w przestrzeni publicznej odnawianych najstarszych części miast i dla żeliwnych „Schichauów, Komnicków, Marienburgów, Königsbergów” znaleźć jakieś miejsce ekspozycji, a tym samym uratować fragment dziedzictwa przemysłowo-kulturowego.

Wojciech Zawadzki

Sztumski męczennik o. Gottfried Fuchs

Gottfried Fuchs urodził się 4 września 1892 roku w Leverkusen – Schlebusch (Bruchhausen) w Nadrenii, w rodzinie robotniczej Jakuba i Katarzyny z d. Eßer. Leverkusen – Schlebusch należało wówczas do diecezji kolońskiej i powiatu Opladen. Sakrament chrztu świętego otrzymał w kościele św. Andrzeja w Leverkusen – Schlebusch 11 września 1892 roku. Miał brata Jakuba. W latach 1899-1906 uczęszczał do szkoły elementarnej w Haan i Lützenkirchen koło Solingen. Do Pierwszej Komunii św. przystąpił 30 kwietnia 1905 roku w Lützenkirchen. Sakramentu bierzmowania udzielił mu biskup sufragan koloński w Schlebusch latem 1906 roku. Dnia 8 września 1906 roku został uczniem w gimnazjum prowadzonym przez Zgromadzenie Słowa Bożego (SVD) w Steyl w Holandii. Od 1 września 1911 roku kontynuował naukę w tamtejszym liceum. Nowicjat rozpoczął w domu zakonnym St. Gabriel koło Wiednia 5 września 1913 roku. Tam też złożył trzy czasowe śluby zakonne w dniach 5 grudnia 1914 roku, 25 września 1915 roku i 8 września 1916 roku, a także śluby wieczyste w dniu 28 lipca 1917 roku. W domu zakonnym St. Gabriel odbył również formację duchową i intelektualną przygotowującą do sakramentu kapłaństwa. Dnia 14 lutego 1915 roku bp sufragan lwowski Władysław Bandurski udzielił mu tonsury, 26 września 1915 roku otrzymał posługę lektoratu i akolitu¹ z rąk bpa Wolfa, wizytatora apostolskiego w Togo, święcenia subdiakonatu otrzymał 29 lipca 1917 roku, diakonatu 8 września 1917 roku, a prezbiterat 29 września 1917 roku.



o. Gottfried Fuchs

¹ Tonzura to specjalne strzyżenie głowy, oznaczające przynależność do duchowieństwa katolickiego. Lektorat i akolitat należały dawniej do święceń niższych, stanowiących etap przygotowania do święceń kapłańskich.

W trakcie studiów seminaryjnych przełożeni zakonnici nie wnosili zastrzeżeń odnośnie do pobożności oraz kwalifikacji intelektualno-moralnych Fuchsa. Niepokój przełożonych budził jedynie jego bardzo niski wzrost. Przed dopuszczeniem Gottfrieda Fuchsa do pierwszych ślubów zakonnych zwracano na to uwagę. Zasięgano wówczas opinii lekarskiej. Doktor Hild oraz lekarz domowy zgodnie twierdzili, że należy oczekiwać dalszego fizycznego rozwoju kandydata i nie ma przeszkody do przyjęcia święceń. Przed ślubami wieczystymi odnotowano, że Fuchs nadal nie rozwija się fizycznie. Dnia 22 czerwca 1917 roku podczas rady przełożonych zakonnych wysuwano wnioski, by dopuścić Gottfrieda Fuchsa do ślubów wieczystych, lecz nie udzielać mu sakramentu kapłaństwa. Ostatecznie w dwóch oddzielnych głosowaniach zdecydowano o dopuszczeniu go zarówno do ślubów wieczystych, jak i święceń kapłańskich. W czasie I wojny światowej z powodu niskiego wzrostu nie został zmobilizowany. W charakterystyce neoprezbitera Gottfrieda Fuchsa zanotowano, że „nie ma szczególnego zamiłowania do pracy misyjnej, potrafi jednak z zadowoleniem przyjąć wszystkie nakładane na niego zadania. Interesuje się historią powszechną, literaturą oraz historią sztuki i Kościoła”². Do 1922 roku był katechetą w St. Gabriel.

Dnia 24 września 1922 roku został przeniesiony do domu misyjnego św. Wojciecha w Pieniężnie (Mehlsack). Pracował tam jako nauczyciel aż do zakazu nauczania wydanego przez władze hitlerowskie 27 sierpnia 1937 roku. Wiele razy powoływany był do zarządu domu misyjnego, w 1938 był zastępcą rektora a w 1940 roku powierzono mu dodatkowo formację duchową braci zakonnych (Brüderspirituals). Pomagał także w duszpasterstwie w parafii w Pieniężnie, Babiaku (Frauendorf) i Górowie Haweckim (Landsberg, Kr. Preussisch Eylau). Przez wiele lat jako kapelan codziennie pieszo chodził do szpitala w Pieniężnie.

Podczas II wojny światowej wielu kapłanów diecezjalnych zostało wcielonych do służby wojskowej lub z powodu szykan hitlerowskich nie mogli spełniać funkcji kapłańskich. Parafie katolickie w diecezji warmińskiej odczuwały z tego powodu stały brak duszpasterzy, dlatego 16 stycznia 1942 roku biskup warmiński Maksymilian Kaller zwrócił się do prowincjała werbistów z prośbą o oddelegowania do pracy w diecezji kilku zakonników. Wśród nich znalazł się Gottfried Fuchs. Srebrny jubileusz kapłaństwa obchodził w Pieniężnie 29 września 1942 roku. Dnia 6 sierpnia 1943 roku hitlerowcy nakazali werbistom opuszczenie klasztoru św. Wojciecha w Pieniężnie. Ojciec Fuchs mógł pozostać w Pieniężnie. Biskup warmiński Maksymilian Kaller prosił go jednak, by podjął pomoc duszpasterską w Malborku (Marienburg) lub Sztumie (Stuhm). Fuchs wybrał Sztum argumentując: „W Malborku jest

² Archiwum Pieniężno, Angaben über die Verwendung der „Neopresbyter 1918”.

wielu kapłanów, w Sztumie tylko jeden”. Od sierpnia 1943 roku dojeżdżał co tydzień z Pieniężna do Sztumu, by tam pomagać w duszpasterstwie. W 1944 roku z powodu utrudnionego dojazdu zamieszkał w tym mieście³.

Profetycznego wręcz charakteru nabrały słowa wypowiedziane przez Sługę Bożego Gottfrieda Fuchsa w rozmowie z biskupem warmińskim Maksymilianem Kallerem. W 1943 roku biskup przekonywał zakonnika, by podobnie jak większość współbraci ewakuował się w głąb Niemiec. Groziło mu nie tylko niebezpieczeństwo ze strony żołnierzy radzieckich, ale także ze strony hitlerowców za niesienie pomocy duszpasterskiej Warmiakom i Polakom. Gottfried Fuchs krótko odpowiedział biskupowi Kallerowi: „Ekszellencko, ja wiem, po co tu zostaję”.

W powojennej niemieckiej historiografii symbolem okrucieństwa żołnierzy rosyjskich stała się rzeź ludności cywilnej we wsi Nemmersdorf w Prusach Wschodnich (dziś Majakowskoje w obwodzie kaliningradzkim). Była to pierwsza miejscowość na terytorium niemieckim zajęta przez Armię Czerwoną. Dnia 21 października 1945 roku czerwonoarmiści wymordowali kilkadziesiąt osób, głównie starców, kobiety i dzieci, które nie zdążyły ewakuować się przed nadejściem frontu. Wiele kobiet torturowano i zgwałcono. Najmłodsza ofiara miała 8 lat, najstarsza 84 lata. Chociaż mord w Nemmersdorf został przez władze hitlerowskie wykorzystany propagandowo, był jednak zapowiedzią kolejnych aktów przemocy i okrucieństwa dokonywanych na ludności cywilnej⁴.

Propaganda sowiecka w szeregach Armii Czerwonej, realizowana przede wszystkim przez specjalnie szkolonych oficerów politycznych NKWD, zachęcała żołnierzy frontowych do brutalności i aktów przemocy. Realizowano ją praktycznie w formie ulotek, artykułów i rozmów polityczno-wychowawczych z żołnierzami. Nienawiść miała wzmacniać morale i determinację walczących oddziałów. Przyzwolenie na akty zbrodni wojennych formułowali najwyższe czynniki polityczne Związku Radzieckiego, z Józefem Stalinem na czele, a wzmacniały je środowiska radzieckich intelektualistów. Pisarz Ilija Ehrenburg stanął w czasie II wojny światowej na czele twórców domagających się niemieckiej krwi. Nawet po dziesięcioleciach wstrząsający jest jego apel kierowany do żołnierzy: „Zabijać, zabijać! Żaden Niemiec nie jest niewinny, ani ten żyjący, ani nienarodzony! Wypełniajcie dyrektywę towarzysza Stalina, musicie na zawsze zmiażdżyć bestię w jej norze. Złamcie za pomocą gwałtu zarozumiałość rasową niemieckich kobiet. Potraktujcie to

³ Archiwum Pieniężno, Świadectwo brata Berchmansa Reifiga SVD z St. Wendel z dnia 7 listopada 2008; B. Schwark, *Ihr Name lebt*, Osnabrück 1958, s. 275nn; H. Moll, *Zeugen für Christus. Das deutsche Martyrologium des 20. Jahrhunderts*, Bd II, Paderborn 1999, s. 866nn; W. Zawadzki, *Duchowieństwo katolickie z terenu obecnej diecezji elbląskiej w latach 1821-1945*, Olsztyn 2000, s. 123.

⁴ M. Podlasek, *Wypędzenie Niemców z terenów na wschód od Odry i Nysy Łużyckiej*, Warszawa 1995.

jako należną wam zdobycz. Zabijajcie, dzielni czerwonoarmiści”. Kiedy Armia Czerwona stanęła u wrót Prus Wschodnich ten sam autor we wrześniu 1944 roku pisał w gazecie frontowej: „Niemieckie kobiety będą przeklinać chwilę, kiedy urodziły swych synów - bestie. Nie przybywamy, aby hańbić. My przybywamy żeby zabijać. I będziemy zabijać”⁵.

Żołnierzy rosyjskich wkraczających w 1945 roku na niemieckie ziemie przepełniały różne uczucia, ale najsilniejszymi była nienawiść i chęć zemsty. Oblicza się, że spośród 12 milionów Niemców zamieszkujących na wschód od Odry i Nysy, aż 5 milionów nie zdążyło lub nie było w stanie uciec przed nadciągającym frontem. Na obszarze bezpośrednich działań wojennych pozostawali z reguły cywile, w tym ci najslabsi, starcy, chorzy i ranni, kobiety i dzieci. Wielu z nich padło ofiarą zemsty - masowych gwałtów, zabójstw, grabieży i deportacji. Według szacunkowych danych, w ostatnich miesiącach wojny na terenach niemieckich zgwałconych zostało około 2 miliony kobiet, z których 12 % zmarło w okolicznościach związanych z gwałtem. Rzeczywista liczba gwałtów pozostanie na zawsze nieznana, bo wiele kobiet zgwałcono wielokrotnie.

Masowe gwałty popełnione na kobietach przez rosyjskich żołnierzy w 1945 roku nie mają swego odpowiednika w historii. Radziecka propaganda, chociaż nie nawoływała do gwałtów wprost, czyniła jednak czytelne dla żołnierzy aluzje, że na terenach niemieckich mogą brać odwet także na kobietach. Oficerowie niższego szczebla wprost przyzwalał na akty bezprawia i przemocy. Skalę zbrodni potęguje fakt, że na ziemiach niemieckich brało udział w kampanii 4 miliony żołnierzy radzieckich. Każdy z nich otrzymywał dzienny przydział 100 gram wódki. Olbrzymie zapasy alkoholu na bieżąco zdobywano na własną rękę. Wpajana w radzieckich żołnierzy frontowych nienawiść, w połączeniu z pijaństwem, wyzwalały najniższe instynkty i zbrodnicze zachowania.

Po II wojnie światowej urodziło się w Niemczech około 210 000 dzieci poczętych w wyniku gwałtu. O wiele trudniej jednak oszacować fizyczne i psychiczne szkody poniesione przez kobiety.

Wojska radzieckie przepełnione były także fanatyzmem wyrastającym z ideologii komunizmu. Już przed II wojną światową terror komunistyczny skierowany został przeciwko własnym obywatelom, mieszkańcom Związku Radzieckiego. Do 1929 roku prześladowaniami i zbrodniami kierowała partia komunistyczna. W chwili dojścia Józefa Stalina do władzy można mówić o planowej i masowej eksterminacji ludności Kraju Rad, w ramach tzw. stalinizmu. Od początku stalinizm przybrał formę skrajnego totalitaryzmu, a jego ofiary liczone są w dziesiątkach milionów istnień ludzkich. W styczniu 1945 roku, w oddziałach II i III Frontu Białoruskiego 50% żołnierzy stanowili komuniści i oni byli zaliczani do najokrutniejszego elementu Armii Czer-

⁵ N. Sennerteg, *Zemsta Stalina 1944-1945*, Warszawa 2007, s. 182-183.

wonej. Z motywów ideologicznych ze szczególną nienawiścią odnoszono się do religii, w tym duchowieństwa, traktowanego jako element wrogi i reakcyjny⁶.

Ewakuacja wschodnich terenów Prus Wschodnich rozpoczęła się w sierpniu 1944 roku, dlatego na długo przed nadejściem frontu, przez Sztum przechodziła fala uciekinierów. W styczniu 1945 roku, w warunkach ostrej zimy, ruszyła wielka ofensywa wojsk radzieckich. Ponieważ dowództwo Wehrmachtu uważało, że linia frontu ustabilizowała się w okolicach Iławy (Deutsch Eylau), zabroniono ewakuacji ludności cywilnej z terenu Powiśla, w tym również ze Sztumu. Rozkaz taki wydano 21 stycznia 1945 roku o godz. 11.00. Dwa dni później, 23 stycznia o godz. 5.00 wydano rozkaz odwrotu wojska i ewakuacji ludności cywilnej. Dokonywało się to w wielkim chaosie i panice.

Ostatnie oddziały niemieckiego wojska opuściły Sztum 24 stycznia 1945 roku. Nazajutrz do miasta wkroczyły oddziały radzieckie II Frontu Białoruskiego. Zniszczenia miasta były wówczas stosunkowo niewielkie, ponieważ główne walki toczyły się w znacznej odległości od przedmieść. Duża część miasta leżała w gruzach dopiero po wkroczeniu Armii Czerwonej, gdy działania frontowe przesunęły się już dalej na zachód i na północ. Wiele domów zostało wtedy ograbionych, zdewastowanych, a na koniec spalonych. W sumie w Sztumie uszkodzeniu uległo 330 domów, a całkowicie zniszczono 100 budynków. Miał to być odwet za śmiertelne zatrucie kilkunastu żołnierzy rosyjskich w drogerii należącej do Augusta Samatina. Wśród żołnierzy panowała samowola, rozboje, zabójstwa i gwałty, potęgowane przez wypity alkohol. Hordy żołnierzy wałęsały się po mieście szukając jedzenia, alkoholu, wartościowych przedmiotów i kobiet. W Sztumie i okolicznych wioskach zgwałcono wiele niewiast. Dla oprawców nie miał znaczenia wiek, pochodzenie narodowościowe, macierzyństwo, sytuacja rodzinna i okoliczności dokonanych aktów przemocy. Ofiarami padały zarówno dziewczęta, jak i starszki. Świadcami gwałtu musieli być niejednokrotnie członkowie rodzin, nawet dzieci. Wiele kobiet zostało brutalnie zamordowanych. Zbrodnie i akty bezprawia miały miejsce w Sztumie i w całym powiecie aż do lata 1946 roku, czyli przez cały okres stacjonowania na tym terenie oddziałów radzieckiego wojska⁷.

⁶ J. Bartyzel, *Komunizm*, w: *Encyklopedia Białych Plam*, Tom IX, Radom 2002, s. 282-295; J. Nowak, *Walka z Kościołem wczoraj i dziś*, Szczecinek 1999, s. 11-24.

⁷ Na początku 1945 roku do II Frontu Białoruskiego wcielono ponad 10 tysięcy kryminalistów, którym obiecano amnestię za ofiarną służbę w Armii Czerwonej. Por. N. Sennerteg, *Zemsta Stalina 1944-1945*, s. 187; P. Szczuchniak, *Armia Czerwona na Powiślu w latach 1945-1946*, w: *Ziemie Odzyskane pod wojskową administracją radziecką po II wojnie światowej*, Słupsk 2000, s. 123-128.

Kilka sztumskich kobiet w styczniu 1945 roku schroniło się przed rosyjskimi gwałtami i szykanami w plebanii. Były pod opieką dwóch kapłanów, proboszcza Leona Neumanna oraz werbisty Gottfrieda Fuchsa. Czuły się zapewne bezpieczniej w budynku kościelnym i pod opieką mężczyzn, w tym znającego język polski proboszcza Neumanna.

Zachowały się dwie relacje dotyczące ostatnich chwil życia i męczeńskiej śmierci o. Gottfrieda Fuchsa. Relacje różnią się w opisie szczegółów wydarzeń, zgodnie jednak świadczą o okolicznościach, miejscu i czasie męczeństwa. Trzeba więc traktować je nie wykluczająco, lecz komplementarnie.

Relacja księdza Leona Neumanna, proboszcza sztumskiego w latach 1919-1950, sporządzona została 29 września 1947 roku. Proboszcz wspomina, że w styczniu 1945 roku Gottfried Fuchs ze względów bezpieczeństwa przeniósł się z wikariatki do sztumskiej plebanii, aby być razem ze znającym język polski księdzem Neumannem. Żołnierze rosyjscy weszli do Sztumu 25 stycznia 1945 roku. Około godz. 13.00 wtargnęli do plebanii i odebrali kapłanom zegarki. Potem jeszcze wielokrotnie pojawiały się grupy czerwo-noarmistów, plądrujących za każdym razem pomieszczenia plebanii. Nie wyrządzono jednak wówczas duchownym krzywdy.

W niedzielę 28 stycznia 1945 roku, wieczorem około godz. 23.00 do plebanii przybył oficer z 12 żołnierzami. W trakcie kolejnego plądrowania znaleźli około 20 butelek wina mszalnego i w spokoju odeszli. Około godziny 1.00 w nocy, tym razem już pijany oficer i żołnierze powrócili do plebanii i rozpoczęli przesłuchanie. Pierwszy stanął przed oficerem proboszcz Leon Neumann. Żołnierze bili go i oddali wiele chybionych strzałów, by zastraszyć duchownego. Wkrótce pozwolono proboszczowi udać się na spoczynek. Ten jednak schronił się w parafialnym ogrodzie, gdzie spędził na śniegu i mrozie prawie 3 godziny. Ksiądz Neumann słyszał dobiegające z plebanii głośnie błagania o litość przesłuchiwanego przez Rosjan ojca Gottfrieda Fuchsa. Po pewnym czasie, sądząc, że Rosjanie odeszli zdecydował się powrócić do plebanii. W drzwiach natknął się na radzieckiego oficera, który spokojnie pożegnał go słowami: „Auf Wiedersehen!”. Proboszcz odnalazł w pokoju swą rodzoną siostrę i inne kobiety, które schroniły się w budynku parafialnym. Kobiety krzyknęły: „O. Fuchs leży zabity w sąsiednim pokoju”. Opowiedziały następnie przebieg zdarzeń. Rosjanin zabrał zakonnik do innego pomieszczenia, obok pokoju w którym ukrywały się kobiety, i tam go przesłuchiwał. Ojciec Fuchs wielokrotnie powtarzał: „Przecież nic nie wiem”. Potem oddano strzał. Śmierć nastąpiła 29 stycznia 1945 roku około godziny 3.00. Dopiero 5 lutego 1945 roku Gottfried Fuchs został zawinięty w dywan i pochowany w kapłańskim grobie przy sztumskim kościele⁸.

⁸ Archiwum Diecezji Elbląskiej, Sztum, księga zmarłych 1945, nr 34; Archiwum Pieniężno, Bericht von Pfarrer Neumann/ Stuhm über den Tod von P. Gottfried Fuchs, Sztum 29.09.1947; B. Schwark, Ihr Name lebt, s. 275-277.

Ksiądz Neumann nie był bezpośrednim świadkiem zastrzelenia ojca Fuchsa, a swój lakoniczny opis oparł na relacjach kobiet przebywających w plebanii. Proboszcz w zakończeniu swej relacji uczciwie przyznał, że nie wie, dlaczego Rosjanie zastrzelili ojca Gottfryda Fuchsa. Dodaje też, że być może powodem zastrzelenia duchownego była jego bojaźliwa postawa, bo zdaniem księdza, w relacjach z czerwonoarmistami należało wykazywać się zdecydowaniem i zuchwałością. Ta ostatnia uwaga nie wiąże się jednak ściśle z opisem wydarzeń, ale ma wyłącznie charakter subiektywnych przypuszczeń. Trzeba pamiętać, że ich autor sam powodowany strachem ukrywał się kilka godzin w ogrodzie parafialnym. Ponadto znając język polski pozostawił ojca Fuchsa w konfrontacji z rosyjskimi żołnierzami. Wydaje się więc, że uwagi księdza Neumanna o śmierci Fuchsa, pisane zaledwie dwa lata po tragicznych wydarzeniach, mają wyraźny psychologiczny kontekst.

Nowe istotne wiadomości o okolicznościach śmierci o. Fuchsa, odnajdujemy w relacji werbisty o. Mariana Dolaty z Górnej Grupy. W liście do o. Alfonsa Labuddy, archiwisty Polskiej Prowincji Misjonarzy Werbistów, z 10 czerwca 2005 roku napisał: „W związku z ekshumacją zwłok śp. o. Gottfrieda Fuchsa SVD chcę przekazać moje wiadomości na temat jego zastrzelenia przez żołnierzy radzieckich w plebanii przy parafii św. Anny w Sztumie. Przybyłem do tej parafii jako wikariusz w dniu 5 lipca 1958 roku i byłem tam do dnia 1 lipca 1959 roku. Była tam jeszcze żywa pamięć wśród autochtonów o o. Fuchsie. Razem ze mną w tym czasie był też wikariuszem śp. o. Józef Kobielski. Zaraz w pierwszych dniach spotkaliśmy bezpośrednich świadków tamtego zdarzenia, którzy dowiedziawszy się, że należymy do Zgromadzenia, do którego należał o. Fuchs, opowiadali nam całą historię jego śmierci. To, co sobie bardzo dobrze zapamiętałem, to relacja Pani śp. Łangowskiej i Pani Hauburgowej. Pani Łangowska – była od długich lat zakrystianką (kościelnym był P. Klemens), starsza panna, siostra zmarłego już adwokata, który pracował dla Polaków w diasporze, bardzo rzeczowa, zaufana i oddana Kościołowi. Pani Hauburgowa – mieszkała kilkadziesiąt metrów od plebanii – była wdową, matką ks. Hauburga, który w czasie naszego pobytu w Sztumie, był wikariuszem w parafii Stary Targ, a potem wyjechał do Niemiec. Pani Łangowska opowiadała to nam i często różnym gościom. Po wkroczeniu wojsk radzieckich ludzie ukrywali się, gdzie tylko mogli. Bali się z wiadomych powodów. Kilka pań i ona również schroniło się w plebanii, w pokoju siostry ks. proboszcza Neumanna (były to dwa małe pokoiki na prawo za kuchnią – dziś wejście do nich jest zamknięte). W tej nieszczęśliwej nocy weszli radzieccy żołnierze podpici i dobijali się do nich. Kto ich wpuścił do plebanii – tego już dziś nie pamiętam. Wydaje mi się, że sam ks. proboszcz, który widząc sytuację, przez okno uciekł na cmentarz przylegający bezpośrednio do plebanii. O. Fuchs miał pokój u góry i słysząc te krzyki zszedł bronić. W momencie, kiedy w drzwiach pokoju pań bronił wejścia,

jeden z żołnierzy oddał strzał i w tych drzwiach o. Fuchs padł martwy. W tym czasie za żołnierzami wszedł rosyjski oficer, wyciągnął broń i pod broń, z krzykiem, kazał pijanym żołnierzom opuścić plebanię. Chwilę jeszcze pozostał, a kiedy już żołnierze poszli ks. proboszcz wracając, już drzwiami do plebanii, spotkał oficera i trochę z nim pogadał. Pani Łangowska w tym opowiadaniu zawsze podkreślała, że ruskie wojsko szeregowie to motłoch, ale oficerowie to porządni ludzie. Wszyscy wystraszeni – wiadomo wojna – zwłoki zawinięto w dywan i w grobie leżącego księdza obok kościoła, bez wielkiego pogrzebu o. Fuchsa pochowano. Był to koniec stycznia 1945 roku. Opowiadanie Pani Hauburgowej o tym fakcie pokrywało się prawie w całości z opowiadaniem Pani Łangowskiej. Na mnie, jako młodym werbiście, ten fakt zrobił ogromne wrażenie i w czasie pierwszego mojego pobytu w Pieniężnie o tym opowiadałem. Szkoda, że nikt ze starszych ojców nie zwrócił uwagi, aby spisać i z podpisem naocznych świadków zachować dla potomności⁹.

Relacja ta, choć sporządzona wiele lat po wojnie, opiera się na zeznaniach naocznych świadków śmierci Gottfrieda Fuchsa. Kluczową rolę odgrywają w niej kobiety, ukrywające się przed żołnierzami radzieckimi w sztumskiej plebanii. Sługa Boży broniąc ich czystości, sprzeciwił się pijanym napastnikom i z tego powodu poniósł śmierć. Nie było żadnych innych okoliczności uzasadniających oddanie strzału w jego stronę. W tym względzie opinia kobiet, świadków dramatu, jest zgodna i jednoznaczna. Śmierć Sługi Bożego ojca Gottfrieda Fuchsa nosi więc znamiona męczeństwa.

Dodatkowych informacji dotyczących okoliczności śmierci Gottfrieda Fuchsa dostarczyła ekshumacja jego zwłok. Przeprowadzono ją komisyjnie 30 marca 2005 roku. Ustalono w jej trakcie, że o. Fuchs pochowany był bez trumny, w dywanie, w grobie zmarłego w 1889 roku proboszcza sztumskiego Piotra Gaeblera. W protokole zapisano: „Najważniejszą w całym znalezisku była czaszka, gdyż na niej znaleźliśmy ślady kuli na prawym płacie skroniowym. Był to strzał od przodu, na skutek którego o. Fuchs upadł do przodu, twarzą do podłogi. Przypuszczalnie otrzymał drugi strzał w głowę leżąc już na podłodze od tyłu głowy (tego fragmentu czaszki nie znaleźliśmy). Był to strzał na „dobitkę”. Świadczy o tym szarpana dziura w postaci wyrwy na czole. Kula wylatując z czaszki wyrwała kawałek kości”.

⁹ Archiwum Pieniężno, korespondencja list o. Mariana Dolaty do o. Alfonsa Labuddy z 10 czerwca 2005 roku.

Ekshumowane szczątki o. Gottfrieda Fuchsa spoczęły na cmentarzu zakonnym w Górnej Grupie¹⁰.

¹⁰ Świadcami ekshumacji byli: o. Jan Czachorek SVD, o. Kajetan Sahlke SVD, proboszcz sztumski ks. prał. kan. Antoni Kurowski, kleryk WSD w Elblągu Tomasz Śmigowski, pracownik biura parafialnego Daniel Pałkowski, pracownicy zakładu pogrzebowego w Sztumie Roman i Wojciech Cylka, przedstawiciele mediów („Dziennik Bałtycki”) Krystyna Muszyńska i Piotr Szymański. Por. Archiwum Pieniężno, Protokół z ekshumacji o. Gottfrieda Fuchsa SVD autorstwa o. Jana Czachorka SVD z 3 kwietnia 2005 roku. Archiwum Pieniężno, Protokół z ekshumacji o. Gottfrieda Fuchsa SVD autorstwa o. Jana Czachorka SVD z 3 kwietnia 2005 roku.

Marta Chmieleńska

Walczyli i umierali za wolną Polskę, dziś wciąż nazywa się ich bandytami...



Pomnik w Tulicach poświęcony funkcjonariuszom SB i MO, którzy zginęli w walkach z partyzantami, fot. P. Piesik

stości i zajęcia w szkołach poświęcone Żołnierzom Wyklętym, przy okazji tego święta wielu ludzi myśli jednak też o tym, że tak żyjący Wyklęci jak i ci, którzy zginęli nie są szanowani, a ich pamięć bywa opluwana.

W całej Polsce wiele jest miejsc, gdzie ślady komunistycznej propagandy mają się w najlepsze. Pewne kręgi opiniotwórcze starają się wręcz wykreować pogląd, że takie okazy jak pomnik „Czterech Śpiących” z warszawskiej Pragi tak wrosły w krajobraz, że nie ma sensu ich usuwać. Sprawą drugorzędną pozostaje napis mówiący o żołnierzach Armii Czerwonej walczących o niepodległą Polskę. Aż trudno uwierzyć, że Polacy we własnym, wolnym już od ponad 20 lat kraju pozwalają na to. Takich pamiątek rozsianych po kraju jest bardzo wiele, najbardziej niesprawiedliwe wydają się te, nazywające żołnierzy Armii Krajowej bandytami czy faszystowskimi zbirami. Jak najbardziej na miejscu jest tu pytanie: Jak Polakom może to nie przeszkadzać? Jak możliwe jest, aby w wolnej Polsce wciąż istniały takie miejsca? A jest ich sporo. Wiele znajduje się na Podlasiu, w moich rodzinnych stronach, gdzie wciąż odbywają się uroczyste pochówki ekshumowanych zwłok żołnierzy sowieckich, a o żołnierzach wyklętych mówi się „bandyci”. Takich miejsc dużo jest także na Pomorzu – w Borach Tucholskich, gdzie działały szwadrony majora Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”, podobne tablice znajdziemy także w powiecie sztumskim – wszystkie w gminie Stary Targ. Tulice, do których trafił pan Marek, a także tablica na budynku dawnego posterunku MO w Starym Targu i tablica na budynku dawnego majątku w Zielenicach. Wszystkie informują o śmierci milicjantów i funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa w walce z bandami – tymi samymi, dla których współczesny Sejm RP ustanowił święto państwowe. To

Niedawno obchodziliśmy Narodowy Dzień Pamięci o Żołnierzach Wyklętych, to już drugi raz w historii naszego kraju uczciliśmy ich pamięć w sposób należyty osobom, które przelewały krew w walce z okupantami. To państwowe święto ustanowił Sejm na posiedzeniu 3 lutego 2011 roku, a za przyjęciem ustawy głosowali niemal wszyscy posłowie. W całym kraju odbywały się uroczy-

zadziwiające, że takie tablice jeszcze istnieją w publicznej przestrzeni, a nie, ku przestrodze, w muzealnych ekspozycjach dawnego systemu. Dziś wiemy, jaka to była władza ludowa, która w imię ideologii kazała strzelać do robotników, więzić inaczej myślących, manipulować prawdą czy wysługiwać się obcemu mocarstwu. Wiemy też, jaka to była „banda reakcyjnego podziemia”, która stała w obronie zniewolonej Ojczyzny, wier-



Pamiętkowy głaz poświęcony Żołnierzom Wyklętym przy fermie w Czerninie, fot. M. Chmieleńska

na do końca przysiędze, stojąca na straży takich wartości jak wolność, prawda, honor, niepodległość. Wiemy też, kto miał rację, choć nie zawsze, jak widać da się to dostrzec w przestrzeni publicznej. Z tego wniossek, że nadal dajemy się uwieść totalitarnej nowomowie czyli kłamstwu. Taki relatywizm moralny po dwudziestu latach życia w wolnym kraju jest nie do przyjęcia. O wolność walczyli żołnierze majora „Łupaszki”, a nie funkcjonariusze UB. To „Łupaszko”, „Inka”, „Żelazny” czy inni zamęczeni w kazamatach UB powinni mieć swoje tablice i pomniki, a nie ci którzy w imię obrony systemu ich mordowali.

„Bandy reakcyjnego podziemia”

Kim były te bandy? To polscy żołnierze, którzy w konspiracji walczyli z kolejnymi okupantami – Niemcami i Rosjanami. Żołnierze majora „Łupaszki” nie wzięli się znikąd – to ludzie pochodzący z Wileńszczyzny, która zajęta została kolejno przez obu najeźdźców, to młodzi chłopcy, często harcerze, którzy za swój obowiązek uznawali walkę o niepodległość. I walczyli. Musimy pamiętać, że wraz z posuwaniem się frontu Sowietów zajmowali tereny coraz bardziej na zachód wprowadzając swój „porządek”, taka sytuacja zmuszała polskie oddziały do stopniowej zmiany miejsca. Tak 5 Wileńska Brygada AK pod dowództwem mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki” dotarła z Wileńszczyzny na Podlasie i dalej zawędrowała na Pomorze. Ludzie ci nie byli zbieraniną osób uciekających przed prawem, ale regularnym wojskiem, które w polu walczyło od 1943 roku. Byli oni szczególnie doświadczeni w kontaktach z Sowietami, ponieważ wszyscy przeżyli wejście Rosjan do Polski w 1939 roku i doświadczyli okupacji sowieckiej. Na Wileńszczyźnie od początku wojny tworzyły się struktury konspiracyjne, ostatecznie powstały oddziały partyzanckie, które swą bazę miały nad jeziorem Narocz. Po rozbiciu bazy przez Rosjan, część z nich, wraz z dowódcą zamordowano, wielu wywieziono na Kołymę, a resztę siłą wcielono do Ludowego Wojska Polskiego. Znamienne jest to, że żołnierze ci z czasem wracali do oddziałów – jedni jak grupa wcielonych do LWP obozująca w Dojlidach pod Białym-



Tablica upamiętniająca funkcjonariuszy SB i MO, którzy zginęli w walkach z partyzantami AK, fot. M.Chmieleńska

stokiem uciekła i z czasem odnalazła oddział, inni jak Feliks Selmanowicz „Zagończyk” (który został zamordowany razem z „Inką”) uciekł z łagru na Kołymie. Pamiętajmy, że nikt ich nie zmuszał do walki, nikt nie kazał tułać się po lasach i walczyć, to była decyzja powodowana poczuciem honoru, patriotyzmem i obowiązkiem wobec okupowanej Ojczyzny.

Tablice i ulice

Wszystkie tablice w powiecie sztumskim znajdują się na terenie jednej gminy, także w Starym Targu możemy przechadzać się ulicą 22 lipca, czy drugą poświęconą, o zgrozo, sowieckiemu agentowi Karolowi Świerczewskiemu. Te nazwy, które u jednych budzą zdumienie i niedowierzanie nie przeszkadzają mieszkańcom. W grę wchodzi tu względy finansowe.

- Zarówno tablice jak i nazwy ulic stanowią element naszej historii - mówi Wiesław Kaźmierski, wójt Starego Targu. - Mieszkańcom wszystko jedno jest czy chodzą ulicą przykładowego Wacka czy Janka, sprzeciwiają się zmianom, bo pociąga to koszty wymiany dokumentów.

Rzeczywiście, o ile samorząd nowy dowód w przypadku zmiany nazwy ulicy wyda za darmo, o tyle inne dokumenty jak prawo jazdy, dowód rejestracyjny czy inne, mieszkańcy muszą opłacić sami. Zastanawia jednak czy równie przyjemnie chodziłoby się ludziom ulicą Adolfa Hitlera? Bardzo dobre podejście do tematu patronów ulic ma samorząd Ostrołęki, gdzie burmistrz przeprowadził akcję informacyjną i zaproponował zmianę wątpliwych „bohaterów” na polskich patriotów. Społeczeństwo tego miasta bardzo szybko włączyło się do działania - znalazł się fotograf, który robił zdjęcia do dokumentów nie pobierając opłat, znaleźli się też ludzie, którzy wsparli akcję finansowo. Mieszkańcy sami ocenili, kto jest polskim bohaterem, a kto na takie miano nie zasłużył. Oczywiście w takich momentach podnoszą się głosy dyskredytujące proponowanych patronów, ale przecież ulicę

Świerczewskiego łatwo zmienić na ulicę Mickiewicza, czy chociażby na Kwiatową, albo jakąkolwiek inną z tak zwanych „niekontrowersyjnych”. Piszę to z pewnym przekąsem, bo naród polski ma zdumiewające zdolności do zaprzeczania swojej świetności i negowania swoich bohaterów. W Sztumie kilka lat temu doszło do paradoksalnej historii, kiedy rajcy miejscy dyskutowali na temat kontrowersyjności postaci marszałka Józefa Piłsudskiego. Dobrze, że w pierwszej kadencji sztumskiego samorządu udało się z ulic usunąć takich wątpliwych patronów, jak Nowotko, Gomułka, Świerczewski.

Wracając zaś do pamiątek po ustroju narzuconym nam przez Związek Radziecki, to zdumiewa mnie jak łatwo naród polski wybaczył jednemu najeźdźcy, a drugiego wciąż nienawidzi. Sytuacją nieprawdopodobną jest wydarzenie sprzed kilku lat, gdy w moim rodzinnym mieście dwie ulice nazwano imionami białoruskich poetów, o których wiemy, że w 1939 roku brali aktywny udział w agitacji politycznej w Białymstoku oraz pisali i wygłaszali antypolskie wiersze. Czego jeszcze potrzebują Polacy, aby zaczęli samodzielnie wyciągać wnioski i oceniać fakty historyczne?

Czerwiec 1946, Tulice

Wchodzący w skład 5 Wileńskiej Brygady AK, czwarty szwadron pod dowództwem Zdzisława Badochy „Żelaznego” maszerował na koncentrację w Bory Tucholskie. 10 czerwca oddział spędził prawie cały dzień w Tulicach. Panowała sielanka, w przyjaznej wsi partyzanci czuli się bezpiecznie - niektórzy jak Danka Siedzikówna „Inka” czy Olgierd Christa „Leszek” kąpali się w jeziorze w środku wsi. Gospodarze przyjęli żołnierzy w kilku domach i leśni wypoczywali przed dalszą drogą. Oddział „Żelaznego” był znany w okolicy z brawurowych akcji przeciwko władzy ludowej, jednak co ważne, żołnierze podlegli majorowi „Łupaszce” nigdy nie mordowali niewinnych cywili. Ta zasada przyczyniła się też do potyczki w Tulicach, ponieważ kilka godzin wcześniej partyzanci puścili wolno przebywającego we wsi milicjanta. Człowiek ten zrewanżował im się powiadomieniem Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Sztumie o oddziale kwaterującym w Tulicach.

Kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, a więc o tej porze roku około godziny 21, oddział zaczął zbierać się do odejścia. Partyzant stojący na warcie zauważył zjeżdżający z górki od strony Waplewa, samochód ciężarowy z wyłączonym silnikiem. Wartownik strzelił w powietrze, żołnierze „Żelaznego” wybiegli z dwóch stron ceglanego budynku stojącego tuż przy drodze.



Pamiętkowy głaz na Skwerze Żołnierzy Wyklętych w Malborku, fot. M. Chmieleńska



Nowy pomnik Żołnierzy Wyklętych w Zajezierzu, fot. M. Chmieleńska

Jednym z pierwszych był Żelazny, wybiegł przed samochód, podniósł rękę do góry i krzyknął do kierowcy aby się zatrzymał. W tym momencie siedzący na miejscu pasażera człowiek strzelił trafiając „Żelaznego” w okolice obojczyka. W odpowiedzi na to oddział ostrzelał auto, już po kilku chwilach rozległy się prośby o przerwanie ognia. Podczas wymiany ognia zginęło 3 milicjantów, kilku

było rannych. Wszyscy zostali rozbrojeni. Sanitariuszka oddziału „Inka” zajęła się opatrywaniem rannego dowódcy, który tracił przytomność. Dowództwo przejął Olgierd Christa „Leszek”, partyzanci wylegitymowali dwóch cywili z przybyłej grupy - obaj mieli legitymacje UB w Sztumie. Zgodnie z rozkazem każdy funkcjonariusz UB miał być rozstrzelany na miejscu. Tak stało się i tym razem. Zginęli wówczas Kazimierz Baczyński i Mieczysław Kantorski. Reszta grupy została puszczana wolno, partyzanci zaś odjechali zdobytą ciężarówką. Po latach, miejscu, gdzie zatrzymał się samochód stanął pomnik, a nazwiskiem Baczyńskiego nazwana została jedna z ulic w Sztumie, którą zmieniono w 1992 roku na Baczyńskiego, ale Krzysztofa Kamila, poetę.

Przed wszystkim informujmy

Przywracaniem historii od kilku lat zajmuje się Stowarzyszenie Historyczne im. 5 Wileńskiej Brygady AK. Stowarzyszenie nie chce jednak pozbywać się pomników.

- Nie będziemy starali się o usuwanie takich pomników i tablic dlatego, że te napisy najlepiej świadczą o zakłamaniu rzeczywistości powojennej – mówi Robert Jamroz członek Stowarzyszenia. Człowiek posiadający podstawową wiedzę na temat historii swojego narodu sam oceni takie słowa jak „banda reakcyjnego podziemia”, czy faszystowskie zbiry”. Czynimy starania aby w takich miejscach umieścić tablice informacyjne z opisem faktów historycznych i ówczesnej sytuacji.

Członkowie Stowarzyszenia planują organizację lokalnych akcji informacyjnych i pozyskanie do swoich planów samorządowców, a także wszystkich ludzi zainteresowanych czy to zmianą nazw ulic czy ustawieniem tablic informacyjnych. Od 10 lat Stowarzyszenie organizuje także Rajd Pieszy Śladami Żołnierzy 5 Brygady, którego trasa wiedzie przez Bory Tucholskie i przez kilka lat kończyła się uroczystą mszą w Czerninie. Rajd łączy marsz przez nieznane tereny z poznawaniem historii, ponieważ trasy (różne dla podzielonych na grupy uczestników) wiodą przez miejscowości związane z działalnością partyzantki wileńskiej.

Partyzanci z Mikołajek

Przy okazji tematu przywracania pamięci Żołnierzy Wyklętych nie sposób nie wspomnieć o niezwyklej inicjatywie dyrektora Gminnego Ośrodka Kultury w Mikołajkach Pomorskich, który kilka lat temu stworzył Grupę Turystyki i Rekonstrukcji Historycznej „Szwadron Powiśle”. Arkadiusz Dziukowski zainteresował tematyką partyzancką młodych ludzi z terenu gminy, pomógł im zdobyć umundurowanie – w tym szyte według oryginalnego wzoru rogatywki partyzanckie. Grupa spotyka się kilka razy w miesiącu na zajęciach teoretycznych, a także organizuje marsze w terenie. „Szwadron Powiśle” bierze też od kilku lat udział w Rajdzie Pieszym w Borach Tucholskich, gdzie stanowi dość mocną grupę i zajmuje wysokie miejsca – w ubiegłym roku zdobyli drugą lokatę. Młodzież ta jest także „ozdobą” uroczystości państwowych organizowanych w gminie i poza nią, zaciąga warty honorowe przy pomnikach i organizuje pikniki historyczne.

Działalność partyzancka atutem

- Powiat sztumski obok kilku innych miejsc w Polsce może poszczycić się prowadzoną tu działalnością tak słynnej 5 Wileńskiej Brygady Armii Krajowej - mówi prof. Piotr Niwiński z Uniwersytetu Gdańskiego, autor wielu publikacji na temat Żołnierzy Wyklętych. - Warto o tym pamiętać i wykorzystywać jako atut.

Rzeczywiście mało kto z mieszkańców tego terenu oglądając znany spektakl „Inka 1946” zdał sobie sprawę z tego, że to właśnie obrazowe opowieści funkcjonariuszy MO o wydarzeniach w Tulicach pozwoliły skazać Danke Siedzikównę na karę śmierci. Po latach ci sami ludzie wycofali swe zeznania mówiąc, że nie są prawdziwe, a składali je, bo tego oczekiwali sędziowie. Odklamnywanie historii nie jest sprawą łatwą, czasami jednak udaje się, a bywa, że przynosi wręcz zaskakujące efekty. Tak było w przypadku Mariana Babińskiego, którego nazwisko widnieje na tablicy w Zielenicach. Tablica upamiętnia go jako poległego w walce funkcjonariusza UB, tymczasem okazało się, że człowiek ten był żołnierzem Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”, działającym w konspiracji w szeregach UB. Tę postać udało się przywrócić pamięci i 10 listopada 2011 roku na malborskim cmentarzu poświęcony został pomnik z ekshumowanymi szczątkami Babińskiego. Także w ubiegłym roku staraniem sołtysa Adama Poćwiardowskiego i mieszkańców Zajezerza odsłonięty został kamień upamiętniający pobyt Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki” i jego żołnierzy, którzy przez pewien czas kwaterowali w jednym z domów.

Na obecnej władzy, również samorządowej, spoczywa obowiązek troski o prawdę, pamięć i tożsamość. Nie można tłumaczyć się, że kłamliwe tablice istnieją, bo nikomu nie przeszkadzają i nikt o ich usunięcie się nie upomniał. Władza, czy chce czy nie chce, pełni także funkcję edukacyjną, zatem sama powinna troszczyć się o prawdę historyczną i wiedzieć, co jest dobre, a co złe, co jest prawdą, a co kłamstwem.

Stanisław Widuchowski

WSPOMNIENIA (fragment)*

**Jest to fragment niepublikowanych dotychczas wspomnień Stanisława Widuchowskiego, który po wojnie zamieszkał w Elblągu. Autor urodził się w Hawinowiczach powiat Słonim, województwo nowogródzkie (obecnie Białoruś). Jego rodzice posiadali tam majątek o powierzchni blisko tysiąca hektarów.*

Wspomnienia spisane w 2006 roku obejmują okres od lat dwudziestych do 1948 roku, kiedy to autor osiedlił się najpierw w gospodarstwie położonym koło Jegłownika na Żuławach, a potem w pobliskim Elblągu. Obecnie przebywa na Śląsku.

„OSWOBOŻDZENIE”(ros. wyzwolenie)

Hawinowicze, 17 września 1939r.

Od pierwszego września trwa wojna.

Groza wojenna wisiała w powietrzu od dawna. W końcu sierpnia Tatuś otrzymał kartę mobilizacyjną. Miał stawić się gdzieś w Słonimie. Spakował się i pojechał. Na krótko przed tym, w ramach wykańczania budowy nowego domu, zrobił wylewkę stopnia przed wejściem kuchennym. W tym czasie nadszedł listonosz z wezwaniem. Tatuś spodziewał się tego, niemniej był zaskoczony i chyba się trochę zdenerwował, bo zapomniał się i wychodząc z domu, stanął na stopniu z nieutwardzonego jeszcze cementu. Na stopniu został odcisnięty ślad Tatusiowego buta. Ktoś chciał to poprawić, ale Mamusia nie pozwoliła. Tatuś poszedł na wojnę, może nie wrócić. A ślad niech przynajmniej taki zostanie. Taka sobie sentymentalna pamiątka.

Mnie podobnie, jak parę lat wcześniej brata, na kilka dni przed końcem sierpnia, „oddano do szkół”, do miasta, czyli umieszczono mnie na stacji w Słonimie, gdzie miałem rozpocząć dalszą edukację. Na wyższym szczeblu niż to było możliwe w wiejskiej czteroklasowej szkole w Hawinowiczach.

Tatuś w wojsku się nie zatrzymał. Okazało się, że w Słonimie nie było już nikogo, kto mógłby Tatusia przydzielić do jakiegokolwiek armii. Tatuś, nie znalazłszy nikogo kompetentnego, na posterunku policji dowiedział się, że ma wracać w spokoju ducha do domu, ponieważ żadnych władz w Słonimie już nie ma.

Mój brat Tadzik miał już stancję zapewnioną, zresztą on już gdzieś tam mieszkał od paru lat i nie musiał się aklimatyzować tak jak ja. Był więc w tym czasie jeszcze w domu. Dlatego to Tadzik przyjechał do Słonima motorkiem po mnie i zabrał mnie do domu. Niedziela 1 września była piękna. Słoneczna

i pogodna. Dzień mijał spokojnie. Koło południa usłyszeliśmy daleki warkot samolotów. Było ich kilka. Bardzo daleko, gdzieś na południe od domu. W kierunku na Byteń. Usłyszeliśmy dalekie wybuchy bomb. Mówiono, że to Niemcy bombardują dworzec kolejowy w Byteni, albo może tory kolejowe. Potem się okazało, że bombardowali tory kolejowe w okolicy Byteni, ale większych szkód nie poczynili. Nie trafili.

Szkoła (życia?) w Słonimie

W niedzielę po południu odwieziono mnie do Słonima na stację i od poniedziałku rozpocząłem naukę w nowej Szkole Powszechnej nr 4 przy ulicy 3 Maja. W szkole byłem nowicjuszem i w dodatku chłopakiem ze wsi. Z tego powodu żywot miałem raczej ciężki.

W piątek wyszedłem z nowymi kolegami ze szkoły. W piątki, po południu ulicami miasta przechodził stary rabin, w brązowym chałacie, z długą siwą brodą i w mycce na głowie. Szedł środkiem jezdni, podpierając się kosturem i pokrzykiwał: - Szabes! Szabes! Często wchodził do żydowskiego sklepiku, wyciągał za „frak” właściciela – Żyda i kazał mu natychmiast zamykać sklepik.

Znałem te obyczaje, widywałem wcześniej takie obrazki i nie robiły na mnie wrażenia. Rodzice mi to wyjaśnili. Uznałem to za rzecz naturalną i nie zastanawiałem się nad tym.

Tu jednakże stało się inaczej. Moi koledzy naśmiewali się z rabina i z tego obyczaju. Zapytałem, dlaczego to robią? Powiedzieli mi, żebym przebiegł mu drogę tuż przed nim, a zobaczę jak on będzie wrzeszczał, tupał i pluł. Zatrzymaliśmy się i czekamy, aż rabin zbliży się na odpowiednią odległość i wtedy powiedzieli: - Teraz! Prędko biegnij na drugą stronę ulicy!

Przeskoczyłem rynsztok, przebiegłem przed nim jezdnią i przez drugi rynsztok wskoczyłem na przeciwległy chodnik. I wtedy się zaczęło! Opadli mnie zewsząd Żydzi i zaczęli mnie z wielkim wrzaskiem bić, kopać i poszturchiwać! Rabin rzeczywiście zatrzymał się na środku jezdni, tam gdzie przebiegłem mu drogę, stał w miejscu, tupał, pluł i krzyczał coś w rodzaju: „Ajwaj, giewałt!” i coś jeszcze, ale nic z tego nie rozumiałem, bo mnie cała zgraja biła, kopała i też wrzeszczała!

Ktoś krzyknął: - Uciekaj dzieciaku, bo ciebie zabiją! Nie miałem innego wyjścia, jak posłuchać tej mądrej rady. Uciekam, a oni z wrzaskiem za mną. Gonią mnie. Strach mi dodawał sił, skrzyłem w pierwszą przecznicę, ktoś otworzył drzwi i dosłownie wciągnął mnie do sieni, do domu. Musieli zobaczyć, co się dzieje, dlatego mnie wciągnęli do domu i kazali poczekać aż się ściemni. Domyślili się, że jestem nowicjuszem i że koledzy mnie podpuścili. Pocieszali jak mogli, a potem jak się ściemniło, wyprowadzili tylnym wyjściem przez ogródki i odprowadzili aż na stację. Nigdy więcej nikomu nie

przebiegałem drogi. W szkole trochę mi dokuczali z tego powodu, ale nie poskarżyłem się nikomu, bo po prostu – byłem nowicjuszem i moja hawinowicka brawura, została tam, w Hawinowiczach.

Niedługo chodziłem do tej szkoły. Zaledwie dwa tygodnie. W sobotnie popołudnie przyjechał po mnie Tadzik i zabrał do domu.

„Oswoboźdzenie!”

W niedzielę rano, 17 września dzień był raczej pochmurny i mglisty. Zbiegłem z góry i usłyszałem podekscytowane głosy w gabinecie Tatusia. Tam było radio i wszyscy się wokół radia skupili. Wyczuwając napiętą atmosferę, wszedłem tam na palcach: „Idiom oswoboźdat od pomieszczikow i kapitalistow!” - te oto słowa usłyszałem, wypowiedziane przez moskiewskiego spikera w radiu. Tego dnia wszyscy wstaliśmy wczesnym rankiem, podekscytowani trwającą od dwóch tygodni wojną. Od rana wyraźnie czuło się, że coś ciężkiego wisi w powietrzu. Cała rodzina skupiła się wokół radia, aby posłuchać co się na tym Bożym świecie wyprawia. Tatuś „złapał” Moskwę, i choć nie rozumiał po rosyjsku, to Mamusia tłumaczyła. Dorosłych ogarnęło przerażenie! Nie rozumiałem dlaczego? Nie znałem jeszcze pojęcia „linia Curzona”. Nie wiedziałem co, czy kto, to jest „pamieszczik”, a kto „kapitalista”, a o tym, że mieszkam na Białorusi, dowiedziałem się znacznie później.

Miałem wówczas 10 lat, 6 miesięcy i jeden dzień. Co z tego, że z dalszego ciągu dziennika dowiedziałem się, że „idą wyzwalać Zachodnią Białoruś i Zachodnią Ukrainę”. Dla mnie to były puste nic nie znaczące słowa.

Mama była przerażona! Jeszcze przed rewolucją wraz z rodzicami była zesłana pod Kaługę. Nie wiem, jak długo tam byli, ale wiem, że tam zastała ich rewolucja. Mama przeżyła już rewolucyjne rozboje i grabieże. Poznała bolszewików i nie chciała znów z nimi się zetknąć. Ojciec pochodził z Oświęcimia, bolszewików nie znał, za to pod zaborem austriackim zetknął się z Niemcami i przede wszystkim ich się bał, nie bolszewików. Z rozmów między dorosłymi zrozumiałem tylko tyle, że Mama chce uciekać przed bolszewikami na zachód, a Tatuś, przed Niemcami na wschód. Jak wynika z prostego rachunku, zostaliśmy pośrodku, czyli na miejscu.

Koło południa przyszli do nas: komendant posterunku policji pan Śledź, kierownik hawinowickiej szkoły pan Bronisław Samujłło i diak, to taki prawosławny kościelny, którego nazwiska nie pamiętam. Dzień był mglisty szary, chmury jak gdyby gęstniały, szarzało coraz bardziej. Po obiedzie nikt się nie ruszył i dalej siedzimy.

Do stołowego, weszła wystraszona służąca i mówi że wokół domu gromadzą się jacyś obcy ludzie, których służba nie zna.

Wszystkie drzwi i okna były już wcześniej dokładnie pozamykane za radą komendanta policji. Siedzieliśmy jeszcze przy stole po obiedzie. Dorośli naradzali się nad dalszym postępowaniem, co robić? Służąca znów weszła, jeszcze bardziej przerażona i mówi, że tłum gęstnieje! Gwar słyszeliśmy już wcześniej, ale teraz, usłyszeliśmy wyraźne wołanie pod naszym adresem.

Komendant, wystraszony, błaga Ojca, żeby go nie wydawał. Ojciec nie miał takiego zamiaru. Wszyscy byliśmy ciężko przestraszeni. Wśród ludzi, na podwórku wrzało. Co chwilę wołali, żeby im wydać komendanta.

Ojciec uzbroił wszystkich i poszliśmy po cichu na strych, aby stamtąd popatrzeć, co dzieje się na podwórku. Tatuś wyjął w różnych miejscach, po jednej dachówce, ale i tak niewiele było widać poza tym, że było bardzo dużo ludzi. Otaczali dom z trzech stron, ale zbytnio się nie zbliżali. Jakby czuli respekt. Pewno przypuszczali, że jesteśmy uzbrojeni. Było już prawie ciemno. Słysząc było głośny gwar i czasem jakieś urywane słowa z których nie można było wiele zrozumieć. Zrozumieliśmy, że przyszli z Dobrego Boru, wsi oddalonej od nas o 4 kilometry. Oddzielał nas jeszcze majątek pp. Oskierków, też Hawinowicze. Państwa Oskierków nie było w domu, bo w ogóle rzadko tam bywali.

Na dworze coś się zaczęło dziać. Wzmógł się ruch i gwar. Z urywków rozmów zrozumieliśmy, że teraz pójdą do Hawinowicz, do wsi, rozbiorą posterunek policji i z bronią wrócą tu i odbiorą komendanta. Tłum ruszył i poszli w stronę Hawinowicz.

Wieś Dobry Bór znana była jako wieś komunistyczna. Nie było tam posterunku policji, bo podobno nie dało się go tam utrzymać. Z tamtejszymi mieszkańcami nie mieliśmy kontaktów, nie było też żadnych zatargów z nimi nawet wtedy, kiedy Ojciec był wójtem. Może dlatego zostawili nas w spokoju? Zresztą majątku państwa Oskierków też nie ruszyli.

Było już całkiem ciemno. Gwar cichł, oddalał się, aż wszystko wokół ucichło. Nie wiemy, czy wszyscy odeszli? Czy nie zostawili kogoś, żeby nas pilnował? Czyżby nie pilnowali komendanta, żeby im nie uciekł?

Jest czarna noc. Nic nie widać, nic nie słychać. Dom miał trzy wyjścia, od zachodu, frontowe używane „od wielkiego dzwonu”, od północy kuchenne używane na co dzień i od wschodu - jakby to dziś określono „rekreacyjno-wypoczynkowe”, jeszcze niezupełnie wykonane, z dużym betonowym tarasem, z klombem, kwietnikami, alejkami i dróżką, która była skrótem do wsi, do szkoły. Ojciec zdecydował, że tędy wychodzimy. Ale najpierw trzeba sprawdzić, czy przypadkiem nas nie pilnują. To wyjście było o tyle dobre, że miało najlepszą widoczność, nie było wysokich kwiatów ani krzewów, gdzie mógłby się ktoś zaciąć.

Z prawej strony była cerkiew, odległa o 84 metry od narożnika domu (sam to kiedyś zmierzyłem!). Z lewej, znacznie dalej niż cerkiew, młody dzieścioletni sad owocowy, trochę w prawo obok sadu, stary cmentarz prawo-

sławny. Za daleko, żeby stamtąd można było nas pilnować. Dlatego Ojciec zdecydował się na to wyjście. Służbie kazał po naszym wyjściu, pozamykać i sprawdzić wszystkie drzwi i okna i iść do siebie spać do pomieszczeń obok, w starej serowni, przebudowanej na mieszkania dla służby.

Wychodzimy. Pierwszy wychodzi pan Tadeusz - nasz rządca, uzbrojony w jednostrzałowy flower kaliber 9. Rozgląda się, nasłuchuje, daje znak że możemy wychodzić. Za nim wychodzą: pan Samujłło, komendant, diak i na końcu my: Ojciec, Mama, Tadzik - mój starszy brat i ja. Ojciec ma sztucer, Mama i Tadzik - dubeltówki. Idziemy alejką prowadzącą do wsi i mamy skrócić drogą za cmentarzem w lewo, minąć stary cmentarz i obok nowego przejść do naszych lasów, a potem dalej.

Idąc w stronę drogi prowadzącej do cmentarzy, od strony wsi dociera do nas coraz głośniejszy gwar. Słysząc jakieś krzyki, nawoływania. Potem usłyszeliśmy strzał, potem drugi i jeszcze kilka. I znów narastający gwar i krzyki. Nasza ucieczka zaczyna nabierać tempa. Szybko mijamy stary cmentarz, koło nowego już biegniemy coraz szybciej i szybciej. Wchodzimy do lasu. Ciemno. Zaczyna padać drobny deszczyk, taka mżawka. Idziemy szybko, omijając drogi i ścieżki. Czasem się zatrzymujemy, nasłuchujemy. Gwar to cichnie, to narasta. Choć my się oddalamy, to gwar się do nas przybliża. Wnioskujemy, że napastnicy zdobyli posterunek i wracają. Uciekamy, byle dalej od domu może w lesie nie będą nas szukać, może nie znajdą? Minęliśmy nasze las. Jesteśmy już daleko od domu, gdzieś w środku lasów państwowych. Tak łatwo już nas nie znajdą! Już niedaleko do szosy Słonim - Baranowicze. Zatrzymujemy się. Nie wiemy, co dalej robić? Czy iść do Słonima? To jeszcze sporo kilometrów, ale trzeba wejść na szosę, aby przejść przez most. Poza tym wzdłuż szosy pod Słonimem, są mokradła i bagna. Szosy nie da się ominąć, a na niej - jak twierdzi pan komendant - może być bardzo niebezpiecznie. Cały czas mży. Mokniemy i marzniemy. Jest noc z niedzieli na poniedziałek. Z domu uciekaliśmy w popłochu i nikt nie pomyślał, że może być mokro i zimno. Nie było zresztą czasu na myślenie. Zapada decyzja, że trzeba wrócić do domu i coś przynieść do ubrania i jedzenia. Rządca, pan Tadeusz zdecydował, że pójdzie sam. On był tylko na służbie, więc nikt do niego nie powinien mieć żadnych pretensji i spośród nas, to właśnie jemu nic nie zagraża. Pójdzie sam i o ile to możliwe, zaprzęgnie konie, najwyżej obudzi służące, żeby przygotowały coś do jedzenia i ubrania, załaduje na wóz i przyjedzie, Broń Boże, bez służby!

Komendant i pan Bronisław też odchodzą. Diak ulotnił się już wcześniej, nikt nie wiedział kiedy i jak przepadł. Komendant odszedł i słuch o nim zaginął. Nie wiemy co się z nim stało. Pana Bronisława odnalazłem i odwiedziłem go w Gdańsku, w 1955 lub 56 roku. Jeszcze żyła moja Mama. Zastałem go w domku jednorodzinny, Czy tam mieszkał czy tylko tam był gościem? Nie wiem. Przyjął mnie bardzo niegościnnie w przedpokoju,

rozmowa się nie kleiła. Odniosłem wrażenie, że bardzo wystraszył się moich odwiedzin i chciał się mnie jak najszybciej pozbyć. Nie chciał ze mną w ogóle rozmawiać. Na tym nasze kontakty urwały się definitywnie.

Znacznie później dowiedziałem się, że na posterunku policjanci zabarykadowali się i nie chcieli się poddać. Pierwsze strzały padły ze strony atakujących chłopów. Oznaczałoby to, że broń mieli już kiedy oblegali nas. Dlaczego nie zaatakowali? Pierwszy policjant został zastrzelony przez zamknięte drzwi. Pozostali ostrzeliwali się i zostali zabici, lub wzięci żywcem. Jednego z nich, martwego znaleziono później na łąkach koło rzeki Szczary, mniej więcej około trzech kilometrów od posterunku. Drugiego, też martwego, nazywał się Słoma, wyłowiono ze Szczary pod Słonimem. Miał rany postrzałowe. Przeżył to wszystko i okupację sowiecką tylko policjant Spadniewski. Miał żonę i dwóch synów. Mieszkali w wynajętym domku na wsi. Jakim cudem ocalał? Nigdy się tego nie dowiedziałem.

Pan Tadeusz poszedł. Wydawało się, że bardzo długo nie wracał. Wreszcie przyjechał. Przywiózł jedzenie, ubranie, ale przede wszystkim wrócił. I to było najważniejsze. Baliśmy się już o niego, bo od strony szosy dały się słyszeć jakieś dziwne, nie słyszane dotąd odgłosy. Ni to głuchy warkot, ni to turkot konnych wozów, jakiś chrobot. Nie wiem, co to było, ale utwierdziło nas w przekonaniu, że do Słonima jechać nie można. Nastął dzień, poniedziałek 18 września. Kręcimy się po tym lesie, jakby to miało czemuś pomóc? Nasłuchujemy. Byliśmy dość blisko szosy, bo Ojciec wciąż przemyśliwał, jak by tu dostać się do Słonima? Od szosy, cały czas dochodzą do nas dziwne odgłosy, to cichną, to znów nasilają się. Ojciec powiedział, że to pewnie czołgi jadą bo słyszeć coś, jak by chrzęst gąsienic? Człowiek poczuł się bezradny, bezdomny. Znikąd ratunku ni pomocy. I tak mijał powoli smutny poniedziałek... Dokąd iść i co ze sobą zrobić?

Pod wieczór usłyszeliśmy już wyraźnie jakieś ruchy na szosie. Byliśmy niedaleko od niej. Usłyszeliśmy wyraźnie głuchy dudniący warkot i chrzęst gąsienic. Ojciec orzekł, że to na pewno czołgi. W pewnym momencie usłyszeliśmy strzały. Najpierw pojedyncze, co raz częstsze, wreszcie serie z karabinów maszynowych. Kule gwizdały nam nad głowami, ale Tatuś powiedział, że lecą wysoko i nic nam nie grozi. Choć było wyraźnie słyszeć łopotanie po liściach i jakby uderzenia w drzewa. Nie wystraszyły nas. Strzelanina trwała jakiś czas, potem wszystko ucichło. Nawet czołgi przestały jechać. Tylko drobny deszczyk nie przestawał siać.

Już po zmroku znaleźli nas dwaj farnale, Stefan i Borys. Obaj pracowali u nas już dobrych parę lat. Z rodzinami mieszkali w czworakach. Nie mieliśmy do nich zastrzeżeń i Ojciec uznał, że można im zaufać. Namawiali nas do powrotu, do majątku. Zapewniali, że nic nam nie grozi, że nie doznali u nas żadnych krzywd i że jak przyjdą Sowietci, to oni poświadczą, że byliśmy dla nich dobrzy i Sowietci, ani nikt inny nam krzywdy nie robi, że oni nas

obronią. I tak, prawie nas zmusili do powrotu. Mama bardzo nie chciała wracać, ale nie miała żadnej alternatywy. Jak długo można żyć i ukrywać się w lesie? Ojca przekonali. Wróciliśmy. Była już noc. Za kilka godzin Ojciec miał się przekonać, jaki straszny popełnił błąd nie słuchając Mamy, aby wiać na Zachód. Nie wiem tylko, czy aby dotarło to do Jego świadomości? W kilka dni później, ja przekonałem się o nielojalności parobka Stefana.

Natychmiast poszliśmy spać w ubraniach. Mama kazała nam się nie rozbierać. Krótka to była noc. Około trzeciej nad ranem obudził mnie krzyk: „Sowieci przyszli!”

Pamiętny wtorek 19 września 1939 roku!

Pełno ich wszędzie! Snują się jacyś ospali, niemrawi. Jakby głodni, niewyspani? Nie wyglądają na wrogów. Nie wydają się być wrogo do nas nastawieni, ale nie widać u nich radości zwycięzców. Apatyczni i zubożeni. Dziwne sprawiają wrażenie. Szynele szare, u dołu zwisają nitki, czy sznurki, mundury szare. Czapki ze szpicem też szare z nausznikami, jakby szmaciane? Niektóre nauszniki podwinięte, inne opuszczone telepią się koło twarzy. Na czapkach naszyte szmaciane czerwone gwiazdy. Wszystko szare i smutne, aż żal na nich patrzeć. Karabiny długie, na lufach bagnety - „szytychy”, sterczą wysoko nad głowami. Przy karabinach sznurki zamiast pasków. Wygląd żołnierzy smutny, jakby zaniedbany. Nasunęło mi się porównanie z naszym, Polskim Wojskiem, kiedy odbywali ćwiczenia w naszych stronach. Maszerowali piechotą ze Słonima, 23 kilometry! Szli ze śpiewem, z daleka było ich słychać. Kiedy już padła komenda: - W ty! Rozejść się!

Rozbiegali się roześmiani, rozbawieni. Bieгли do studni czerpali wodę żurawiem, myli się, chlapali się w tej zimnej lodowatej wodzie. Nam dzieciakom, rozdawali suchary wojskowe, cukierki. A ci Sowieci, nic. Owszem czerpali wodę poiili konie, ale jakoś tak bez serca, bez żadnej werwy. Żadnego śmiechu, nic. Kompletnie nic. Całkowita apatia i zniechęcenie. Ruchy ich powolne, ospałe. Konie też chodziły ze spuszczonej łbami.

Samochody też były smutne szare, choć niby zielone, ale nie takie. Ustawione bezładnie, bez szyku, byle jak. Niektóre samochody „ZIS-5”, miały na skrzyniach ustawione sprzężone karabiny maszynowe typu MAXIM, po cztery w rzędzie. Żołnierz obsługiwał je w pozycji stojącej.

Nam, dzieciom, nie spodobał się sowieccy żołnierze! Kręciłem się między żołnierzami, razem z dziećmi fernali, a oni na nas w ogóle nie zwracali uwagi. Czasem tylko któryś krzyknął: - Uchadi, malczik! (*Uciekaj mały!*). Jakiś, chyba oficer, powiedział do mnie: - Mnogo u was rebiat (*Dużo tutaj dzieci*).

Morderstwo, czyli pierwsze „wyzwolenie”

Nagle usłyszałem wołanie: - Staś! Biegnij prędko do domu! Twego Ojca biją!

Pędzę do domu, ktoś mnie zatrzymuje i każe szukać i szybko przyprowadzić Komisarza! To był ich główny dowódca, miał trzy pionowe prostokąty na kołnierzu.

Biegnę! Znajduję go koło cerkwi. Siedzi na Ojca koniu, w Ojca siodle. Dopadłem go i proszę, błagam, żeby szybko szedł ratować Ojca. Płakałem i prosiłem, wstyd się przyznać, ale całowałem jego buty, byleby tylko ruszył swój tyłek! Dobiegł brat, Tadzik, krzyknął do mnie:

- Pomóż ciągnąć! Złapaliśmy go za but i razem ściągnęliśmy komisarza na ziemię. Ciągnąc go z całej siły, prowadzimy w stronę kuchennego wejścia. Odległość niecałe sto metrów, a mnie się zdawało, że to kilometry! Wychodzimy zza węgła i widzę taki obraz: jakiś mężczyzna, lewym przedramieniem, przypiera do ściany rządcę, pana Tadeusza, w prawej dłoni trzyma za lufę, kolbą do tyłu pistolet i z rozmachem, z całej siły uderza lufą w twarz pana Tadeusza! Uderzył cztery razy. Dwa razy w lewy i dwa razy w prawy policzek. Po każdym uderzeniu, z rany tryskał strumień krwi. Nie do wiary, ale krew tryskała aż na ubranie oprawcy! Obok stoi dwóch jego kolegów i przyglądają się egzekucji. Kiedy zobaczyli nas, powiedzieli coś, bo bandyta cofnął się, a pan Tadeusz osunął się po ścianie na ziemię. Komisarz podchodzi do bandyty i wyciąga do niego rękę, a ten bez słowa oddaje pistolet. Komisarz powoli odciąga zamek, a z komory nabojoywej wyłania się nabój.

Zdziwiony komisarz pyta bandytę: - Nu da, poczemu ty nie strelał? (*Dlaczego nie strzelałeś?*)

- Bo ja ni umieju – odpowiedział po białorusku bandyta.

Wleczem komisarza do Ojca. Nie wiedzieliśmy, że to już po wszystkim, że to właśnie ci bandyci po pobiciu Ojca, wyszli i dopadli wracającego pana Tadeusza.

W pokoju na podłodze leży Ojciec, nad Nim klęczy Mama i służąca Hanna. Ojciec leży na prawym boku tyłem odwrócony do nas. Pod głową Ojca, kałuża krwi. Ojciec sprawia wrażenie martwego, ale Mama mówi, że jeszcze żyje. Komisarz popatrzył na to wszystko, rozejrzał się po pokoju i stwierdził:

- Zdieśniecziwo bolszediełat. – (*Tu nie ma nic więcej do roboty*) – zawrócił i poszedł.

Relacja Mamy

(uzupełniana na bieżąco przez Hannę; obie były obecne podczas całego zajęcia)

Do Ojca przyszedł sowiecki oficer, aby rozliczyć się z zarekwirowanego furazu dla wojska. Rzecz najzupełniej normalna. Ojciec przyjął go w pokoju rządcy, ponieważ tam mieściła się również kancelaria, prowadzona pedantycznie przez pana Tadeusza. Ojciec nie znał rosyjskiego, więc Mama występowała w charakterze tłumacza. Hanna znalazła się w pokoju przez przypadek i Mama kazała jej zostać. Mama nie wiedziała dlaczego poprosiła ją o to. Ot, tak sobie.

Pokój jest duży. Na wprost drzwi, duże weneckie okno. W prawym rogu łóżko pana Tadeusza, bliżej szafa, w rogu obok drzwi piec kaflowy. W lewym rogu przy oknie ukośnie stoi duże biurko, przy nim siedzi Ojciec, przed biurkiem siedzi oficer. Mama stoi oparta o piec, a Hanna przykucnięta obok.

Panowie uzgadniają treść. Ojciec wymienia materiały zarekwirowane przez wojsko. Mama tłumaczy. Oficer wypisuje pokwitowania podpisuje, stawia pieczęcie i układa stosik pokwitowań przed Ojcem. Na biurku leży też czapka oficera. Rozliczenie przebiega w atmosferze wzajemnego zrozumienia i spokoju.

Wtem, do pokoju wwała się trzech oprychów. Należałoby powiedzieć – wtargnęło, ale to nie było „wtargnięcie”. Oni się tak jakoś „wwalili”, wleźli. Jeden to kuternoga Stiapan. Podpierał się laską zrobioną z młodego dębczaka i okutą przez naszego kowala. Znany w majątku i na wsi. Często przychodził do kowala, czasem zarobił parę groszy. Był chętny do pomocy. Dwaj pozostali, to nieznani, obcy. Jeden z tych dwóch zdrowych zadaje bezosobowe pytanie:

- Katory heto? – (*Który to?*) – Na to kuternoga, wskazując kijem Ojca, mówi:

- Heto jon – (*To on*) –

- To bij jaho – (*To bij go*) – mówi pierwszy.

- Ni maju za szto – (*Nie mam za co*) – odpowiada Stiapan kuternoga.

Wówczas jeden z tych dwóch, wyrывая kuternodze laskę i z rozmachem uderza Ojca w głowę. Kuternoga, straciwszy nagle laskę przewraca się. Mama go łapie i pomaga mu oprzeć się o piec.

Ojciec po pierwszym uderzeniu upadł twarzą na biurko. Bandycie było niewygodnie bić Ojca w takiej pozycji, więc łapie za blat biurka i odsuwa je w kierunku na oficera. Oficer wstaje, bierze czapkę i zgarnia wszystkie „raspiski” – pokwitowania które Ojcu wystawił, wpycha je sobie do kieszeni i bez słowa wychodzi.

Po odsunięciu biurka, Ojciec spada na podłogę na prawy bok. Przez przypadek zarzuca sobie lewą rękę na głowę i w ten sposób osłonił głowę. Zbój bije dalej. Od głowy, wzdłuż tułowia aż do stóp i z powrotem. Mama

patrzy na to w osłupieniu i nie reaguje. Co by to zresztą pomogło? Zapewne bandyta doszedł do wniosku, że Ojciec już nie żyje. Dlatego zabrali się i poszli. Przed domem natknęli się na pana Tadeusza. Efekt tego spotkania już opisałem.

Mamusia z Hanną próbowały Ojca ocucić, myślały, że jest nieprzytomny. Zaczęły go rozbierać. Nie dało się. Ojciec puchł w oczach. Podniosły Ojca z podłogi i położyły na łóżku pana Tadeusza, nie myśląc, co będzie potem. Nikt nie mógł przewidzieć dalszego obrotu sprawy. Ojciec wyglądał strasznie! Głowa rozbita od „wicherka” aż do czoła. Pęknięcia czaszki nie można wykluczyć. Lewy bok i ręka, od głowy aż po stopę obrzęknięte i sine, czerwono-granatowe. Na nogach miał buty z cholewami, tzw. sztylpy albo oficerki. Cała lewa strona puchła w oczach. Trzeba było natychmiast zdjąć ubranie, ale nie dawało się. Aby je zdjąć trzeba było rozcinać. I tak pocięte i zakrwawione ubranie rzucono na podłogę a zajęto się opatrywaniem rany, robieniem okładów? Tadzik zajął się pomaganiem Mamie przy Ojcu, ja stoję ogłupiały i nie wiem co mam robić. Patrzę za wychodzącym Komisarzem.

Rabunek – drugie „wyzwolenie”, po sowiecku

Stoję w progu pokoju. Po mojej lewej stronie korytarz jest przedzielony lekkim przeszklnym przepierzeniem z drzwiami wahadłowymi. Prawie na wprost mnie jest kuchnia, a po mojej prawej, drzwi wyjściowe na dwór, dwuskrzydłowe, otwierające się na zewnątrz. Jedna połówka zawsze otwarta na oścież, a druga zamknięta na zasuwki. Komisarz staje w otwartych drzwiach i głośno mówi, do zgromadzonego przed domem tłumu, a zebrało się tych ludzi co niemiara (Byli już podczas bicia pana Tadeusza, ale jeszcze nie tyle):- Nu! Bieritje! Tiepier eto wsio waszo! (*Bierzcie! Teraz to wszystko wasze!*).

Tłum ruszył do drzwi! Komisarz, aby zrobić im przejście, cofnął się i stanął za drzwiami, za tą zamkniętą na stałe połówką. W międzyczasie musiało tych ludzi znacznie przybyć, bo po słowach komisarza tłuszcza ruszyła! Było to jak lawina błota spływająca z góry. Tłum naparł na drzwi tak, że i ta połówka otwarta i ta zamknięta na stałe, obie zostały wtłoczone do środka, do wewnątrz. Komisarz stojący za drzwiami, za tą zamkniętą połówką został przez nią zmieciony. Zgarnięty i przyciśnięty do ściany. Kiedy się już ta cała hałastrą przewaliła i wlała się do domu, drzwi odpadły od ściany na podłogę, a z nimi razem komisarz. Odpadł od ściany razem z drzwiami. Chwilę na nich leżał, potem powoli się podniósł i chwiejnym krokiem wyszedł z domu.

Od przyprowadzenia komisarza i po tym co zobaczyłem, stałem osłupiały w drzwiach pokoju i wpatrywałem się w komisarza i w to co się wokół działo. Myślałem, że on, komisarz, coś robi z bandytami, że zajmie się pobitym Ojcem. Przynajmniej przyśle lekarza. Stałem i czekałem. Nie wiem na co. Stałem i patrzyłem. Widziałem i słyszałem wszystko. Nie rozumiałem

tego co się wokół mnie działo. Ale chłonałem i po latach pokojarzyłem to wszystko. Przed oczami przesuwa mi się jak film w zwolnionym tempie. Nie mówiło się o tym w domu. To był temat tabu. Bardzo niebezpieczny w tamtych, bolszewickich i powojennych latach, które wcale daleko od bolszewickich nie odbiegły... Jednak do mojej świadomości docierały słowa i utkwiły mi w pamięci na zawsze.

Jeszcze dziś, widzę Komisarza jak stoi w drzwiach i słyszę, co mówi do tłumu, jak usunął się za to zamknięte skrzydło, które miało go uchronić. Widziałem jak ruszył tłum. To nie byli ludzie! To był żywioł. Jednolita masa, jak jakieś rzadkie błoto, szlam, który się wlewa wszędzie i wypełnia sobą wszystko, każdą szparę, każdą szczelinę.

Wiele, wiele lat później, oglądając filmy z psem Huckleberry, za każdym razem przypominał mi się, przyklapnięty do ściany Komisarz. Dokładnie tak to wyglądało. Jakby to ktoś skopiował i przeniósł do rzeczywistości.

Stałem więc w tych drzwiach i bezwiednie chłonałem to, co się wokół mnie działo. Po mojej lewej ręce, była lekka przeszklona ścianka, takie sobie przepierzenie z dwuskrzydłowymi wahadłowymi, przeszklonymi drzwiami. Ścianka, podobnie jak i drzwi wejściowe, została zmieciona. Znikła, jak by jej nigdy nie było.

Rozpoczęła się grabież!

Jedenaście pokoi, łazienka i kuchnia, w pełni umeblowane i wyposażone - według słów dorosłych - w dwie godziny opróżniono ze wszystkiego! W pokoju pana Tadeusza, gdzie na jego łóżku leżał nieprzytomny, pobity mój Ojciec, zostało tylko: łóżko, na łóżku siennik wypchany słomą, na gołym sienniku leży goły Ojciec. Obok stoimy my: Mama, pan Tadeusz, Tadzik, Hanna i ja. - Sześć osób, w tym jedna bez przytomności, całkiem naga leży na łóżku bez pościeli. - I my: pięć osób, stoimy. - I nic więcej.

Staliśmy w pustym pokoju, tylko nieprzytomny Ojciec leżał na doszczętnie ograbionym łóżku. W całym domu panowała grobowa cisza. Drzwi na korytarz otwarte, ludzi - jakby wymiotło!

Zabrali nawet te pocięte poszarpane i pokrwawione ubrania zdjęte z Ojca i rzucone w kąt na podłogę! Nie wiem kto, ale chyba pan Tadeusz zdjął z siebie i narzucił na Ojca swoją, też pokrwawioną marynarkę.

Wynieśli z domu wszystko co było ruchome. Grabili ludzie przede wszystkim ze wsi Hawinowicze oraz, nieco w mniejszym stopniu fornale. Chociaż, może mnie się tylko tak wydaje?

W domu został jeszcze tylko fortepian „Steinway & Sons”. Duży, koncertowy.

Kilka pokoi było załane kartkami z książek. Ojciec był wszechstronnie uzdolnionym majsterkowiczem. Między innymi zajmował się introligatorstwem. Oprawiał książki w półpłótno. Mieliliśmy bogatą bibliotekę. Skatalo-

gowaną i opisaną. Po grabieży wszystkie książki były porwane. Wyglądało to tak, jakby ktoś szukał czegoś między kartkami. Nie było dwóch kartek razem. Warstwa tych kartek na podłodze sięgała miejscami kilku centymetrów. W innych pomieszczeniach na podłodze potłuczone naczynia, szkło. Kawalki połamanych mebli. No, i ten fortepian!

Kiedy już wszystko wynieśli i w domu zrobiło się cicho, usłyszeliśmy niehumaniczny wrzask:

- Heto majo! Nikamu ni dam! Heto majo! - (*To moje, nikomu nie oddam!*) - Zaniepokoiło nas to. Mama mówi do mnie:

- Idź po cichu i zobacz co się tam dzieje, ale bądź ostrożny. -

Poszedłem. I co widzę? W saloniku, fortepian stoi dociągnięty do drzwi i dalej ani rusz. Zaklinował się. Hawinowicka baba siedzi na progu pokoju, obejmując nogami i rękoma grubą nogę fortepianu i drze się w niebogłosy, że ona tego fortepianu nikomu nie odda!

No, ale to już było po wszystkim. Po grabieży.

Grabież!

Nie potrafię tego opisać. Tego chyba nie da się opisać. Pomimo to spróbuję.

W domu, jak się ta tłuszcza „wlała”, wypełnionym niehumanicznymi wrzaskami, krzykami i wyzwiskami, zapanował chaos, to znów zalegała martwa cisza, przerywana trzaskiem łamanych mebli, brzękiem tłuczonego szkła.

Stałem w drzwiach. Przede mną przewalała się ciżba, tam i z powrotem do domu z wielkim pośpiechem, jak do nowo otwieranych wielkich supermarketów z wielkimi promocjami. Wybiegali z domu ze „zdobyczą”, chylkiem i szybko, żeby jeszcze raz obrócić i zdążyć. Może jeszcze coś da się wynieść! W pewnym momencie zostałem odrzucony na bok. Do pokoju wlał się żywioł. Trwało to moment! Jak nagle się zaczęło, tak nagle się skończyło i wszystko ucichło. Zostałem wepchnięty do pokoju. Nie wiedzieć kiedy, z pokoju wszystko znikło. Wynieśli wszystko!

Łóżko pana Tadeusza na którym położyliśmy Ojca, było zasłane z kompletną pościelą. Na lnianym sienniku było lniane przykrycie, na nim prześcieradło, kołdra czy pierzyna, na tym kapa dwie poduszki i jasiek. Tak jak wszystkie normalne łóżka we wszystkich normalnych domach w tamtych okolicach. Nie wiem, czy coś jeszcze było na tym łóżku oprócz Ojca, ale to wszystko zostało wyciągnięte spod nieprzytomnego, zakrwawionego i opuchniętego Ojca. Obok łóżka, na podłodze, leżały pocięte i pokrwawione Ojca ubrania - do wyrzucenia. I to też zabrali. My mieliśmy na sobie ubrania, Ojciec został nagi. Tadzik gdzieś poleciał. Po jakimś czasie wraca, bez spodni i trzewików! Miał na sobie długie spodnie od mundurka gimnazjal-

nego z niebieskimi wypustkami na szwach i elegancko wyglansowane, choć nie nowe, trzewiki. Zatrzymała go jakaś baba i ściągnęła! Puściła go w kalesonkach i na bosaka.

Hulik, Trubka i Stiapan. To oni wtargnęli do pokoju, kiedy Ojciec rozmawiał z sowieckim oficerem. O Stiapanie już napisałem.

Trubka i Hulik, to ich „ksywy” więzienne. Nie znaliśmy ich, ani oni nas. Jeden z tych dwóch był oprawcą Ojca. Obaj zostali wypuszczeni na wolność z więzienia przez „wyzwolicieli”, czyli wojska sowieckie. Sowietci po wkroczeniu do Słonima, i nie tylko Słonima, otwierali więzienia i wszystkich wypuszczali „jak leci”, nie interesując powodem aresztowania, ani wyrokami.

Obaj byli skazani na długoletnie więzienie, jeszcze przed osiedleniem się rodziców w Hawinowiczach. Nigdy przed tym nie zetknęli się z moim Ojcem. Dlaczego bili? Tego już nigdy się nie dowiem. Bili chyba tylko na tej zasadzie, że „pamieszczika nada uniczył” (*obszarnika trzeba zniszczyć*).

Andrzej Wiłun

„Celuloza” z pamięci cz. V

O zmorze wynagradzania za pracę

Jak już pisałem w poprzednich odcinkach mych wspomnień, budowa kwidzyńskiej „Celulozy” była potocznie zwaną: rządową, co znaczyło tyle, iż powstawała na mocy uchwały rządowej. Na pewno na jej lokalizację decydujący wpływ miały: dogodny dostęp do surowca oraz zagrożenie tego rejonu bezrobociem. Wprawdzie groźba tego drugiego czynnika formalnie w PRL nie istniała, ale ze skutków jego ukrytych przejawów władze zdawały sobie doskonale sprawę. Już samo zatrudnienie bezpośrednio przy budowie około 3 tysięcy pracowników miejscowych i z najbliższej okolicy odsuwało widmo deficytu stanowisk pracy.

Należałoby tutaj nadmienić, że kwidzyńska „Celuloza” nie była w tym czasie jedyną rządową inwestycją budowlaną. Równolegle z nią powstawała Huta Katowice i Elektrownia Bełchatów. Zapewne było jeszcze kilka pomniejszych, ale tylko te dwie wielkością swoją wyprzedzały „Celulozę”. Dla opanowania organizacyjnego całego procesu budowy były wyznaczane przedsiębiorstwa o odpowiednim potencjale, mogące pełnić rolę generalnego realizatora inwestycji. W Kwidzynie pierwszą fazę budowy powierzono Bydgoskiemu Przedsiębiorstwu Budownictwa Przemysłowego, ale potem tę rolę przekazano Gdańskiemu Przedsiębiorstwu Budownictwa Przemysłowego. Generalny wykonawca, oprócz zaangażowania znacznego potencjału sił własnych, musiał podjąć się roli koordynatora zadań. A było czym tutaj sterować, bowiem do budowy zaangażowano niemal czterdziestu podwykonawców. Nad tym wszystkim czuwał jeszcze pełnomocnik rządu, którego zadanie polegało głównie na „ukręceniu łba” wszelkim kolizjom i konfliktom, wynikającym z krzyżujących się interesów wszystkich realizatorów inwestycji. Nieformalną jego rolą było bycie „okiem i uchem” ministra budownictwa tak, aby ten o wszystkim w odpowiednim czasie był informowany, ale z drugiej strony pełnomocnik musiał wiele spraw rozwiązywać samodzielnie.

Z samej uchwały rządowej dotyczącej „Celulozy” wynikało szereg priorytetów, zwłaszcza w pierwszej jego fazie. Miały one zachęcić głównie kadry wyżej kwalifikowane, by decydowały się na zmianę swego miejsca zamieszkania, nawet z dalej odległych rejonów Polski. Potencjalni pracownicy byli zachęcani dodatkami z tytułu rozłąki z rodziną, co często było nadinterpretowane. Wystarczała rozłąka ze... stałym miejscem zamieszkania, podczas gdy w Kwidzynie zajmowało się z rodziną mieszkanie służbowe. Do tego jeszcze były bony żywnościowe realizowane w stołówkach pracowniczych

(o tym pisałem w poprzednich odcinkach). Były też zachęty pozapłacowe, np. sprzęt. W końcu i w tej branży wszystko było limitowane. Tutaj jednak chciałem opisać tę pierwszą sferę - zarobków pracowniczych, ale nie tylko w obszarze priorytetów, ale również pewnych regulacji płacowych. Wbrew pozorom może to się okazać bardzo ciekawym tematem, zwłaszcza, że wielu z tych, którzy pamiętają ówczesny okres, nie bardzo znało pewne aspekty polityki płacowej i równie niewiele o tym wiedziało. Nie była to ich wina, bo ta niewiedza wynikała z pewnego manewru wykonanego jeszcze przez ekipę Gierka w bodajże 1974 roku.

Manewr ów polegał na pozornym zlikwidowaniu podatków i obciążeń socjalnych od płac. To był jednak tylko pozór, bo głównym jego celem było pozbawienie rzesz pracowniczych świadomości o rzeczywistych kosztach ich pracy, a stąd niewiedzy, ile z przedsiębiorstwa trafia do kasy państwa i co pozostaje mu – tzn. państwu – po wypłaceniu przezeń niezbędnych dla funkcjonowania przedsiębiorstwa świadczeń. Tak więc na zaświadczeniach zarobkowych pracowników nie były wykazywane wspomniane potrącenia, co nie znaczy, że ich nie było. To tak trochę, jak z komarem, który niby nic nie ma dla uprawiania seksu... Zakłady pracy w zależności od wytwarzanych przez nie kosztów miały wyznaczane procentowo narzuty i to wszystko razem musiały odprowadzać do kasy państwowej, a bardziej adekwatnym określeniem byłoby chyba tutaj: partyjnej, bo nad tym wszystkim pieczę i realną kontrolę sprawowała PZPR. Formalnie to wszystko trafiało bodajże do kasy ZUS i stamtąd następowało przekierowywanie kwot według udzielanych wytycznych przez wspomnianą przewodnią siłą systemu. Miało to pewnego rodzaju zaletę, bo nigdy w zakładzie nie brakowało pieniędzy na płace, liche, bo liche, ale plałty, czy jakiegokolwiek opóźnienia płacowe były niewyobrażalne. Problem stanowiły odprowadzenia kwot na zabezpieczenia emerytalne, czy dla służby zdrowia, szkolnictwa i innych jednostek budżetowych. Z pewnością źródło dzisiejszych kłopotów z zabezpieczeniem emerytalnym przyszłych pokoleń Polaków tkwi po części w niesforności ówczesnej polityki finansowej.

Po tym, nieco obszernym wprowadzeniu, przejdę do opisu szczegółów realiów płacowych na budowie kwidzyńskiej „Celulozy”.

W zasadzie gros pracy włożonej w rozliczenie pracowników z wykonanych przez nich robót należało do obowiązków majstra budowy. Wymagało to jednak połączenia wysiłków całego kierownictwa. Koniec każdego miesiąca stanowił niemal zmorę dla całego personelu kierowniczego. Ten stan powodowany był abstrakcyjnością całego obrachunku wykonywanych robót, oderwanego od realiów. By to księżycowe zjawisko wyjaśnić, prze-

dę do opisu samego formularza rozrachunkowego, potocznie na budowie zwanego zlecenia. Zacznę od jego drugiej strony, bo wtedy zapewne łatwiej będzie pojąć tą pierwszą.

Do poszczególnych rubryk należało wpisać nazwiska pracowników brygady, wykonujących zlecone roboty budowlane, wraz z ich stawkami zaszeregowania, wyrażającymi po prostu ich zarobek w ciągu jednej roboczogodziny. Stawki te wahały od ca 7 zł/godz. do 15 zł/godz.¹ i były uzależnione od poziomu i rodzaju wykształcenia, stażu pracy, funkcji. Jeśli przyjmiemy, że w miesiącu należało przepracować około 180 godz., łatwo się zorientować, że zarobek miesięczny poszczególnych członków brygady powinien na ich gruncie kształtować się na poziomie pomiędzy 1260 zł a 2700 zł. Nic bardziej mylnego, bo kwoty zarobków absolutnie nie znajdowały żadnego pokrycia w tak przedstawionych stawkach zaszeregowania. Ówczesny robotnik takie wynagrodzenie potraktowałby jako kpinę, a kierownik budowy, który za to odpowiadał, lądowałby na dywanie u dyrektora zakładu. Kwoty te musiały mieć odniesienie do realiów ówczesnego rynku i kształtowały się na poziomie od 4000 zł do 8000 zł miesięcznie (mówię tutaj o latach siedemdziesiątych, bo w następnej dekadzie to była już niemal astronomia). By wyjaśnić, skąd te kwoty się brały, podaję, że wynikały one z kwoty przeniesionej z pierwszej strony zlecenia. Ta z kolei wynikała z wykonania robót w tzw. akordzie. Liczby przepracowanych godzin służyły wyłącznie za klucz do rozbicia tej kwoty na poszczególnych członków brygady.

I tak przechodzę do opisu, jak ta kwota z pierwszej strony powstawała i jak to z tym akordem bywało.

Tutaj dopiero zaczynała się „księżycowa poezja” tworzonej literatury budowlanej. Teoretycznie każdy miesiąc powinien się zaczynać tzw. otwarciem zlecenia i była na to przeznaczona specjalna rubryka. W rubrykę tą należało wpisać ilość robót z ich wyceną tak, by brygada widziała, co i ile musi wykonać, by ich zarobek odpowiadał ich oczekiwaniom. Dla wyliczenia tych kwot należało posługiwać się specjalnymi cennikami, opracowanymi pod centralnym nadzorem ministerstwa budownictwa i innych organów rządowych. Zabawne, że ceny za wykonanie robót były opracowane na bazie lat pięćdziesiątych, a organy centralne jakby nie dostrzegały ich archaizmu. Potem do użycia wprowadzono alternatywnie tzw. KNR-y (katalogi nakładów rzeczowych), gdzie wyliczony czas normatywny dla wykonania robót można było multiplyli-

¹ Ten poziom stawek zaszeregowania należy traktować w odniesieniu do lat siedemdziesiątych ub. stulecia, bo już w latach osiemdziesiątych galopująca inflacja wymuszała znacznie wyższy ich poziom. Stąd przedstawiony przeze mnie przykład nie może odzwierciedlać realiów na przestrzeni lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Wymaga on pewnego przetransformowania danych, ale to już pozostawiam Czytelnikowi, w ramach ćwiczeń pamięciowych.

kować przez rzeczywiste stawki zaszeregowania. Tak otwarte zlecenie należało okazać brygadzie i uzyskać poprzez podpis brygadzysty jego akceptację. Dopiero na koniec miesiąca obrachunkowego powinno nastąpić rozliczenie zleconych robót. W praktyce tego otwarcia zlecenia się nie robiło, lecz na końcu miesiąca majster siadał za biurkiem i tutaj zaczynał się jego ból głowy. Bo niby jak miał on otworzyć zlecenie, gdy siedł on każdego ranka do roboty i jeszcze nie zawsze wtedy wiedział, co on ludziom przydzieli do wykonania, bo to była wieczna improwizacja. A tutaj na miesiąc do przodu robotę zaplanować? Wolne żarty.

Podstawą do wykonania i rozliczenia robót budowlanych była dokumentacja wykonawcza wraz z kosztorysami robót do wykonania i teoretycznie majster powinien na tym się oprzeć, plus ewentualnie roboty dodatkowe, ale na to wymagana była akceptacja inspektora nadzoru, reprezentującego stronę inwestora. Gdyby majster tak czynił, szybko zostałby przez zwierzchników oceniony jako mało kreatywny i jego los zawodowy zostałby przesądzony, czasami może nawet ku jemu szczęściu, bo nie musiałby dalej się tak męczyć. Jednak większość wykazywała się niebywałą, „księżycową” kreatywnością dla opracowania pierwszej strony tego zlecenia. Wspomniane cenniki takie możliwości dawały i w użyciu stosowane były przeróżne sztuczki i wybiegi, chociaż lekko nie było. Znajdowało się pozycje, np. dla wynoszenia wody wiadrami z wykopów na odległości mierzone w setkach metrów - można było sporo doliczyć. Było też wywożenie urobku z wykopów taczkami, przeróżne transporty ręczne na niebotyczne odległości, itp. Spore źródło kreatywności zawierały pozycje robót ulegających tzw. zakryciu, a więc przykrytych poszczególnymi warstwami materiałów w wyniku stosowanych technologii. Muszę tutaj nadmienić, że owa pierwsza strona zlecenia niemal wcale nie interesowała zleceniobiorcy, czyli robotnika, bo on nawet nie za bardzo orientował się w tej „księżycowej buchalterii” i wcale mu się nie dziwił. On od razu przystępował do tej drugiej strony, gdzie mieściła się jego prawda.

Niejako w formie dygresji wspominam pewnego majstra tzw. starej daty. Pochodził z rejonów Polski, które przed wojną były niemieckie i on, ucząc się wtedy w szkole tego języka, nie najlepiej miał opanowaną pisownię polską. Wtedy bazgrał na zleceniu jak lekarz jakiś i używał dodatkowo skrótów. Zawsze się śmiał, że żadna kontrola go nie rozczyta, a jeżeli nawet, to było tam mnóstwo wieloznaczności, dzięki którym on zawsze jest w stanie się wymigać. To też był jakiś sposób na przetrwanie.

Taka twórczość literacka wymagała pewnej podbudowy intelektualnej, więc brygady dbały na ogół o dostarczenie jej twórcom „płynnych produktów monopolizacji”, by ci mogli zaspokoić głód tej intelektualnej głębi dla spełnienia ich wizji finansowej. Tutaj następowała pewnego rodzaju demoralizacja, bo tajemnicą poliszynela była wątpliwa kreatywność takiej twór-

czości. Brygady w świetle tak wykonywanej dokumentacji płacowej wykonywały po 300 proc. (sic!) normy, podczas gdy ona sama była totalną bzdurą. Przedsiębiorstwa posiadały pozornie komórki wewnętrznej kontroli, ale to odbywało się raczej na zasadzie wzajemnego puszczenia sobie perskiego oka. Czasami taki „normowczik” przybywał na budowę, usadawiał się na niej ze stoperem i mierzył czasy wykonywania poszczególnych robót przez pracowników. Wychodziły mu jakieś wyniki, ale nikt o zdrowych zmysłach nie przykładął do nich wagi, bo wiedział, że praca na placu budowy nijak się ma do produkcji na taśmie, a niektórzy próbowali takiej transmisji dokonywać. To tak analogicznie, gdy kierowca jedzie po polskich drogach i prędkościomierz pokazuje mu bez przerwy prędkość w granicach 110-130 km/godz., a gdy dobiega do celu po przebyciu 300 km i przelicza przeciętną prędkość, wychodzi mu 70 km/godz. i się cieszy, że tak szybko.

Pamiętam rozmowę z jednym z brygadzystów, który twierdził, że wykonanie 300 proc. normy to może przesada, ale 100 proc. to on jest w stanie swobodnie ze swoją brygadą wykonać, pod warunkiem, że zapewni mu się cały niezbędny transport oraz sprzęt i dostawę betonu. Zakład stanął i on, zgodnie z umową, miał następnego dnia przystąpić do wstawiania krawężników na wykonanym wcześniej odcinku podbudowy drogi. Dzień wcześniej tak przygotował sobie front robót, że praktycznie najistotniejsza dla niego była dostawa betonu. Pracownicy tylko wbudowywali krawężniki i obetonowywali je, po czym plantowali ziemię, odłożoną przy wykopie. Po ośmiu godzinach pracy brygadzysta podał mi ilość wykonanej roboty. Wydawało mu się, że wykonał ją w 100 proc., lecz wtedy przywołałem go do wyłożonego katalogu norm i zapoznałem z opisem robót, na który powszechnie pracownicy nie zwracali uwagi. Opis ten głosił, iż normy na wykonanie tej roboty obejmują cały zakres robót przygotowawczych, które on i jego brygada wykonała dzień wcześniej, a więc należało jego osiągnięcie w praktyce podzielić przez 2, czyli wyszło 50 proc.

Muszę tutaj jednak wyznać, że to wszystko odbywało się pod pewnym prężeniem. Zawsze istniała hipotetyczna możliwość poważniejszej kontroli przez organy państwowe. Z tymi żartów nie było i gdy się zjawiała, to nie kończyło się to dobrze, bo nie przybywały bezcelowo i musiały zakończyć to zakładanym z góry wynikiem. Na budowie kwidzyńskiej „Celulouzy” nie przypominam sobie takich wydarzeń, ale to chyba było skutkiem tych priorytetów, wynikających z uchwały rządowej dla tej budowy. Po prostu istotne dla rządzących było stymulowanie postępów robót tak, by nie przeszkadzać. Koszty jej powstawania nie były dla nich takie istotne, władza zdawała sobie już sprawę z upadku gospodarczego i tego rodzaju inwestycje stanowiły już dla niej tylko nadzieję odbicia się od dna. System zaostrzonych kontroli spowodowałby pozbawienie jej tej nadziei. Gdyby jednak ona miała miejsce,

to zarzut działania na szkodę państwa trudno byłoby odeprzeć, mimo że górowała patologiczna przesłanka, iż z wszystkiego co państwowe, należało zabrać swoją część i iść do domu.

Patrząc z dzisiejszej perspektywy przypuszczam, że ówczesna władza miała w tym swój ukryty interes, by konfliktować pewne grupy społeczne między sobą. Z jednej strony puszczała oko do robotnika, sugerując mu, że jego zarobek zależy od kreatywności nadzorującego jego pracę „inteligenta”. Tak więc, to ten „inteligent” miał być winnym jego robotniczej niedoli. Jednak sam „inteligent” był odgórnie tak dyscyplinowany, że każda jego próba ulżenia doli robotniczej mogła zostać poczytana za sabotaż. W końcu robotnik dostrzegł tę grę (Sierpień 1980), ale niewiele mu to dało, bo jak to się na ogół w historii zdarzało, na jego plecach wyjechał ktoś inny, kto go zawrócił do szeregu.

Często w trakcie mojej pracy na budowie i sporządzania dokumentacji źródłowej dla płac poddawałem się refleksjom, cofając się do historii antycznej Egiptu. Do dzisiaj historycy mają problemy z odtworzeniem technologii powstawania piramid i innych budowli w tym starożytnym państwie. Na przeszkodzie stoi wyobraźnia, oparta na wykopaliskowym wydobywaniu jakichś resztek dokumentacji, sporządzanej przez Egipcjan na papirusie. Kto jednak może mi zaręczyć, że w tych papirusach powstały prawdziwe zapisy? Może to efekt oszukańczej kreatywności przy sporządzaniu tego rodzaju zapisów. W rzeczywistości ówczesni Egipcjanie mogli dysponować technologiami wcale nie ustępującymi naszym współczesnym. Mogli to być nawet jacyś kosmici, którzy wykonali te egipskie obiekty na zlecenie sprytnych Egipcjan. Gdy za kilka tysięcy lat ktoś się dokopie do naszej dokumentacji płacowej na ruinach kwidzyńskiej „Celulozy”, odczyta tyle samo, co my dzisiaj z egipskich papirusów. Czy znowu historia by z nas zakpiła?

Wacław Bielecki

Barokowe i współczesne śpiewanie

Rozmowa

z Anną Mikołajczyk-Niewiedział, sopran*

Wacław Bielecki: Urodziła się Pani niedaleko Olsztyna w Lidzbarku, na Warmii. Proszę opowiedzieć o początkach swojego kształcenia muzycznego.

Anna Mikołajczyk-Niewiedział: Z mojego miasta rodzinnego szybko wyjechałem, bo w Lidzbarku, niestety, nie było wtedy szkoły muzycznej, więc musiałam pojechać do Olsztyna i tam się uczyć w podstawowej i średniej szkole muzycznej.

To naprawdę była bardzo porządna, dobra szkoła. Wiele się tam nauczyłam i bardzo dużo wyniosłam, jeśli chodzi o teorię muzyki, kształcenie słuchu, czytanie nut. Tam też odbywały się moje pierwsze występy z Olsztyńskim Chórem Kameralnym Collegium Musicum prowadzonym przez pana Janusza Wilińskiego. Wykonywałam w nim pierwsze solowe partie w koncertach.

Powraca pani do Lidzbarka?

W Lidzbarku bywam bardzo często z powodów rodzinnych. Razem z moim mężem, który też jest muzykiem (*Marek Niewiedział, obój barokowy – WB*), pomyśleliśmy, że warto ze względu na miejsce, zabytkową architekturę i że stamtąd pochodzę, zorganizować coś na kształt warsztatów, czy małego festiwalu muzycznego. Od siedmiu lat odbywa się taki kurs połączony z festiwalem. Jest to Międzynarodowa Letnia Szkoła Muzyki Dawnej, przede wszystkim dla studentów i uczniów szkół muzycznych. Poziom, zwłaszcza instrumentalny jest dość wysoki. Tworzona jest orkiestra przez profesjonalnych muzyków zajmujących się graniem na instrumentach dawnych w której trzeba sobie nieźle radzić, żeby w niej zagrać. Śpiewacy mają możliwość praktykowania z zespołami muzyki dawnej, szczególnie okresu baroku i klasycyzmu grającymi na zupełnie innych instrumentach, z inną barwą i innym strojem.



Anna Mikołajczyk-Niewiedział, sopran
i José Maria Florêncio Junior, dyrygent,
fot. Wacław Bielecki

Czy oprócz tych letnich warsztatów zajmuje się Pani działalnością pedagogiczną?

W tej chwili staram się intensywnie śpiewać i nie mam czasu na regularne nauczanie. Na razie zdobywam doświadczenie śpiewając w różnych miejscach, w operze, na koncertach z różnymi dyrygentami. Może kiedyś będę mogła przekazać moje doświadczenia, może się to komuś przyda.

Jakie ma Pani związki z filharmonią w Olsztynie? Pytam, bo w Pani CV można wyczytać, że występowała Pani z bardzo wieloma orkiestrami, ale wśród nich nie znalazłem filharmonii z miasta nad Łyną?

Taka była prawda, że rzeczywiście w Olsztynie przez dłuższy czas nie pojawiałam się. Parę lat temu te kontakty odnowiły się i w tej chwili bywam tam, nie często, ale dosyć regularnie. Na przykład, w marcu br. odbędzie się z moim udziałem koncert symfoniczny prowadzony przez prof. Benedykta Błońskiego, kierownika chóru Warmińsko-Mazurskiej Filharmonii z bardzo pięknym utworem - „Te Deum” M.A. Charpentiera.

Śpiewa Pani muzykę dawną, ale także współczesną. Z jednej strony Eurydyka w barokowej operze Ch. W. Glucka, a z drugiej, główna rola we współczesnej operze Madame Curie Elżbiety Sikory wykonana niedawno w Paryżu i Gdańsku. Jak to jest ze śpiewaniem muzyki z tak odległych epok?

Ja rzeczywiście jestem znana z muzyki dawnej, bo bardzo długo mnie to zajmowało tuż po studiach. Natomiast od 4-5 lat to się zmieniło, zdecydowanie pierwszym moim miejscem pracy jest opera. W związku z tym wykonywany przeze mnie repertuar bardzo się zmienił. To jest naturalna kolej rzeczy dla każdego śpiewaka, dlatego że głos się rozwija, organizm dojrzewa, wszystko jakby ewoluuje i powinniśmy to wykorzystywać. W naturalny sposób repertuar mi się poszerzył, głos powiększył, i znalazłam się w operze.

Nawiązując do tego o co pan pytał, muzyka dawna z muzyką współczesną ma – wbrew pozorom – bardzo wiele wspólnego. Mówię tu o estetyce wykonawczej. Ja zawsze preferowałam, nawet wykonując muzykę dawną, śpiewanie jak najbardziej naturalne, jak najnormalniejsze. Nie siliłam się na jakieś proste głosy, nie unikałam żadnej wibracji. W tej chwili też mi to pomaga, bo ja podchodzę do muzyki, jak do muzyki, i patrzę na treść, jaką mam do przekazania, a nie na aparat wykonawczy, bo aparat u śpiewaka jest akurat jeden i tego nie zmienimy. Głos i możliwości mamy takie, jakie nam Pan Bóg dał, a kwestią jest, jak je wykorzystamy.

Gdyby przyszło Pani wybierać, to bardziej lubi Pani dawną muzykę, czy współczesną?

To bardzo trudne pytanie i nie odpowiem na nie jednoznacznie dlatego, że w jednym i drugim nurcie są rzeczy naprawdę piękne do zaśpiewania, jak i brzydkie, więc epoka nie ma znaczenia. Jest to kwestia jakości dzieła, które się wykonuje. Bardzo piękny jest przecież „Don Giovanni” Mozarta, jak i pieśni Szymanowskiego, które nagrałam na płytę. (Rymy dziecięce op.49 i Pieśni księżniczki z bajki op. 33 – WB).

Które własne dokonanie muzyczne uważa Pani za najważniejsze w dotychczasowej karierze śpiewaczki?

Staram się nie patrzeć wstecz i nie podsumowuję jeszcze mojej pracy zawodowej. Mam wrażenie, że stoję przed takimi otwartymi drzwiami i że dużo, dużo jeszcze mnie czeka. Najważniejsze są rzeczy które robię w danym momencie. Zawsze staram się angażować w to co robię i nawet jeśli robię coś, co mi się nawet nie bardzo podoba, to wymyślam tysiące powodów, żeby mi się spodobało. Oczywiście, bardzo ważna była dla mnie płyta z Szymanowskim, bo to było moje marzenie od wielu lat, które się spełniło (bardzo konsekwentnie dążyłam do tego, aby się spełniło) oraz ostatnie wydarzenie - opera „Madame Curie”. To było dla mnie duże, ważne i satysfakcjonujące wydarzenie. Tym obecnie żyję, chociaż już myślę o następnych. Może one będą tymi najważniejszymi? Kto wie?

** Rozmowa została przeprowadzona po koncercie w dniu 25 lutego 2012 r. w którym artystka zaśpiewała znane wokalizy Heitora Villa-Lobosa, Sergiusza Rachmaninowa oraz Wojciecha Kilara z akompaniamentem Elbląskiej Orkiestry Kameralnej, dyrygował José Maria Florêncio Junior.*

M. Ż.

Old Jazz nad Tugą



Jazz nad Tugą, fot. M. Opitz



Jazz nad Tugą, fot. M. Opitz

Ładna nazwa. Jest Jazz nad Odrą, jest Old Jazz Meeting - a w Nowym Dworze Gdańskim mamy Old Jazz nad Tugą. Impreza pod tą nazwą odbyła się w czwartek 16 lutego 2012 r. o godz. 19:00 w sali dwukolumnowej Żuławskiego Parku Historycznego. Na zaproszenie zespołu Fila Band w koncercie wzięli udział świetni muzycy jazzowi, m.in. Przemysław Dyakowski - saksofonista, Grzegorz Sycz - perkusista, Zenon Żelazny - trębacz, Eugeniusz Stasiak - puzonista jazzowy, Szymon Zuehlke - saksofonista, Bartek Krzywda - pianista, klawiszowiec, Jerzy Fila - klarnet, oraz wielu innych uzdolnionych amatorów i zawodowców. Ideą tego koncertu, który odbywa się dorocznie w Tłusty Czwartek, było wspólne granie. Na jednej scenie spotkali się więc seniorzy i młodzi muzycy, którzy dopiero zaczynają swoją przygodę z muzyką.

W repertuarze przeważały standardy jazzowe, które się nigdy nie starzeją. Ale były też improwizacje, bo jak zauważyła pani Monika Opitz, szefowa Żuławskiego Ośrodka Kultury, tym co decyduje o dacie koncertów jest dżem. Nie ma pączków bez dżemu, nie ma porządnego koncertu jazzowego bez jam session. Żarty żartami, ale na scenie wykonawcy bardzo się starali, żeby koncert był udany.

Zastanawiam się, jaka była średnia wieku muzyków. Pewnie wysoka, ale czy to ma jakieś znaczenie? Mogliśmy podziwiać ludzi, którzy kochają grać, uwielbiają to robić... Chwilami przypominał mi się świetny film Wima Wendersa „Buena Vista Social Club”, w którym mogliśmy zobaczyć grających jazz dziadków z Hawany. I tam i tu mogliśmy oglądać ludzi, dla których muzyka jest sensem i treścią życia, którzy grają tak, jakby oddychali. Po prostu.

Koncert poprowadził Jerzy Fila – pierwszy jazzman w Nowym Dworze Gdańskim. Organizatorem koncertu był Żuławski Ośrodek Kultury. Sali użyczył Żuławski Park Historyczny (to podziwu godny przykład udanej współpracy tych dwóch instytucji kulturalnych). Po 21.30 rozpoczęło się jam session, które skończyło się późno w nocy. Koncert oglądało 140 osób. Współorganizatorami byli: Burmistrz Nowego Dworu Gdańskiego, Lokalna Grupa Działania „Żuławy i Mierzeja”, Żuławski Bank Spółdzielczy, Żuławski Park Historyczny, Towarzystwo Kulturalne IWA oraz Klub Nowodworski.

Koncert rozpoczęły słowa z wiersza Mariusza Racy „Jazz-band gra wciąż...”:

„Nie potoczy się żadna łza...
gdy Jazz-band Fila gra
choć serca nasze zranione miłością.
Jazz, chłopcy czują nowoorleański styl
zostaw w domu nudę i spleen
jazz-band zabierze cię w lepszy świat
Jazz-band Fila dla ciebie wciąż gra!

Gdy chandra cię dusi i forsy ci brak
do nowodworskiego Pałacyku przyjdź
baw się z nami, francuskie wino pij
gdy jazz-band gra – zabawa trwa!
Nawet łamaga staje się królem parkietu.

JAZZ-BAND FILA DLA CIEBIE WCIĄŻ GRA...”

Niech się spełnią słowa autora – niech grają nam jazzmani! A Żuławski Park Historyczny wydaje się być najlepszym miejscem na tego rodzaju artystyczne prezentacje, oby częściej i więcej.

Barbara Sosnowska

Apetyt na malowanie

Dzięki pasji życie ludzkie nabiera barw, jest lepiej przeżyte, bogatsze. W przypadku Elżbiety Zachorowskiej zdolności plastyczne i chęć malowania ujawniły się już w dzieciństwie, a pasja malarska towarzyszy jej przez całe życie. Rysowała i malowała „od zawsze”, ale po maturze zdecydowała się swoją pasję przemienić w zawód – ukończyła Studium Nauczycielskie o profilu plastycznym i zawodowo zajęła się kształceniem plastycznym młodych ludzi w szkole podstawowej, w Domu Kultury, w Liceum Pedagogicznym. Jednocześnie nie zaniedbała własnego rozwoju artystycznego. Wraz z grupą kwidzyńskich nauczycieli w latach 60. ub. wieku utworzyła koło plastyczne, pracujące pod kierunkiem Stanisława Lipienia. Są pełni zapału i pomysłów, dzielą się doświadczeniem, bardzo dużo malują i wystawiają w kwidzyńskich kawiarniach, klubach i Domu Kultury.

Ten okres intensywnego uprawiania malarstwa zostaje przerwany, gdy pani Elżbieta przenosi się do Gdańska, gdzie podejmuje studia na Uniwersytecie Gdańskim, wychodzi za męża, wychowuje dzieci. Do Kwidzyna powraca po 10 latach. Podczas jej nieobecności środowisko plastyczne okrzepło. Dawne koło przeniosło swą działalność do Miejskiego Domu Kultury, gdzie kierował nim Mieczysław Potreć. Umiejętność popularyzowania malarstwa i talenty pedagogiczne pana Mieczysława sprawiły, że przyciągnęło bardzo wielu miłośników malarstwa. Pod okiem instruktora poznawali arkany rzemiosła artystycznego. Pani Ela wspomina, że ten okres jej życia był wypełniony wyteżoną pracą malarską, plenerami, wystawami, wyjazdami w rozliczne zakątki Polski i do zaprzyjaźnionych z Kwidzynem miast w Niemczech i Szwecji.

Z czasem koło plastyczne przekształciło się w Stowarzyszenie Miłośników Malarstwa KONTRASTY, które prężnie działa do dziś. Od ośmiu lat organizuje plenery malarskie w Sadlinkach koło Kwidzyna, na które przyjeżdżają malarze z całej Polski a także z zagranicy - Niemiec, Ukrainy i Szwecji. Każdy z plenerów kończy się wystawą i trzeba przyznać, że zarówno tematyka obrazów jak i techniki malarskie są bardzo różnorodne i ciekawe.

W życiu malarki był okres, gdy pochłonęło ją macierzyństwo, rodzina, a zwłaszcza praca zawodowa. Dopiero po przejściu na emeryturę na dobre wróciła do malowania. Uzupełniła wykształcenie plastyczne, kończąc profesjonalny kurs rysunku i malarstwa pod okiem artystów z Wyższej Szkoły Plastycznej w Gdańsku. Malarstwo tak jak w dzieciństwie i młodości nadal

jest jej pasją. Czerpie z niego wiele radości i zadowolenia. Do swoich niewątpliwych sukcesów może zaliczyć trzy wystawy indywidualne i udział w siedmiu wystawach zbiorowych.

Tematyka prac pani Elżbiety jest różnorodna. Bardzo lubi malować pejzaże: - urzeczona naturą chciałabym utrwalić na płótnie najpiękniejsze widoki – mówi. Ostatnim jej dziełem jest cykl obrazów zatytułowany „Liwa” wystawiony na początku 2012 roku, m.in. w Kwidzyńskim Centrum Kultury i w Galerii Christ-Dent w Kwidzynie. Te obrazy olejne na płótnie ukazują krajobrazy z rzeką w centrum. Są to niemal baśniowe, pięknie oddane widoki przyrody o różnych porach roku i dnia, w różnym świetle od mglistego poranka po zapadający zmierzch... Tajemniczy, prawie nierzeczywisty, baśniowy klimat uchwyciła malarka przede wszystkim na dwóch obrazach. Jeden przedstawia leśny zakątek, gdzie wśród wysokich drzew wiję się rzeka, a mrok rozjaśniają przebijające się przez drzewa promienie słońca oświetlając kępę traw rosnącą na brzegu. Drugi obraz z cyklu „Liwa”, który mnie szczególnie urzekł. Przedstawia poranek nad rzeką. Snują się jeszcze mgły, na trawie skrzy się szron, a niebo przybiera delikatne kolory – od jasnego błękitu przez żółć po subtelny róż. W mistrzowski sposób oddane zostało lustro wody odbijające światło i nadrzeczną roślinność.

Pani Elżbieta mówi, że preferuje malarstwo realistyczne. Mistrzami w przedstawianiu natury są dla niej Rosjanie, zwłaszcza Lewin i Szyszkina, czy współcześni malarze Igor Sacharow i Jewgienij Burjakin. Uwielbia malować zamglone krajobrazy, światło budzącego się dnia, rozpraszające się wśród drzew promienie słoneczne – jednym słowem w jej realistycznym obrazie przyrody zawsze jest trochę magii.

Inny bliski artystce cykl tematyczny obrazów to „Dwory polskie”. Zaczął on powstawać dwa lata temu, kiedy pani Ela zobaczyła w zabytkowym dworze w Charsznicy, niegdyś domu rodzinnym swojej matki, zdjęcia zdobiące wnętrza adwokatów polskich. Odezwała się plastyczna wrażliwość malarki, która uznała, że w tym miejscu powinny wisieć obrazy utrzymane w XIX stylu. I tak się stało. Powstał cykl zatytułowany właśnie „Dwory polskie”. Są wśród nich dwory w Żelazowej Woli, Perkozach, Woli Okrzejskiej, Lublinie a także bliższy, znany Kwidzynianom dworek w Białym Dworze. Urocze, typowo polskie dwory szlacheckie ukazane są na tle przyrody, z ganeczkami, kolumnienkami, cieszą oczy i przybliżają szlachecką przeszłość.

Jest jeszcze cykl „Konie”, a wśród nich obraz ukazujący stadko galopujące we mgle. Doskonale oddany został ruch i uroda koni - ich smukłe, umięśnione sylwetki wyłaniają się spośród delikatnej mgły. Pastelowe, jasne kolory podkreślają urok tej sceny.

Pani Elżbieta próbuje swych sił w jeszcze jednej tematyce, choć jak sama mówi, nie jest jeszcze w tym dostatecznie dobra. Mianowicie maluje portrety. Spodobał mi się zwłaszcza portret jej matki. Jest to pastel utrzy-

many w srebrzystoszarej tonacji, ukazujący lekko pochyloną głowę starej kobiety. Na monochromatycznym tle wyróżnia się cielisty kolor twarzy z pięknie wysklepionym czołem, z jednej strony złoście oświetlonym. Burza siwych, upiętych w kok włosów okala tę twarz. Portret namalowany z miłością uwiecznia ślady minionej urody i dostojęstwo postaci. Malarka, jak sama mówi, nie chce malować z fotograficzną dokładnością. Jej celem jest oddanie nastroju portretowanej osoby, jej najważniejszych cech osobowości. Tak się składa, że znałam modelkę i mogę powiedzieć, że córce udało się wydobyć na portrecie osobowość matki.

Drugi z portretów, który zwrócił moją uwagę to „Zaduma”, czarno-biały pastel, autoportret. Grubą kreską podkreślone bruzdy na czole, cienie pod oczami, spojrzenie w głąb siebie ilustrują zadumę. I tu ciekawy jest sposób ujęcia twarzy – po przekątnej, fragmentarycznie, bo przecież nie chodzi o fotografię, ale o oddanie nastroju chwili.

Dorobek malarski Elżbiety Zachorowskiej jest bogaty. Śledząc jej twórczość można dostrzec jak doskonaliła ona swój warsztat plastyczny i wzbogacała tematykę. Jeśli chodzi o techniki malarskie, to próbowała wielu. Ze śmiechem wspomina, jak w latach 60. w grupie nauczycieli-plastyków sami przygotowywali sobie farby, mieszając wcześniej przygotowany z mąki klajster z sypkimi farbami, jakich kiedyś używali malarze pokojowi. Efekt malowania takimi farbami był łatwy do przewidzenia – farby błyskawicznie ciemniały, a ich powierzchnia szybko pękała. Potem były gotowe, sprzedawane w specjalistycznych sklepach farby olejne, jeszcze później akryle.

Pani Elżbieta doskonale opanowała jakże trudną technikę akwareli. Maluje też pastelami. Cały czas eksperymentuje i poszukuje. Ciągłe ma apetyt na malowanie i nowe pomysły.

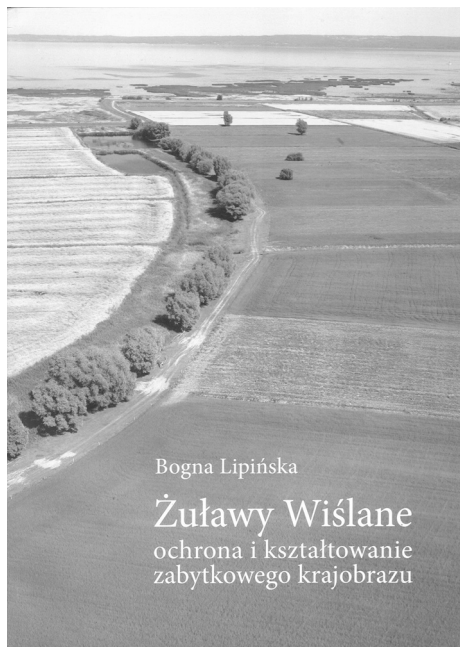
Wacław Bielecki

Krajobraz żuławski

Bogna Lipińska, Żuławy Wiślane – ochrona i kształtowanie zabytkowego krajobrazu. Nowy Dwór Gdański, Gdańsk 2011, Stowarzyszenie Żuławy.

Już na samym początku prezentacji tej kolejnej publikacji Stowarzyszenia Żuławy z Nowego Dworu Gdańskiego chciałbym przestrzec potencjalnych czytelników, że jej lektura nie jest łatwa, a to dlatego, iż jest to dokładnie odtworzona rozprawa doktorska Bogny Lipińskiej obroniona w 1986 roku na Wydziale Architektury Politechniki Krakowskiej. Promotorem był prof. Janusz Bogdanowski. Pewne trudności związane z percepcją pracy wynikają ze specyficznego, tzw. naukowego języka oraz formalnych wymagań, jakie musi spełnić taka rozprawa. Dużo tu różnych, precyzyjnych definicji, przypisów oraz odwołań do obszernej literatury w języku polskim i niemieckim. W pracy znajdują się też liczne mapy, rysunki, schematy oraz fotografie autorki i Marka Opitza, obrazujące szczegółowe problemy.

Ponieważ głównym tematem publikacji jest krajobraz żuławski, B. Lipińska zaczyna od podstawowego pytania: co to jest krajobraz? - i przytacza jej zdaniem - definicję najprostsza, podstawowa i zrozumiała: krajobraz jest fizjonomią środowiska. (s.5) Potem autorka zajmuje się położeniem i granicami Żuław Wiślanych, dzieląc je na dwie części: Żuławy lewobrzeżne, zwane Żuła-



wami Gdańskimi lub Steblewskimi oraz Żuławy prawobrzeżne, gdzie wyróżnia Wielkie Żuławy Malborskie (w delcie Wisły), Małe Żuławy Malborskie (po prawej stronie Nogatu), Żuławy Elbląskie i Żuławy Szkarpskie.

Krótką historią Deltę Wisły to temat kolejnego rozdziału omawianej książki. Lipińska zaczyna od średniowiecza, by przez czasy panowania zakonu krzyżackiego, rządy polskie i czasy porzoborowe, dojść do czasów najnowszych. Autorka stwierdza, że po zatopieniu całego

terytorium Deltę przez wojska niemieckie, zniszczono dotychczasowy, wielowiekowy dorobek, a Żuławy na pewien czas powróciły do stanu nieomalże pierwotnego. Podjęte starania o osuszenie dały w miarę szybko zadawalające efekty, jednakże działania wojenne przyniosły katastrofalne i nieodwracalne skutki. Było to pozbawienie tego terenu dotychczasowych mieszkańców i ich specyficznej kultury, dlatego po II wojnie światowej Żuławy stały się na zawsze inne pod względem społeczno-kulturowym. Nastąpiła całkowita wymiana ludności i jednocześnie wymieszanie kultur, gdyż przybysze napływali tu z wielu stron. Niesłuchanie trudnym zadaniem było uchronienie zasobu kulturowego Żuław od zniszczenia bez naturalnej więzi, jaką jest przywiązanie emocjonalne do ziemi swoich przodków. Dokonało się marnotrawstwo możliwości ziemi żuławskiej i jej piękna. Domy, zabudowania i inne dobra w ogóle nie były szanowane jako „obce”, „poniemieckie”. Krajobraz Żuław został też częściowo zniszczony przez lokalizację ogromnego kompleksu Rafinerii Gdańskiej, częściowo zaplecza Portu Północnego na polderach żuławskich oraz składowisko fosfipsów.

Przedstawione cztery pierwsze rozdziały książki tworzą zaledwie wstęp do kolejnych, zasadniczych części rozprawy, które opisują specyfikę krajobrazową Żuław, odczytują zapis historii w tym krajobrazie, dokonują inwentaryzacji oraz przedstawiają modelowe jednostki

historyczno-krajobrazowe Deltę Wiśły. Rozprawę kończy próba syntezy poświęcona tradycyjnym zespołom krajobrazowym Żuław oraz rejestr dotyczący charakterystyki wszystkich miejscowości, a jest ich aż 272. Autorka dokonała drobiazgowej inwentaryzacji, miejscowości podając o każdej takie dane, jak: czas powstania, narodowość osadników, rodzaj zajęcia mieszkańców oraz fachową charakterystykę wsi w zakresie rozplanowania przestrzennego, czyli znaczącego elementu w otaczającym ją krajobrazie, i inne.

O wysokim stopniu szczegółowości opisu świadczą rodzaje wsi wymienione w pracy. Są one najpierw skatalogowane jako wsie: zwarte, skupione i rozproszone, a następnie przypisane do różnych form rozplanowania, aż w 17 odmianach, przykładowo takich: wieś ulicówka, ulicówka wodna, ulicówka jednostronna, owalnica, wieś ulicowo-placowa, sakowa, półwieś przywałowa, wielodrożnica, łańcuchówka, rzędówka, w tym rzędówka na „terpach”, czyli sztucznie usypanym pagórku, przysiółek placowy i ulicowy, zabudowa jednodworcza, folwark żuławski.

Na podstawie wspólnych i charakterystycznych elementów poszczególnych wsi autorka dokonała ich klasyfikacji i przyporządkowała do dwudziestu dwóch modelowych jednostek historyczno-krajobrazowych Deltę Wiśły. Na przykład, wsie Parszewo, Nowy Staw i Koźliny zostały przypisane do modelu II, czyli - wiosek związanych z większym folwarkiem chłopskim lub też jako

wsie pańszczyźniane. W modelu III – wieś kmieca w formie owalnicy, duża, rozłóg niwowo-łanowy – znalazły się Lasowice Wielkie, Stara Kościelnica, Marynowy, Tuja, Lubstowo i Świerki. Wsie kolonijne oraz rybackie w formie szeregowki przywałowej – model XV – to Kępa Rybacka, Stare Nowakowo i Osłonka.

Powyższa klasyfikacja doprowadziła autorkę do końcowych wniosków i syntezy. Jest nią wyłonienie aż 26(!) regionów krajobrazowych na Żuławach Wiślanych. Zdaniem B. Lipińskiej świadczy to – wbrew utartej opinii – o silnej różnorodności krajobrazowej tej krainy. Nie sposób tu przytoczyć wszystkich nazw owych regionów, ale znajdują się tu, m.in.: Zespół VII – ciąg rzeki Motławy, XI – rejon wsi przewoźnych usytuowanych wzdłuż Nogatu oraz rzeczek jęgo delty, XIV – rejon siedemnastowiecznego osadnictwa „olęderskiego” typu rozproszonego w rejonie miejscowości Jegłownik, XIX – Jezioro Druzno, XXII – wieś Kącik, XXIII – terytorium dawnej gminy mennonickiej – wieś Stogi. Jednym słowem, autorka dowodzi, że krajobraz Żuław nie jest taki monotony i jednorodny, jak się powszechnie uważa. Jest to krajobraz dla konesera. (s.46)

Publikacji przyświecały cele praktyczne, to znaczy udzielenie odpowiedzi na pytanie, w jakim kierunku

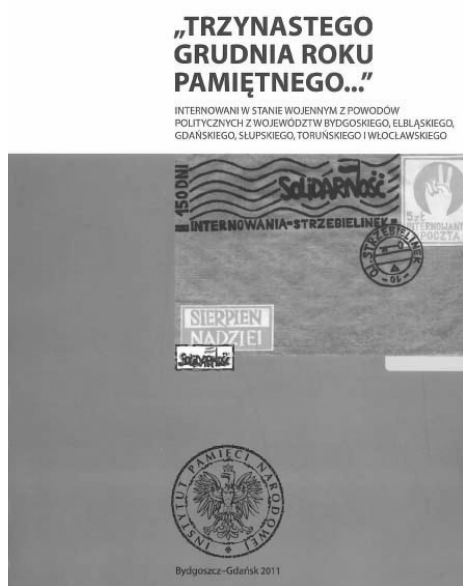
powinny iść współczesne przekształcenia, aby maksymalnie zachować bogactwo różnorodności kulturowej i krajobrazowej Żuław Wiślanych. Jest to, zdaniem Lipińskiej, ważne przy podejmowaniu administracyjnych decyzji lokalizacyjnych oraz decyzji dotyczących ochrony wartościowego krajobrazu kulturowego. Autorka kończy rozprawę rozważaniami na temat, jaki powinien być krajobraz jutra na Żuławach, krainie, gdzie wartością nadrzędną jest unikatowy w skali kraju system krajobrazu, stworzony wspólnie przez przyrodę i człowieka.

Myślę, że te ostatnie rozważania, jak i całą pracę, powinni uważnie przestudiować wszyscy ci, którzy podejmują wszelkie decyzje dotyczące zmian w krajobrazie Deltę Wisły. Dobrze byłoby, aby publikacja trafiła do wszystkich 272 miejscowości znajdujących się na Żuławach oraz do wszystkich zajmujących się tą ziemią decydentów w Gdańsku, Elblągu, Olsztynie i stolicy. Rozprawa dr Bogny Lipińskiej, choć napisana ćwierć wieku temu i niełatwa w lekturze, na pewno będzie też chętnie czytana przez osoby interesujące się Żuławami Wiślany.

Andrzej Lubiński

Internowani w stanie wojennym

„Trzynastego grudnia roku pamiętnego”. Internowani w stanie wojennym z powodów politycznych z województw bydgoskiego, elbląskiego, gdańskiego, słupskiego, toruńskiego i włocławskiego. Bydgoszcz – Gdańsk 2011, Instytut Pamięci Narodowej.



W ostatnich latach ukazało się kilka znaczących publikacji o wprowadzeniu stanu wojennego. W literaturze podaje się, że od 13 grudnia 1981 do 22 lipca 1983 internowano w całym kraju ponad 10 tysięcy osób. Autorzy prezentowanej książki postanowili zweryfikować dane archiwalne, jakie są w posiadaniu Instytutu Pamięci Narodowej w Gdańsku, dotyczące dawnych województw: bydgoskiego, elbląskiego, gdańskiego, słupskiego, toruńskiego i włocławskiego.

Przygotowania do wprowadzenia stanu wojennego rozpoczęły się już jesienią 1980 roku. Lista osób przeznaczonych do internowania była przygotowywana przez III i IV Wydział Komendy Wojewódzkiej MO. Ulegała ona ciągłym zmianom. Nosiła początkowo kryptonimy „Wrzos”, później „Jodła” i „Klon”. Dwa pierwsze miały obejmować osoby przeznaczone do internowania, ostatni miał na celu wytypowanie osób, z którymi miano przeprowadzić rozmowy ostrzegawcze. Wyznaczono również zakłady karne, gdzie miano umieścić przeciwników władz. Dla tych województw były to: Kamińsk, Strzebielinek, Iława, Kwidzyn, Potulice, Mielęcin. Z więzienia w Kamińsku zrezygnowano, ponieważ 6 listopada 1981 roku wybuchł tam bunt więźniów i zakład został przez nich podpalony. Bezpośrednie przygotowania do przeprowadzenia akcji pozbawienia wolności osób zaangażowanych w działalność solidarnościową przypadł na miesiące październik - listopad 1981 roku. Prezentowana książka podaje 840 nazwisk internowanych z sześciu województw. Wszystkich nazwisk nie udało się ustalić, ponieważ nie zachowały się listy osób internowanych lub przeznaczonych do internowania.

Czytelnikom „Prowincji” należy szczególnie przybliżyć dane dotyczące internowanych z województwa elbląskiego. Ogłoszenie stanu wojennego w tym województwie wywołało akcje strajkowe w 10 zakładach. Największe strajki odbyły się w elbląskim Browarze i Zamechu oraz malborskim Makopie. Przywódców skazano na kary więzienia. Największa manifestacja przeciw wprowadzeniu stanu wojennego miała miejsce 18 grudnia w Elblągu. Jej inicjatorzy również dostali wyroki sądowe.

Członkowie „Solidarności” z województwa elbląskiego byli internowani w Iławie, a później w Kwidzynie. Ośrodek w Iławie istniał od 13 grudnia 1981 do 28 czerwca 1982 roku. Panujące tam warunki były bardzo ciężkie. Internowanych traktowano jak więźniów, skazanych za przestępstwa kryminalne, a funkcjonariusze byli brutalni i ordynarni. Osadzeni działacze „Solidarności” wydawali biuletyn „Nasza Krata”, prowadzili także wykłady naukowe, śpiewali pieśni patriotyczne, uruchomili własne radio. Od kwietnia 1982 złagodzano rygory pobytu.

Największą grupę internowanych z Iławy skierowano od czerwca 1982 roku do Kwidzyna. Tu już wcześniej przebywali internowani z różnych części kraju, najczęściej byli to etatowi pracownicy Solidarności. Więźniowie cieszyli się tutaj większą swobodą poruszania. Każdego 13 miesiąca organizowali symboliczne manifestacje z okazji stanu wojennego. W wolnym czasie wykonywano stemple, broszury itp. Najwięk-

szym wydarzeniem w Kwidzynie był bunt więźniów 14 sierpnia 1982 roku brutalnie stłumiony przez funkcjonariuszy ze sztumskiego więzienia. Szczegóły tego wydarzenia opisane są w książce Bogusława Kazimierza Gołąba i Władysława Kałudzińskiego pt. „Kwidzyn. W niewoli brata mego” (Olsztyn 2005).

Dokładnej liczby internowanych z województwa elbląskiego nie udało się ustalić. W prezentowanej książce podaje się 67 osób. Z terenu Powiśla i Żuław internowano 23 osoby, w tym z Kwidzyna 8, Malborka 11, Sztumu 3, Nowego Dworu 2. Warto przypomnieć te nazwiska, bo nie chodzą w nimbie męczenników i pozostały skromnymi do dziś. Są to: Jerzy Bohdanowicz, Jan Chojnacki, Andrzej Czyżewski, Henryk Frankowski, Mirosław Górski, Zygmunt Grabowski, Alojzy Lech Kaczmarek, Stanisław Kalinowski, Jacek Kopisto, Jerzy Kosacz, Leszek Koszytkowski, Józef Kudła, Andrzej Laskowski. Marek Milejski, Benedykt Nowak, Witold Piotrowski, Edward Reimus, Romuald Rewiński, Bogdan Siemionow, Longin Wiśniewski, Karol Wojtaszczyk, Andrzej Wypych, Jerzy Wzorek, Stanisław Zachara, Zdzisław Zajac.

Odrębnym zagadnieniem jest problem internowanych z województwa elbląskiego i osadzonych w wojskowych obozach odosobnienia w Czerwonym Borze, Unieście, Czarnem i Rawiczu. W dniach 4 - 5 listopada 1982 roku trafiło tam około 1,5 tysiąca związkowców. Wiadomo też, że 337 działaczy z elbląskiego osadzono w Chełmnie nad Wisłą. Ten problem wymaga jeszcze dokładniejszych badań.

Autorom niniejszego opracowania: Krzysztofowi Osińskiemu, Karolowi Nawrockiemu, Arkadiuszowi Kazińskiemu, Igorowi Hałagidzie, Przemysławowi Wojtowiczowi, Katarzynie Maniewskiej należą się słowa uznania za przybliżenie czytelnikowi problematyki wielkiego ruchu spo-

łecznego, jakim była „Solidarność”. Należy tu wspomnieć, że opracowanie informacji dotyczących internowanych z województwa elbląskiego zostało przygotowane przez młodego historyka - Karola Nawrockiego z Instytutu Pamięci Narodowej w Gdańsku.

Leszek Sarnowski

Dzieje elbląskiej „Solidarności”

Karol Nawrocki, Zarys historii NSZZ „Solidarność” regionu elbląskiego 1980-89, IPN Gdańsk 2010.

Karol Nawrocki, Wokół elbląskiej „Solidarności”. Dokumenty, IPN Gdańsk 2011.

Elbląska „Solidarność” nie miała do tej pory szczęścia do monograficznych opracowań historycznych. W ciągu ostatniego roku udało się jednak sporo w tej kwestii nadrobić, a to za sprawą Instytutu Pamięci Narodowej Komisji Ścigania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu Oddział w Gdańsku. Najpierw w 2010 roku wydano Zarys historii NSZZ „Solidarność” regionu elbląskiego 1980-89, a pod koniec grudnia 2011 drugą część tego opracowania pod tytułem Wokół elbląskiej „Solidarności”. Dokumenty. Oba opracowania autorstwa Karola Nawrockiego, młodego historyka z gdańskiego oddziału IPN. Promocja drugiej części tego opracowania odbyła się w połowie stycznia tego roku w historycznej sali BHP Stoczni Gdańskiej, w której podpisano Porozumienia Sierpniowe w 1980 roku. Miejsce jak

najbardziej właściwe dla tego rodzaju działań, tym bardziej, że do tej pory dzieje elbląskiej „Solidarności”

Autor pokazuje też wiele trudności z którymi borykały się „solidarnościowe” struktury regionu. Jednym z nich były problemy wynikające ze słabej integracji województwa elbląskiego, istniejącego dopiero od 1975 roku. Owocowało to choćby tym, że związkowcy z Kwidzyna, Malborka i Sztumu kwestionowali wręcz swoją przynależność do elbląskich struktur związkowych i część komisji zakładowych z tych miast rejestrowała się w Gdańsku. Te działania odśrodkowe widoczne były również po reaktywowaniu się związku w 1989 roku.

Innym problemem, który autor konsekwentnie ujawnia to sprawa inwigilacji struktur związkowych przez SB, która niestety była dość skuteczna w pozyskiwaniu tajnych współpracowników wśród działa-

czy związku, szczególnie w okresie stanu wojennego. Wprowadziło to sporo zamieszania w szeregach elbląskich związkowców, bo pokazało dużą otwartość i spolegliwość opozycji wobec SB, a także ujawniło słabość struktur i siłę aparatu bezpieczeństwa. Dzięki tej książce wiedza o wielu osobach, uchodzących do tej pory za nieugiętych działaczy będzie musiała zostać zweryfikowana.

Autor podkreśla olbrzymią rolę jaką w budowaniu elbląskiej opozycji po wprowadzeniu stanu wojennego odgrywał Edmund Krasowski, który konsekwentnie organizował podziemne struktury związku narażając się na wiele represji, podkreślając także rolę Elżbiety Duszak w budo-

waniu podziemnej prasy oraz wielu innych działaczy, o których roli do tej pory niewiele wiedzieliśmy.

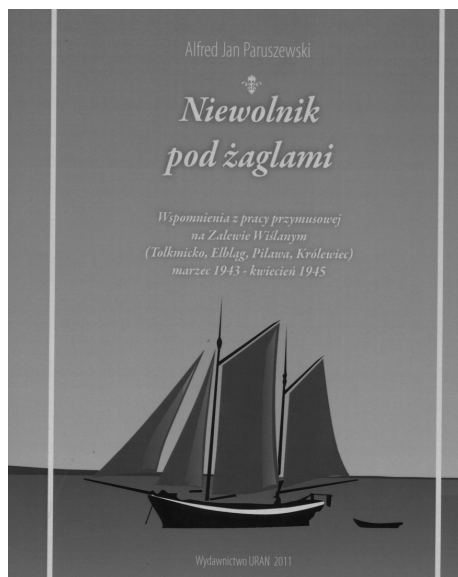
To rzetelna analiza oparta na dokumentach źródłowych oraz rozmowach ze świadkami historii i zarazem pierwsza tego rodzaju publikacja prezentująca historię „Solidarności” byłego województwa elbląskiego. Najwięcej jest tu oczywiście informacji o Elblągu, ale pojawiają się też wieści z regionu, z Kwidzyna, Sztumu, Malborka, Nowego Dworu Gdańskiego. To tylko zarys, jak sugeruje autor, zatem można mieć nadzieję, że doczekamy się pewnie bardziej kompleksowego spojrzenia na dzieje „Solidarności” całego regionu elbląskiego.

Tomasz Agejczyk

Niewolnik pod żaglami

Alfred Jan Paruszewski, „Niewolnik pod żaglami”. Wspomnienia z pracy przymusowej na Zalewie Wiślanym (Tolkmicko, Elbląg, Piława, Królewiec) marzec 1943 – kwiecień 1945. Elbląg 2011, Wydawnictwo URAN.

Jest to chyba pierwsza książka wspomnieniowa Polaka pracującego podczas wojny na Zalewie Wiślanym i to w okresie od 1943 do 1945 r. Autor, jak sam o sobie mówi, Niewolnik z literą „P”, od lat mieszkający w Elblągu, opisał swoje przeżycia z czasów dzieciństwa i wczesnej młodości w latach międzywojennych, a także



trudne i burzliwe lata okupacyjne spędzone początkowo w rodzinnym domu, a potem na robotach w Niemczech (marzec 1943-maj 1945). Jako robotnik przymusowy pracował w Elblągu, m.in. w fabryce „Artur Sprich” i na statkach towarowych, pływających po wodach Zalewu Wiślanego w tych dramatycznych, wojennych latach. W końcowym okresie wojny, gdy sytuacja zmieniała się, autor z towarzyszami niedoli musieli przejść przez całe wyniszczone Prusy Wschodnie pod eskortą czerwonarmistów, przeżywając gehennę: „chodząc po zaoranych polach nakładaliśmy sporo drogi; wieczorem, zmęczeni, zasypialiśmy przy ognisku (...) Umierali i starsi, wyczerpani pracą dla okupanta, a teraz pędzeni jak bydło przez setki kilometrów spustoszonego kraju”.

W książce spotykamy różnych Polaków: zwykłych szmuglerów, którzy z narażeniem życia przekraczają granicę Generalnej Guberni, partyzantów walczących z okupantem, czy też bandytów, którzy napadają na swoich rodaków. Niemców autor przedstawił, m.in. na przykładzie

zagorzałego hitlerowca szypra Wulfa z Tolkmicka, bauerów wybierających Polaków do pracy niczym bydło na targu, czy też żołnierzy Wehrmachtu, przebijających się w cywilne ubrania dla udawania polskich robotników. Nie można zapomnieć również o Rosjanach, czerwonoarmistach terroryzujących cywilną ludność...

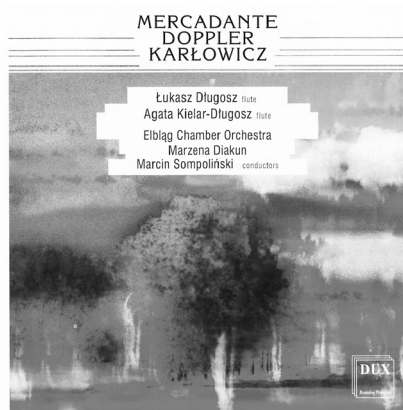
Książka napisana została w sposób przystępny, ciekawy i nie pozbawiony humoru, który natychmiastowo przemawia do czytelnika i zmusza go do przeczytania, aż do ostatniej kartki. Pierwszym i najważniejszym atutem tych wspomnień jest szczerść i autentyzm autora. Nie ma w tym tekście politycznej poprawności, nie ma uproszczeń, zakłamujących przeszłość. Jest to wyjątkowo cenne źródło historyczne, wzbogacające naszą wiedzę na temat wojennych dziejów Elbląga, Tolkmicka, Krynicy Morskiej, Królewca, ale też Nowego Dworu Mazowieckiego. Wspomnienia te są tak niezwykle, jak niezwykle i burzliwe były wojenne losy niewolnika pod żaglami - Alfreda Paruszewskiego.

Wacław Bielecki

Płyty debiut Elbląskiej Orkiestry Kameralnej

Elbląska Orkiestra Kameralna w piątym roku swojego istnienia doczekała się pierwszego nagrania na płycie CD. Zespół występuje na niej w dwóch rolach. Najpierw jest to rola akompaniatora. W wypełnianiu jej orkiestra jest świetna. Widać, a raczej słychać bardzo dobre porozumienie między znakomitymi solistami a orkiestrą prowadzoną uważnie i z ogromnym wyczuciem przez Marzenę Diakun.

Kompozytor *Koncertu e-moll na flet i orkiestrę*, Saverio Mercadante, w swoim życiu nie miał zbyt dużo muzycznego szczęścia. Napisał aż 60 oper, dzisiaj zupełnie zapomnianych. Natomiast koncert fletowy powstały około 1818-1819 roku dla orkiestry studenckiej, którą prowadził w konserwatorium w Neapolu, to po prostu perełka muzyczna. Do popularyzacji utworu w czasach współczesnych przyczynił się znakomity francuski wirtuoz Jean-Pierre Rampal. Trzeba zauważyć, że wykonawca tego dzieła, Łukasz Długosz, zdobył II nagrodę na 8 Międzynarodowym Konkursie im. Jean-Pierre'a Rampala w Paryżu w 2008 roku. Gra Łukasza Długosza to pokaz oszołamiającej wirtuozerii. Zachwyca i zdumiewa łatwość i lekkość z jaką wykonuje najszybsze przebiegi dźwięków, za-



wrotne pasaże, partie melodyczne i figuracje. Tego chce się po prostu słuchać.

Kolejny kompozytor, pochodzący ze Lwowa Albert Franz Doppler działał w Budapeszcie i w Wiedniu, gdzie był pierwszym flecistą Opery Dworskiej i profesorem w konserwatorium. Próbował także kompozycji dzieł instrumentalnych, napisał i wystawił z powodzeniem kilka oper oraz stworzył muzykę do 15 baletów. Wielu osobom nazwisko Dopplera kojarzy się ze zlecanymi przez lekarzy, m.in. -kardiologów dość uciążliwymi badaniami serca. Można powiedzieć, że utwory fletowe Dopplera także chwytają za serce, ale swoją przepiękną melodyką. Pierwszy duet, *Andante i Rondo op. 25* to jakby koloraturowa aria w stylu belcanto, a drugi *Duettino hongrois op. 36*, to tańce

węgierskie z czardaszem w stylu V. Montiego. W oryginale zostały one napisane na dwa flety z akompaniamentem fortepianu. Drugą flecistką podczas nagrania w Elblągu była Agata Kielar-Długosz, pracująca w Akademii Muzycznej w Krakowie, a prywatnie żona Leszka Długosza. Nic więc dziwnego, że jest to duet idealnie zgrany. Partie obu fletów są nieskazitelnie czyste i wyrównane, a współbrzmienie często występujących tu dźwięków określa się terminem *dolce* lub *dolcissimo*, czyli „słodko” lub „bardzo słodko.”

Utrwalona na płycie *Serenada na smyczki op. 2* Mieczysława Karłowicza została wykonana po raz pierwszy w Berlinie w 1897 r. na popisie uczniów profesora Heinricha Urbana do których należał kompozytor (a kilkanaście lat wcześniej I. J. Paderewski). Elbląska Orkiestra Kameralna wystąpiła w tym utworze w drugiej roli, samodzielnego wykonawcy. Ten czteroczęściowy utwór słyszałem w wykonaniu elblązan na żywo kilka miesięcy wcześniej. Wtedy wykonanie bardziej mi się spodobało. Utwór zagrany jest dobrze, ale – moim zdaniem – brakuje w nim nieco „młodopolskiej” zwiewności

oraz wewnętrznego żaru w przekazie muzyki. A może wykonawcom po prostu zabrakło słuchaczy, bowiem nie każdy artysta i zespół dobrze się czuje tylko przed mikrofonami. Występ przed publicznością jest z reguły stresujący, ale jednocześnie stres bywa wyzwalający i uskrzydlaający muzyków.

W sumie można powiedzieć, że pierwsza płyta nagrana przez Elbląską Orkiestrę Kameralną jest całkiem udana. Warto ją mieć w swojej kolekcji.

Saverio Mercadante, *Koncert e-moll na flet i orkiestrę*;

Albert Franz Doppler, *Andante i Rondo op. 25 i Duettino hongrois op. 36 na dwa flety*, Łukasz Długosz, flet; Agata Kielar-Długosz, flet; Elbląska Orkiestra Kameralna, Marzena Diakun, dyrygent;

Mieczysław Karłowicz – *Serenada na smyczki op.2*, Elbląska Orkiestra Kameralna, Marcin Sompoliński – dyrygent.

Maciej Kraiński

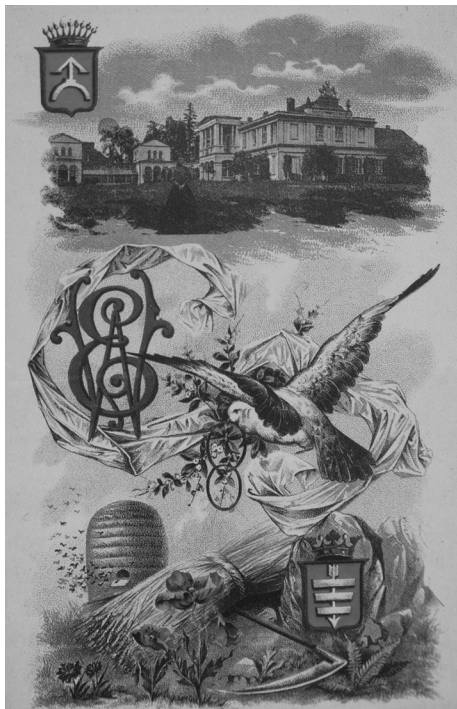
Szarża kebaba. Islam idzie!

Na nic zdały się heroiczne wysiłki Karola Młota pod Poitiers w 732 roku naszej ery. Świat arabski przycupnął na czas jakiś, by przy pierwszej nadarzającej się okazji uderzyć butnych Europejczyków po słabiźnie. Uśpieni mickiewiczowską Alpuharą, w przekonaniu wyniszczającej roli zarazy w Granadzie, usnęliśmy w błogim przekonaniu sukcesu „już na zawsze”.

A tu siurpryza. Początkowo harcownik zwany z arabska „al-kohol”, z łacińska „aquavitea”, a po naszymu „okowita”, rozluźnił szeregi Lechitów-obrońców zniewalając mózgi i członki - taka islamska V kolumna. Języki niewyraźnie artykułowały okrzyki bojowe. Wraży łucznicy wysunęli się przed szereg i równo szyc zaczęli, rozluźnione szeregi wojsk

naszych, szaszłykami wołowymi i baraniami - a i cielęcinka tu i ówdzie świśnieła złowieszczco. Z flanki zaszła lotna kawaleria na konikach „kus-kus”. Cios ostateczny zadał hufiec liczny i sprawny „kebabami” zwany. Reporter wojenny Długosz tak by spuentował: „Kebaby dokonały reszty. Kwiat rycerstwa polskiego trupem zasłał pole bitewne.”

Na wieczną pamiątkę wygranej bitwy zwycięzcy instalują w każdym zakątku naszych miast i miasteczek pomniki chwały swej odwiecznej zwane „Kebab Hause”. Obraz klęski jest przerażający. Tłum łysych, potężnie zbudowanych białych wojowników, śliniąc się, ochoczo staje do bicia pokłonów przed Kebab Hause Monument. Kapłani w fezach i turbanach, roznoszą komunikant w postaci Doner, Szisz i Lulu kebaba. Zniewoleni unoszą ku niebu wilgotne oczy pełne szczęścia i oddania. Płociaste słowiańskie uzębienie ochoczo dziamga strawę muzułmańskiego pohańca, co oko naszemu Onufremu Zagłobie w Galacie wyłuskał.



Nieliczni jeszcze trwają w ruchu oporu. Mówi się, jakoby tu i ówdzie pojawiły się ulotki z podobizną wieprza i napisem: „Polska Kuchnia Walcząca”. Widziano młodzież w harcerskich mundurkach klejącą dzielnie plakaty tej treści na murach domostw. Pojawiły się murales, z narażeniem życia, pacykowane w pustych przejściach dla pieszych i odległych, osamotnionych toaletach zwanych nie wiadomo czemu z chińska „Toi-Toi”.

Czas umierać, rzekłby zapewne Antoni Teslar, kuchmistrz Potockich z Krzeszowic, ten co kształtował smaki Marii Adamowej hr. Sierakowskiej z krzeszowickich Potockich. Biblioteka waplewska wzbogaciła się ostatnio o książkę kucharską z taką dedykacją:

„Jaśnie Wielmożnej Hrabinie Andrzejowej Potockiej a Pani mojej ośmielałam się ofiarować niniejszą pracę owoc wieloletniego fachowego doświadczenia w tym zacnym polskim Domu w oddaniu całkowitem tej wielkiej Rodzinie jako dowód mojej najgłębszej czci przywiązania. W Krzeszowicach 8 maja 1909, Antoni Teslar”.

Ten francuski Polak tak się zadowolił w naszych stronach, że we wstępie pisze:

„Również zwróciłem uwagę na poprawność języka, gdyż uważam za obowiązek - a w literaturze kucharskiej za krok postępu - podać naszej Szanownej Publiczności właściwe nazwy każdej potrawy, wyrzucając przeróżne dziwolągi kaleczące nasz piękny język, a niestety dotychczas używane w jadłospisach”.

Ileż obiadów wystawnych, rautów w resursach, balów i wreszcie wesel rodzinnych wyszykował „nasz kochany Teslar”, jak mówiła w Luxemburgu w mojej obecności, Jadwiga Sierakowska-Rey. Przecież go nie znała, ale pamięć o nim trwa w rodzinie. Kiedy z „Gazety Toruńskiej” z 1897 roku Andrzej Lubiąski czytał mi o ślubie Wandy hr. Sierakowskiej z Edwardem Jaroszyńskim w Krakowie, mimo woli pomyślałem: - Co też Kuchmistrz Jego Ekscelencji Namiestnika Andrzeja hrabi Potockiego serwował?

Kto szuka ten znajduje! Czytajcie i liźcie wargi wasze, a zawiść polska nasza, niech was żre.

Menu weselne Wandy hr. Sierakowskiej i Edwarda Jaroszyńskiego Dnia 11 sierpnia 1897 w Krzeszowicach

Buffet

Szynka. Ozór wołowy. Kielbasa.
Chrzan. Musztarda. Sos Cumberland.
Pieczeń cielęca. Sałata zielona.
Ryba w majonezie.
Ciasta. Owoce. Cukry.
Pącz. Wódka. Wino białe, czerwone.
Czarna kawa. Herbata.

Kolacja

Barszcz i bulion.
Pasztet z zajęcy z auszpikiem.
Szynka pieczona w ziołach. Purée z grochu.
Kapłony po polsku. Sałata. Kompot z suszonych owoców.
Mousse z owocami.
Wina białe reńskie. Wina czerwone burgundzkie.

No i masz problem drogi czytelniku - Jasyr, czyli niewola mużułmańska? Czy trudna polska wolność. Wybieraj! Wydawać by się mogło, że to już finał. Zjedli, pogadali, popili...

Ale jak popijali, co z czym i po czym?

Skaczymy w nasze czasy. Proszona kolacja. Spodziewamy się kolegi. Wiemy, że spędził kilka miesięcy we Włoszech, a może we Francji lub Hiszpanii... Czort jeden wie, gdzie jeszcze. W każdym razie jest koneserem win - jakiś czas ustawiał butelki, wieczorami, na półkach zagranicznego supermarketu. Czujemy, że czeka nas kompromitacja, kompletny blamaż. Na pewno coś popłaczymy z winami. Strach podnosi włosy na głowie, a wilgotne ręce nerwowo wycieramy w nogawki spodni. I oto nadchodzę w sukurs. Ja, wasz brunet w tweedowej marynarce i wzorzystym fularze przyjaźnie machający łapką ze stroniczki kwartalnika „Prowincja”: - Pójdź Janku, ja cię uczyć każę! - mówię.

Słuchajcie wszyscy i czytajcie wszyscy, co jeszcze czytać potraficie. Należy zastanowić się nad kolejnością serwowania wina, jeśli chcecie, by każde następne smakowało bardziej niż poprzednie, zastosujcie formułę stałą niczym wzorzec z Sevres: białe przed czerwonym, lekkie przed ciężkim, wytrawne przed słodkim, gorsze przed lepszym.

Ostatnia z wymienionych zasad pozwala gospodarzowi zachować w ustach gościa najlepszy trunek wieczoru jeszcze długo po zakończeniu kolacji. Powszechnie wiadomym jest- koniec wieńczy dzieło. Dylemat. Co z czym? Przed czym? I po czym?

Rozjaśniamy wierszykiem:

Ryby, drób i cielęcina,
lubią tylko białe wina.
Zaś przed woły, sarny, wieprze,
jest czerwone wino lepsze.
A szampana wie i kiep,
można zawsze; za i przed.

Nie zamierzam do głów wbijać nazw pałacyków czy posiadłości winiarzy, gdyż każdy z was, drodzy Czytelnicy i degustatorzy, musi samodzielnie, z wielkim samozaparciem, przepuścić przez swoje nerki i wątrobę kilkaset litrów wina, by zacząć odróżniać sikacze od szlachetnych trunków.

Bowiem jedynie ćwiczenie czyni mistrza!

Wasz Maciej Kraiński de Waplewo

Marek Stokowski

PROWINCJONALIA VII czyli Kronika życia terenowego

Szanowni Państwo!

Niby była zima, niby mrozy, wszakże nasze życie nie zamarzło. Działo się w nim bardzo wiele fantastycznych rzeczy. Nawet trębacz nowostawski musi przyznać.

Jeśli jednak ktoś zupełnie ogłuchł od przeziębień i kataru albo oślepl od bezkresnej, roziskrzanej bieli, i nie widział, i nie słyszał, że żyjemy pełnią życia, to przyjdziemy mu z pomocą, przedstawiając twarde fakty, garść doniesień z okolicy, garść dowodów na istnienie dramatycznych spraw i wielkich ludzi, tu, nad brzegiem dolnej Wisły.

Redakcja

Życie hiszpańskie

Przed sklepem w Lichnowach wysiada z kolasy hiszpańska królowa. Jest piękna. Ma na sobie długą suknię ozdobioną srebrem i perłami, na głowie – fryzurę z plecionych warkoczy i diadem. I różę. Jej wargi czerwienią się krwawo, a puder na licach ma zapach Południa.

Szymoniak i Gliwa są trochę zdziwieni. Tak siedzą przed sklepem, zbierają na wino o smaku Północy i nagle – kolasa, królowa, fryzura i puder.

Co zaś do owego spożywczego, to on mieści się w niebieskim kontenerze. No i mają tam nie tylko ćwikłę, ale także gwoździe i saletrę. Królowa kupuje zapałki. Widzi bułkę z rodzynkami. Też prosi i bierze, żeby sobie popróbować. Dworzanie kupują śmietanę, na później.

Szymoniak i Gliwa doskonale wyczuwają, że wypada coś zagadać, na przykład zapytać, skąd królowa tutaj, w sercu Żuław, właśnie dzisiaj, dokąd jedzie, jak się miewa, z tym że trochę się krępują. Zdobywają się na śmiałość nazbyt późno, kiedy ona już odjeżdża.

Orszak znika za wierzbami. Znowu robi się – jak zwykle – pusto, raczej cicho, tylko zgrzyta luźna blacha oderwana z boku kontenera, tak że trudno mieć zupełną pewność, czy naprawdę ktoś zatrzymał się w Lichnowach, w długiej sukni, kupił bułkę i zapałki, i roztoczył swój majestat wokół sklepu spożywczego i hen, dalej, aż po szosę do Palczewa.

Życie dojazdowe

Pyl dojeżdża do roboty na rowerze. Rusza z Jarzębiny koło szóstej, pedałuje przez Rudniki, Szkaradowo i w Ryjewie jest przed siódmą. Tam od razu bierze się do pracy. Bije świnie. Dzieli tusze. Parzy szynki i kiełbasy. Po południu jedzie w drugą stronę. Jego damka – stary klekot – nie jest rącza, ale wiernie toczy się po drodze.

Zdarza się, niestety coraz częściej, że za cienką linią rzeki Liwy Pyl natyka się na Kordyliery. Każdy wie, że są ogromne. Szczyty gór znikają w niebie. Skąły piętrzą się jak w trzecim dniu stworzenia; przeraźliwie ciężkim cieniem osuwają się w dolinę czarnoziemów i bezbronnych świń niepewnych jutra.

Nie jest łatwo znaleźć przesmyk. Pyl potrafi, bo już nieraz musiał szukać. Wspina się na śnieżną przełęcz. Czuje coraz większy ucisk w uszach, pot zamarza mu na twarzy, ale on się przyzwyczaił, nie narzeka, nie marudzi, tylko wjeżdża na 3.200. Za przełęczą pędzi w dół, bez hamowania. Zwalnia na podmokłych nadwiślanych łągach.

Pyl dokładnie nie wie, nie rozumie, czemu wyrastają mu na drodze Kordyliery. Tylko jedno jest zupełnie pewne – to opóźnia jego powrót. W domu musi zjadać odgrzewane i być cicho. Wszyscy śpią, najwyżej psisko się połasi, wywączując mu z nogawek zapach grizzly, wonie pum i baribali.

Życie kolejowe

Wójcicki śni, że jest na kolejowym dworcu. Żegna dość liczną grupę dziewcząt z Małopolski. Dziewczęta są przyjemne, niepałące i okazują dużo serdeczności. Podczas rozstania cicho płaczą. Ich ekspres wolno rusza na południe. Wójcicki nie chce się poślizgnąć, nie chce się zsunąć pod wagony, pomalowane na niebiesko i pękate, spowite zawieszistą parą, jak gdyby ktoś gotował w nich kapuśniak.

Wójcicki budzi się i myśli. Gdzie one teraz są – dziewczęta, które żegnał? Czy nadal jadą tym pociągiem i przejeżdżają przez Łławę? Czy pamiętają pożegnanie? Co z nimi będzie, gdy dojadą?

A poza tym – kto obsługuje ten niebieski ekspres? Czy jest tam jakiś maszynista z doświadczeniem? Czy wie, że wiezie na południe dość liczną grupę dziewcząt z Małopolski? Czy on ma żonę i kanapki? Co on widzi? Czy wcześniej spostrzegł Wójcickiego na peronie? Czy zastanawia się, co teraz dzieje się i z nim, i ze wszystkimi, którzy zostali tam, na dworcu? A oni co? Czy ciągle stoją na peronie, czy już zdążyli wyjść przez tunel? Jeżeli poszli, no to dokąd? Czy mają jakieś swoje domy? Czy mają płuca i jelita, czy tylko powierzchowny wygląd? I czy zostali powołani do istnienia na krótką chwilę, czy na wieczność?

Życie kynologiczne

Długi pies. Za długi. Wystarczy powiedzieć, że pysk ma w Tulicach a ogon w Waplewie.

Z takim psem jest spory kłopot. Tu nie idzie tylko o perystaltykę jelit, ocieranie brzucha o kamienie albo asfalt, perturbacje z wygryzaniem pcheł na każdym kilometrze grzbietu ani o to, jak ten pies ma bronić swego zadu przed kundlami spod Waplewa. Tu idzie o kwestię spacerów.

No bo co dla niego znaczy – iść przy nodze? Albo jak ma taki pies wykonać aport, czy też stanąć na dwóch łapach, żeby prosić o kielbasę? No i kiedy można orzec, że już doszedł do zamierzonego celu – jak to mierzyć, na początku czy na końcu jego ciała?

To są rzeczy bardzo trudne, nawet smutne. I dlatego pies ma dosyć. Przez godzinę zwija się w bezpieczny kłębek i chce zasnąć, chce zapomnieć, z tym że przeganiają go z terenów, które zajął, bo te grunta są prywatne, gminne oraz należące do Zarządu Dróg Publicznych, no a tego nie da się pogodzić.

Życie konsumenckie

W czwartek, w Sztumie, małżonkowie nabywają czajnik. Mają ich już chyba z siedem, ale ten jest nadzwyczajny, bo ma taką fajną, żółtą kulkę. Sprawia sobie jeszcze hamak, bardzo mocny, plastikowy. Kiedyś przyda się na pewno. W piątek kupią elektryczną kołdrę. W zimie bywa bardzo zimno, wtedy kołdra będzie skarbem.

Niestety, jest kłopot. Małżonkowie nie są pewni, co wydarzy się pojutrze. To znaczy, co kupią. Pani domu przez to nie śpi. Pan jest całkowicie rozstrojony. Żona nawet podejrzewa, że on teraz niewymownie cierpi.

Jeśli nie wymyślą czegoś na sobotę, wpadną w małżeńskie zagubienie, coś jak gdyby w świat bez grawitacji. Trzeba będzie chować noże – zwłaszcza te z kompletu kuchennego kupionego okazjnie w Tczewie.

Życie orbitalne

Ze wzniesienia w Białej Górze bardzo dobrze widać, że lecimy. A nikt o tym nie pamięta! Na przykład Strączyńska. I Bartczak.

Bez przerwy lecimy. Tymczasem niewielu ma do tego pełne prawo, dysponując hełmem astronauty czy ważną licencją pilota. Na przykład Strączyńska – też nie ma. I Bartczak.

Lecimy, lecimy. A jeżeli – no, już trudno – nie jesteśmy pilotami, to czy ktoś przynajmniej kupił bilet? I kto się przypasał porządnie do stołka czy czegoś? Strączyńska to nawet potrafi zapytać: A po co? I to samo bąka Bartczak.

Lecimy, lecimy, wcale nie po jakimś ładnym kręgu, tylko pokrętnymi spiralami i w dodatku prawie nikt nic, moi drodzy, nie wie – przede wszystkim, dokąd tak dążymy międzygwiazdą serpentyną i jak długo, i dlaczego. Strączyńska przyznaje, że ona tak samo nic nie wie. I Bartczak.

Tak, oboje nic nie wiedzą. No, a lecą. Tak jak większość – nieświadomie, nielegalnie i na ślepo. A w dodatku, wielu nie potrafi się zachować, dokażuje i szaleje, jakby jeden z drugim całkiem zdurniał. To jest podczas lotu niebezpieczne, zatem może się tak zdarzyć, że ktoś wreszcie się porządnie zdenerwuje. I każe nam nagle wysiadać. No, i wtedy będzie kłopot.

Życie wychowawcze

Wychowawczyni R. Sosnowska nie pozwala uczniom z Mikołajek na gapienie się na duże ptaki szybujące pod chmurami. Co się stanie, bardzo proszę, jeśli bocianowi wyjdzie fiffak, a, powiedzmy, czapli – już nie powiem albo powiem – damski kuper? Młodzież mogłaby się źle wychować.

Deprawacja grozi młodym także wtedy, kiedy obserwują gołe samoloty, więc dla załatwienia tej drażliwej sprawy, na życzenie R. Sosnowskiej to, co lata, będzie odpowiednio ogacane.

Poza tym Sosnowska pilnuje, żeby młodzież nie zbierała się nagminnie pod mostami. Bo młodzież zagląda samochodom osobowym pod podwozia. Najważniejsze jednak, by dzieciaki nie ważyły się podglądać lokomotyw. Ona wie, jak niebywale łatwo można wykoleić się w ten sposób.

No i czołgi. O nich R. Sosnowska nawet nie wspomina, tak okropnie czuje się zakłopotana ich zepsuciem, ich bezwstydem.

Życie ptasie

Masz to swoje jedyne życie, a nazywasz się na przykład potrzuszcz. I – powiedzmy – lecisza za granicę. Do Chile czy Szwecji. A tam musisz się przedstawić. I oni w tym Chile czy Szwecji wariują. Błagają o litość. Ale co w ogóle możesz zrobić? Wyprzeć się potrzuszcz-przodków? Powiedzieć, że jesteś gżęgżółka? Jesteś paszkot, dzierzba, szczygieł? Albo puszczyk, jerzyk, syczek? A może zaganiacz lub trznadel?

Jak masz żyć i co masz czynić, gdy urodzisz się potrzuszczem?

Życie parkowe

Ona siedzi na parkowej ławce. W Sztumie. Obok niej wygrzewa się na słońcu szympans, taki dobrze zbudowany, rośły. Zdaje się spokojny, bardzo grzeczny, ale przecież to jest tylko małpa. A Kamińska chciałaby posiedzieć z miłym panem. I dlatego obserwuje nieznanomych przechodzących alejkami. Może któryś z nich przelotnie zerknie, może się zatrzyma i zagada? Nie! Przechodzą obojętnie, jakby w ogóle tutaj nie siedziała, jakby wcale jej nie było.

Oni mogą bać się małpy. Jasna sprawa! Tylko czy to вина J. Kamińskiej, że ten zwierzak przysiadł obok? Przecież wcale nie są razem. To przypadek. No i co? Kamińska ma napisać o tym ogłoszenie i ustawić je przy ławce? Ma wyjaśniać wszystko przechodzącym obok panom albo krzyczeć przez megafon? Szympanś – niby tylko zwykła małpa, ale byłoby mu bardzo przykro, to by go na pewno zabolalo.

Życie turystyczne

Sprzedawczyni w sklepie z pamiątkami przelotnie dotyka klienta. Dotyka w momencie, kiedy mu podaje piramidę. Piramida jest z plastiku, który mocno przypomina bursztyn.

W istocie to tylko muśnięcie, nic więcej, ale klient czuje coś takiego, czego nie czuł nigdy w życiu. To przenika go jak elektryczność. Płaci za zupełnie niepotrzebny przedmiot. Bez słowa wychodzi ze sklepu.

A na zewnątrz tacy jedni z jego autokaru proszą go, by zrobił sobie z nimi zdjęcie, i coś gędzą o kanapkach albo gofrach, ale on właściwie ich nie słyszy. Stara się zachować ślad na skórze, unieść na powierzchni dłoni znikający dotyk sprzedawczyni.

Wreszcie cofa się do sklepu z pamiątkami. Sprzedawczyni się domyśla, że on chce wymienić towar. Nie, on wrócił ją poprosić, żeby wzięła go za rękę.

– Pan oszalał? – odpowiada zalekniona.

No to on, że będzie bardzo wdzięczny za dokładną mapę jezior. I gdy ona mu podaje mapę, znowu lekko go dotyka. Naprawdę niechcący, przypadkiem. I znowu odbiera mu oddech.

Teraz klient ma już pewność. Wie, że dotyk sprzedawczyni z zamkowego sklepu z pamiątkami mógłby go prowadzić, nieść przez życie. Ale tamci wrzeszczą, że już odjazd, że wsiadają, że jest późno jak cholera. I on wsiada. I odjeżdża razem z nimi. I przegrywa wszystko raz na zawsze.

Listy do redakcji

Pan Andrzej Kasperek

Drogi Panie Andrzeju,

Dziękuję za dwa numery pisma „Prowincja”, które niedawno otrzymałam od Pana. Na pierwszy rzut oka zaintrygowały mnie obie okładki, najwyraźniej wychodzące spod jednej ręki, grafika o wielkiej wyobraźni, inspirowanego jak sądzę surrealizmem, ale w sposób bynajmniej nie naśladowczy, zachowującego własny styl i dyskretne poczucie humoru. Nie miałam czasu zająć się lekturą od razu, ale kiedy wreszcie zaczęłam czytać, szybko przekonałam się, że zawartość jest nie mniej godna uwagi o tego, co obiecują okładki.

Myślę, że nazwa Waszego pisma jest bardzo trafnie wybrana i w moim odczuciu kojarzy się z najlepszymi znaczeniami tego słowa. W tekstach i fotografiach, które znalazłam w dwu numerach „Prowincji”, jest umiejętność skupienia się na świecie dookolnym w którym się żyje, z poczuciem, że to co się dzieje (i działa) tu na miejscu, to wartości zasługujące na uwagę i szacunek, mimo że znajdują się na uboczu, poza centrami kultury i polityki. Zarazem w postawie piszących u Was autorów znalazłam otwartość na sprawy uniwersalne, poczucie że dbałość o to co miejscowe bynajmniej nie oznacza zamknięcia się na problemy rozgrywające się w szerokim świecie. Owszem, oznacza, że prowincja jest częścią świata jako całości, więc bez niej świat nie byłby kompletny. Życzę wszystkiego dobrego na przyszłość i serdecznie pozdrawiam,

Małgorzata Czermińska

profesor filologii Uniwersytetu Gdańskiego

Witam!

Pozwolę sobie zacząć ten elektroniczny list wyrazami uznania za ostatni numer kwartalnika „Prowincja”. Ciekawa publikacja. Niezmiennie cieszę takie inicjatywy krzewienia i pielęgnowania lokalnej historii oraz tradycji naszych małych ojczyzn. Mieszkam w Prabutach, a więc terenie nie tak bardzo od Sztumu odległym... Gdyby Państwa Stowarzyszenie potrzebowało kontaktu/pomocy/współpracy w jakimś przedsięwzięciu „ocierającym” się o moją okolicę, być może będę mógł pomóc. Jestem pracownikiem Prabuckiego Centrum Kultury i Sportu oraz naczelnym redaktorem „Gazety Prabuckiej”. Prywatnie miłośnik historii, a także sportu.

Pozdrawiam

Andrzej Ochał

Do Red. Leszka Sarnowskiego!

Szanowny Panie Redaktorze, gratuluję skutecznych działań kulturotwórczych. Chciałbym, aby Biblioteka UWM zamówiła u Państwa numery „Prowincji”. Jak to uczynić? Nie ukrywam, że byłbym chętny do współpracy, ale to muszę dokładnie przemyśleć.

Tymczasem czekam na informację. (...)

*Z wyrazami uznania i życzeniami skutecznych działań -
prof. dr hab. Zbigniew Chojnowski,
Instytut Filologii Polskiej UWM w Olsztynie*

Drogi Wacku (Wacław Bielecki - od red.)

Jestem Ci winien podziękowania za dwa numery „Prowincji”, które już dawno otrzymałem - dzięki serdeczne! Przepraszam, że dopiero teraz to robię, ale za to obydwie druki przeczytałem prawie od dechy do dechy! Wręcz uwielbiam tego rodzaju opracowania i czytam je pasjami. Jest to dla mnie mikroskop społeczno-kulturowy, w którym widać bardzo wiele ludzkich spraw. Mam u siebie w Katedrze duży zbiór podobnych wydawnictw.

Czego nie do końca przeczytałem w „Prowincji”? - tzw. produkcji artystycznych: prozy i poezji. Mają one różną wartość, ale oczywiście dobrze, że dajecie tego rodzaju utwory. Nie wiem natomiast czy słusznie dział prozy, poezji i eseju dajecie jako pierwsze w numerze, bo to przenosi punkt ciężkości nieco za daleko w stronę wydawnictwa o charakterze artystycznym, które jest poświęcone twórczości. Ale może macie takie aspiracje? - nie wiem.

Natomiast z dużą satysfakcją przeczytałem sporo tekstów z działów „Wędrówki po prowincji” oraz „Na tropach historii”. Wiele tam interesujących ustaleń, dokumentacji, interpretacji, co na pewno wzbogaca obraz Waszej/Twojej Ziemi. Dzięki Tobie, Wacku, nie brak i wiadomości o życiu muzycznym „Prowincji”.

Tytuł Waszego pisma jest oczywistą kokieterią i nawet prowokacją! Chyba, że o to chodzi, iż prowincja dzisiaj jest niejednokrotnie ważniejsza od centrum?

Oczywiście, te uwagi nie są żadną recenzją, tylko spostrzeżeniami z lektury....

Z najlepszymi myślami,

Wiesław

(prof. Wiesław Theiss, Uniwersytet Warszawski - od red.)

Noty o autorach

Jacek Albrecht - ur. w roku 1951 w Łodzi. Od 1952 z przerwą 15 lat mieszkaniec Malborka. Konserwator zabytków architektury i artysta plastyk, autor książki popularno-naukowej „Tajemnice Malborka” i szeregu artykułów o tematyce konserwatorskiej, współwłaściciel firmy „Kopiał”. Absolwent Wydziału Budownictwa Politechniki Koszalińskiej, Podyplomowego Studium Konserwacji Zabytków Politechniki Warszawskiej i Wydziału Edukacji Artystycznej ASP w Gdańsku. W 1989 przewodniczący Komitetu Obywatelskiego w Malborku oraz Klubu Obywatelskiego. Inicjator powołania pierwszej niezależnej gazety malborskiej „Nowiny Malborka”. Autor kilkunastu wystaw plastycznych w różnych miastach Polski. Uprawia malarstwo, grafikę i grafikę komputerową. Ulubioną tematyką prac jest portret psychologiczny.

Tomasz Agejczyk - ur. w 1985 roku w Malborku, od najmłodszych lat zafascynowany historią Malborka, w szczególności latami międzywojennymi. Pasjonata i zbieracz wszelkich pamiątek dotyczących miasta. Numizmatyk. Obecnie mieszka w Elblągu. Należy do Förderverein Jerusalem-Hospital des Deutschen Ordens in Marienburg (Malbork) e.V. Współpracuje z „Magazynem Elbląskim”.

Wacław Bielecki - od 1947 r. mieszkaniec Nowego Stawu, a od 1974 roku Sztumu. Absolwent pedagogiki Uniwersytetu Gdańskiego. Pracował jako nauczyciel w Szkole Podstawowej w Nowym Stawie i asystent w Katedrze Pedagogiki UMK w Toruniu. Dyrektor Wojewódzkiego Zespołu Szkół Policelanych w Sztumie. W 1980/81 roku redaktor naczelny tygodnika „Sztumska Solidarność”, a na przełomie lat 1989/90 członek kolegium redakcyjnego tego czasopisma. W latach 1990 - 1994 roku przewodniczący Rady Miasta i Gminy Sztum. Zainteresowania pozazawodowe: muzyka - nie tylko klasyczna, fotografia, spacerzy rowerowe i wnuki.

Marta Chmielińska - ur. 1973 w Hajnówce na Podlasiu. Pracowała jako dziennikarka „Kuriera Porannego” i TV Podlasie. Jej teksty ukazywały się w „Niedzieli” i „Piśmie Kulturalnym”. Od 2010 roku mieszka w Malborku, współpracuje z „Dziennikiem Bałtyckim”.

Karolina Ciechorska-Kulesza - elblążanka mieszkająca w Gdańsku. Ukończyła socjologię na UMK w Toruniu, asystentka w Instytucie Filozofii, Socjologii i Dziennikarstwa Uniwersytetu Gdańskiego. Przez kilka lat miała szczęście posmakować życia jako animatorka kultury, rzeczniczka prasowa, liderka kilku organizacji pozarządowych. Zainteresowania badawcze krążą wokół miejsca, w którym żyje (żyła) i wokół tego, co robi (robiła). A najważniejsze z nich to: socjologia regionu i społeczności lokalnych, przemiany społeczno-kulturowe na Ziemiach Północnych (szczególnie na Żuławach, Powiślu i Warmii), regionalna i lokalna pamięć zbiorowa, media obywatelskie, lokalne społeczeństwo obywatelskie, elity lokalne, III sektor, metodologia badań jakościowych.

Andrzej Czaplinski - ur. w 1955 r. w Elblągu. Z wykształcenia zootechnik i pedagog. Przez 17 lat pracowałem w rolnictwie. Od 1995 r. pracuje jako dyrektor Gminnego Ośrodka Kultury w Starym Dzierzgoniu. Zamiłowania: historia lokalna, łowiectwo, muzyka i fotografia. Żonaty, jedno dziecko.

Ryszard Filbrandt - ur. w 1950 r. w Malborku. Członek Związku Literatów Polskich i Stowarzyszenia Elbląski Klub Autorów. Do tej pory opublikował: „Klocki dla dorosłych” (1990); „Przebudzenie” (1991); „Impulsy istnienia” (1994); „Korowód” (1996); „W strumieniach światła” (1998); „Wyrok” (2001); „Zanim spadną grudy ziemi” (2003); „Przystań” (2006); „Cień” (2008); „W objęciach świadomości” (2011). Jego utwory ukazały się także na łamach prasy: „Pomorze”, „Nowiny kulturalne”, „Magazyn Kulturalny OKO”, „Dziennik Bałtycki”, „Wiadomości Elbląskie”, „Nowiny Malborskie”, „Tygiel”, „Borussia”. Mieszka w Malborku.

Paweł Głogowski - ur. 1969 r. w Warszawie. Absolwent politologii Uniwersytetu Warszawskiego. Zainteresowania: historia, rekonstrukcje historyczne, numizmatyka, Indianie, góry, książki. Mieszka w Sztumie.

Michał Kander - ur. 1988 roku. Absolwent Technikum w Sztumie, studiuje matematykę o specjalności nauczycielskiej na Uniwersytecie Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy. Jestem na czwartym roku. Wiersze próbuje pisać od dziecka i to w nich – jak mówi – znajduje się jego prawdziwy życiorys.

Andrzej Kasperek, ur. 1958 w Stegnie. Prawie całe życie spędził na Żuławach. Po studiach na UG (seminarium Marii Janion), działalności w SKS, zakładaniu NZS i pracy w DKF „Żak” od ćwierć wieku oddaje się pracy nauczycielskiej w nowodworskim liceum. Autor tomu *Back in the DDR* i inne opowiadania [słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2010], który znalazł się w Finale Nagrody literackiej Gdynia 2011. Aktualnie ukończył pracę nad książką poświęconą inspiracjom malarskim w twórczości Jacka Kaczmarskiego pt. *Galeria Jacka Kaczmarskiego. Skrzydło Wschodnie*. Píše nowe opowiadania, które zamierza wydać w przyszłym roku 2012.

Jerzy Kosacz – ur. w 1942 w Budślawiu (obecnie Białoruś). Absolwent Wydziału Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego. Pracował jako robotnik w Stoczni Gdańskiej, bibliotekarz w Kwidzynie, nauczyciel akademicki w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Gdańsku, kierownik Biblioteki w Kwidzynie. Od 1980 przewodniczący MKZ „Solidarność” w Kwidzynie, współzałożyciel i redaktor „Biuletynu Związkowego MKZ NSZZ «Solidarność» w Kwidzynie” w Kwidzynie”. 12 XII 1981 zatrzymany, internowany w Ławie, zwolniony 18 I 1982, następnie zwolniony z pracy. W latach 1982-1990 prowadził własny zakład stolarski w Białkach k. Kwidzyna. Współorganizator Duszpasterstwa Ludzi Pracy przy katedrze św. Jana w Kwidzynie, m.in. pomocy dla represjonowanych. W latach 1984-1985 przewodniczący podziemnej MKK „S” w Kwidzynie, 1985-1989 członek TZR „S” w Elblągu; 15 XII 1985 aresztowany, osadzony w więzieniu w Kwidzynie i Elblągu, zwolniony 28 III 1986. 1991-2001 kierownik wydz. w Urzędzie Wojewódzkim w Elblągu. Od 2001 na emeryturze. Odznaczony Krzyżem Semper Fidelis (2003), Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (2006). Mieszka w Sadlinkach.

Maciej Krański – ur. 1950 r. w Gdańsku. Studiował filologię polską na UMK w Toruniu i Uniwersytecie Gdańskim. Współzałożyciel pisma literackiego *Litteraria*. Założyciel i pierwszy prezes Koła Młodych przy ZLP w Gdańsku. Uczestnik strajku sierpniowego 1980 r. W latach 1999-2003 dyrektor Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Gdańsku. Prezes i założyciel Stowarzyszenia Gunthera Grassa. Pomysłodawca i współtwórca obchodów 80-tych urodzin noblisty w Gdańsku w 2007 r. W latach 2005-2006 jako współpracownik *Dziennika Bałtyckiego*. Współpracował z miesięcznikiem *Punkt* i *Dziennikiem londyńskim*. Wydał tomik poezji „Jelita” i współtworzył almanach poetycki „Nowy transport posągów”. Od 2009 roku tworzy Muzeum Tradycji Szlacheckiej w Waplewie Wielkim oddział Muzeum Narodowego w Gdańsku. W 2010 roku wydał książkę „Panowie na Waplewie”.

Sebastian Kubiak - ur. 1971, poeta, mieszka w Malborku. Publikuje w kwartalniku *Prownicja*

Kordian Kuczma - ur. 1986, magister stosunków międzynarodowych, student studiów doktoranckich Collegium Civitas i Instytutu Studiów Politycznych PAN, analityk think-tanku Instytut Jagielloński ds. polityki historycznej i obszaru postsowieckiego, b. sekretarz redakcji kwartalnika „Business Security Magazine”, współpracownik „Gazety Finansowej”, „Sportu Wyczynowego” i Radia WNET. Mieszka w Sztutowie.

Andrzej Lubiński - ur. 1952 r. w Gniewie, absolwent LO w Sztumie i UMK w Toruniu (historia). Zainteresowania - historia regionalna Pomorza i Powiśla. Publikacje w „Komunikatach Mazursko Warmińskich”, „Roczniku Elbląskim”, „Studiach Elbląskich”, „Z dziejów Sztumu i okolic”. Współautor książki „Bank Spółdzielczy w Sztumie 1910-2010”. Uczestnik i wykładowca kilku sympozjów naukowych. Mieszka w Sztumie.

Karolina Manikowska - ur. w Malborku. Absolwentka PWSZ w Elblągu (język polski - licencjat) oraz UG (magister historii sztuki). Jest członkiem zarządu Stowarzyszenia Miłośników Malborka „Forum” oraz miłośniczką Żuław, które zwiedza na rowerze i utrwała na zdjęciach. Pracuje w elbląskiej delegaturze Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków w Olsztynie. Mieszka w Malborku.

Piotr Michna - ur. w 1982 r. w Kwidzynie. Organista. Ukończył klasę organów w Akademii Muzycznej w Gdańsku u prof. Romana Peruckiego (2010 r.). Obecnie pełni funkcję organisty w Bazylice św. Mikołaja w Gdańsku. Jest także poetą. W 2006 r. ogłosił tom wierszy „idąc śladem...”. Prezes Powiślańskiego Stowarzyszenia URTHONA, które m.in. organizuje Powiślańskie Wieczory Organowo-Kameralne w kwidzyńskiej Konkatedrze. W 2011 roku nagrał swoją pierwszą płytę CD pod nazwą „Źródło Nieprzebrane” z utworami F. Mendelssohna, J. Rheinbergera i C. Francka na organach kościoła w Lubsku. Mieszka w Gdańsku.

Janusz Namenanik - ur. 1952 roku w Dzierzgoniu. Absolwent Akademii Pomorskiej w Słupsku. W latach 1982–2003 był nauczycielem fizyki w dzierzgońskich szkołach. Od 2003 roku na emeryturze. Autor licznych opracowań z zakresu dydaktyki fizyki, które w latach 1987 – 1993 publikowane były na łamach „Fizyki w Szkole”. Zdobył I miejsce w ogólnokrajowym konkursie na opracowanie dydaktyczne nt. Domowe zadania doświadczalne z fizyki. Od grudnia 2010 roku publikuje na łamach „Dzierzgońskiego Informatora Samorządowego” artykuły będące szkicami z dziejów Dzierzgonia. Obecnie mieszka w Lęborku.

Roman Niemczyk - ur. w 1952 roku w Dąbrówce Tczewskiej. Nauczyciel przedmiotów ekonomicznych w Zespole Szkół w Sztumie. Absolwent Uniwersytetu Gdańskiego Wydziału Ekonomiki Produkcji. Wykładowca rachunkowości w Powiślańskiej Szkole Wyższej w Kwidzynie oraz nauczyciel przedsiębiorczości w Wojewódzkim Zespole Szkół Policealnych w Sztumie. Ekspert oświatowy z zakresu przedmiotów ekonomicznych. W swoim dorobku naukowym posiada 50 napisanych książek oraz 58 artykułów naukowych o tematyce ekonomicznej. Z zamiłowania historyk amator, zajmujący się problematyką wczesnośredniowiecznej historii Pomorza Nadwiślańskiego. Autor „Zarysu dziejów Pomorza Nadwiślańskiego do II połowy XIV wieku”. Od 2006 roku na emeryturze, Mieszka w Sztumie

Wiesław Olszewski - ur. 1957 r. Absolwent Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie, rolnik. Inicjator reaktywacji struktur Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego w Nowym Dworze Gdańskim. Współzałożyciel i Prezes Klubu Turystycznego PTTK w Nowym Dworze Gd. Przewodnik po Muzeum Stutthof.

Seweryn Pauch - ur. 1979 r. w Sztumie. Absolwent historii Akademii Bydgoskiej. Pracuje jako nauczyciel historii w Pelplinie. Publikował w „Kociewskim Magazynie Regionalnym”, „Informatorze Pelplińskim”, „Nowinach Gniewskich”, „Pomeranii”. Współautor pracy zbiorowej wydanej przez Zrzeszenie Kaszubsko Pomorskie w Tczewie: Śladami nieznanych działaczy społeczno - kulturalnych Kociewia. Prowadzi blog o tematyce regionalnej i genealogicznej. Mieszka w Pelplinie.

Janusz Ryszkowski - ur. 1955 w Opaleniu. Absolwent Filologii Polskiej UWM w Olsztynie. W latach 1984-2009 dziennikarz „Wieczorne Wybrzeża”, „Wiadomości Elbląskich” i „Dziennika Bałtyckiego”. Jako poeta debiutował w 1975 roku w „Nowym Wyrazie”, jako krytyk literacki trzy lata później na łamach „Nowych Książek”. Opublikował tomiki: „Wiersze” (1983), „Stan podgorączkowy” (nagroda im. Kazimierza Iłakowiczówny na najlepszy książkowy debiut 1985 roku), „Płatny romans”, „Prywatne śledztwo” (1992), „Do snu nie przemycisz domowych zapachów” (2001). Autor reportaży „Requiem dla hrabiego” (1997), „W podróży po ziemi sztumskiej” (2010), współautor albumów starych pocztówek oraz fotografii „Sztum-Stuhm” (2000) i „Odcienie szarości” (2003). Z Krystyną Błaszczuk-Ryszkowską przygotował antologię „Oko judasza” (2007), złożoną z prac literackich nadsyłanych od 1992 na Ogólnopolski Przegląd Sztuki Więziennej w Sztumie. Mieszka w Sztumie.

Leszek Sarnowski - ur. 1959 r. w Barcinie na Kujawach. Absolwent historii UG. Jako dziennikarz współpracował z „Gazetą Wyborczą”, „Dziennikiem Bałtyckim”, Radiem Gdańsk, Radiem Plus, TVP Olsztyn, TVP Gdańsk. Przewodniczący Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” w Sztumie w 1989 roku. Redaktor naczelny „Sztumskiej Solidarności” i „Gazety Sztumskiej” w latach 1989-93. Wydawca i redaktor książki „Od „Solidarności” do społeczeństwa obywatelskiego” (2005). Prezes Stowarzyszenia Inicjatyw Obywatelskich „Taka Gmina” w Sztumie, pomysłodawca, wydawca i redaktor naczelny kwartalnika „Prowincja”. Obecnie dyrektor Departamentu Kultury Urzędu Miejskiego w Elblągu. Mieszka w Sztumie.

Barbara Sosnowska - jest związana z Kwidzynem od urodzenia. Absolwentka filologii polskiej Uniwersytetu Gdańskiego. Nauczycielka języka polskiego w kwidzyńskich szkołach. Współpracuje z miejscowymi czasopismami. „Od zawsze” interesowała się malarstwem, a przez kilka lat była członkiem Stowarzyszenia Miłośników Malarstwa „Kontrasty” w Kwidzynie.

Mariusz Stawarski - ur. 1961 r. Absolwent Wydziału Architektury Wnętrz PWSSP w Gdańsku. Od 1990 roku mieszka i pracuje w zamku w Malborku, gdzie zajmuje się wystawianiem i grafiką użytkową. Od 1986 roku zajmuje się malarstwem liryczno - groteskowym, wystawianym i nagradzanym w wielu krajach i zagranicznych konkursach - Grand Prix Satorykonu 1998, Secend Prize Istanbul - Turcja. Mieszka w Malborku.

Marek Stokowski - ur. 1957 r. w Warszawie. Absolwent Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Kustosz w Muzeum Zamkowym w Malborku. Prowadzi unikalne w skali kraju gry edukacyjne i przygodowe dla młodzieży i dorosłych. Autor książek beletrystycznych i edukacyjnych. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Wydał m.in. - „Dzień nad ciemną rzeką” (1996), „Sny dla dorosłych i dla dzieci” (1998), „Legends i opowieści zamku Malbork” (2002, 2005), „Krzyżacy, ich państwo i zamki” (2003), „Błazen” (2004), „Noc tajemnic” (2005), „Samo-loty” (2005), „Stroiciel lasu” (2010). Mieszka w Malborku.

Stanisław Widuchowski - ur. w 1929 r. w Hawinowiczach pow. Słonim, obecnie Białoruś. W czasie okupacji sowieckiej ukrywał się z rodziną w okolicach Słonimia, potem przebywał na robotach przymusowych za Hamburgiem. Od 1946 mieszkał w Tczewie, gdzie ukończył Gimnazjum Mechaniczne, d. Komarach niedaleko Jęglownika na Żuławach i w Elblągu. Z zawodu technik-mechanik wiele lat pracował w elbląskim ZAMECHU oraz Przedsiębiorstwie Konserwacji Urządzeń Wodnych i Melioracyjnych. Obecnie mieszka na Śląsku w Dąbrowie Górniczej.

Andrzej Wiłun - ur. w 1949 r. Absolwent wydziału budownictwa lądowego na Politechnice Warszawskiej. Pracował przy budowie kwidzyńskiej „Celulozy”. Od 1988 roku mieszka w Berlinie. Interesuje się tematyką stosunków polsko-niemieckich, polsko-żydowskich oraz Kresami wschodnimi, skąd pochodzi jego rodzina. Aktualnie publikuje w polonijnym periodyku „Akcenty” w Berlinie i w kwidzyńskim kwartalniku „Schody Kawowe”.

